

PO CO TAK NAPRAWDĘ KACZYŃSKIEMU REKONSTRUKCJA I CO DALEJ



„TO DZIĘKI BOGU JESTEM W NOWOCZESNEJ"

SIECI

# SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 4 (269) 2018
22–28 stycznia 2018
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

SENAT USA PRZEGŁOSOWAŁ PRAWO WZYWAJĄCE DO WYPŁACANIA ORGANIZACJOM ŻYDOWSKIM ODSZKODOWAŃ ZA MIENIE OFIAR HOLOKAUSTU, KTÓRE NIE POZOSTAWIŁY SPADKOBIERCÓW

AMERYKAŃSKA USTAWA NR 447

## ZATRZYMAĆ TO SZALEŃSTWO

TYLKO U NAS RAPORT O SPRAWIE, KTÓRA MOŻE KOSZTOWAĆ POLSKĘ DZIESIĄTKI MILIARDÓW

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

epr.asa.pl:1264cc2c81

# Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

## W numerze:

- **ZWYCIĘSKI KRÓL**
  Jak Jan III Sobieski walczył z Tatarami
- **W OBLĘŻONYM TOBRUKU**
  Historia żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich
- **PIŁSUDSKI NIEZNANY**
  Marszałek Piłsudski jako publicysta




DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

# Igranie z ogniem

To staje się już normą. Ilekroć mamy do czynienia z protestami wymierzonymi we władzę, dochodzi do jakichś agresywnych zachowań. Jak ujawnił portal wPolityce.pl, sprawcami są ci sami ludzie. Można powiedzieć: zawodowi zadymiarze specjalizujący się w ulicznych prowokacjach.

Gdy są zatrzymywani, wspierające opozycję media robią z nich bohaterów walki z opresyjną władzą. Czy chodzi o pokazanie, że „społeczeństwo już nie wytrzymuje"? Ta oparta na kłamstwie taktyka jest śmiercionośna – dosłownie. Pamiętamy ją z 2010 r. Scenariusz był ten sam: rozkręcić społeczne emocje do maksimum, odczłowieczając Jarosława Kaczyńskiego i jego zwolenników. Wywołać wrażenie, że wobec nich wolno więcej – szyderstw, agresji słownej, a nawet przemocy fizycznej. Później sytuacja wymyka się spod kontroli i nakręcony nienawiścią zwyrodnialec (a tacy żyją wśród nas) wchodzi do biura z bronią w ręku.

Czy jesteśmy daleko od podobnej tragedii? Niestety nie. Podpalenie biura Beaty Kempy w Sycowie szczęśliwie nie pozbawiło nikogo życia, ale istniało takie zagrożenie. Dlatego kara dla sprawcy powinna być surowa i nagłośniona.

Morderstwo pracownika biura PiS w Łodzi powinniśmy mieć stale w pamięci. Zwłaszcza ci, którzy wpuszczają w swoje szeregi agresorów, dają im schronienie w tłumie, wspierają, akceptują takie metody. To igranie z ogniem.

***Marek Pyza***

# Konieczność, a nie bizancjum

Trzeba mieć maksimum złej woli, by – jak redakcje plotkarskich pism i portali udających poważne media – dyskredytować podróż Beaty Kempy do Jordanii. Minister ds. pomocy humanitarnej za cel pierwszego wyjazdu obrała Amman i położone przy granicy z Syrią obozy dla uchodźców. To tam, zgodnie z konsekwentną polską polityką, ma trafiać nasza pomoc.

Uderzenie w rządową inicjatywę jest więcej niż rytualne, związane z opozycją media walą na oślep. Zarzucają Kempie, że „pojechała pomagać, a sama opływała w luksusy". Cóż to znaczy? Czy chodzi o rządowy samolot? To ma być ta ekstrawagancja? A może o grupę dziennikarzy, których zabrano na pokład? Przecież właśnie dzięki reporterom mamy obraz tego, co w uchodźczych obozach dzieje się naprawdę, i wiemy, czego tam najbardziej potrzeba.

Wie to także, i to z pierwszej ręki, polski rząd, który tworząc Departament ds. Pomocy Humanitarnej, pokazał, że do problemu uchodźców podchodzi niezwykle poważnie. To właśnie różni nas od tych, którzy tylko o pomocy opowiadają. Jestem przekonany, że gdyby minister Beata Kempa nie pojechała do Jordanii, zarzucono by jej, iż polska pomoc jest wysyłana gdzieś w świat bez rozpoznania potrzeb. Dlatego obecną krytykę traktuję z dużym dystansem. Dziś jest to, jutro co innego. Dzień jak co dzień dla sfrustrowanej opozycji i jej pochlebców.

***Marcin Wikło***




Autopromocja

Fot. Fratria



eprasa.pl f264cc2

# SIECI spis treści



**32** Wyborca czy obywatel
*Bronisław Wildstein*



**36** Pejzaż z przerażonym inwestorem
*Maja Narbutt*



**92** Wojna na szczytach
*Ewa Wesołowska*


NA POCZĄTEK

6 **ZLOT TOTALSÓW**
Krzysztof Feusette

8 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

10 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

11 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski

11 **KORSUN CHILI KORSUN**
Michał Korsun, Paweł Korsun

12 **RACJE REPARACJI**
Jan Pietrzak

13 **MANIPULACJE, KONTROLA, CENZURA**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **SZARAŃCZA W TEMPURZE**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **POLSKA POD PRESJĄ**
Aleksandra Rybińska

26 **Z PROF. MIECZYSŁAWEM RYBĄ**
rozmawia Marcin Wikło

KRAJ

28 **PLAN KACZYŃSKIEGO**
Stanisław Janecki

32 **WYBORCA CZY OBYWATEL**
Bronisław Wildstein

36 **PEJZAŻ Z PRZERAŻONYM INWESTOREM**
Maja Narbutt

40 **Z JULIĄ PRZYŁĘBSKĄ**
rozmawia Rafał Kotomski

44 **NIE ZABIERAJCIE NAM DOMU**
Artur Ceyrowski

48 **Z TOMASZEM PORĘBĄ**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

53 **Z KORNELIĄ WRÓBLEWSKĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

57 **GRZEGORZ DAMIĘCKI. PODATEK OD POPULARNOŚCI**
Jolanta Gajda-Zadworna

59 **„MOMENT WIECZNY" NA PODOLU**
Wojciech Stanisławski

62 **TEATR I MUZYKA**
Przemysław Skrzydelski, Adam Ciesielski

65 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

66 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

68 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

70 **KOLONIZACJA PLATFORMY**
Jan Rokita

73 **PUSTA NOC**
Wojciech Wencel

74 **PO NAS CHOĆBY POTOP**
Wojciech Reszczyński

75 **LIBERALNE PAŃSTWO POLICYJNE**
Dariusz Karłowicz

HISTORIA

76 **LANGIEWICZ NIEPRZEJEDNANY**
Artur Jagnieża

79 **PRYMASA GRA DLA AKTORÓW**
Milena Kindziuk

ŚWIAT

82 **BY MĄDRZE NIEŚĆ POMOC**
Andrzej Skwarczyński

85 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

86 **DO BOGA DALEKO. NACZALSTWO – BLISKO**
Piotr Skwieciński

89 **FIGURY PRZYLEGŁE**
Piotr Cywiński

GOSPODARKA

92 **WOJNA NA SZCZYTACH**
Ewa Wesołowska

SPORT

102 **JAK GORTAT SŁAWI POLSKĘ**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

104 **MOJE SMAKI: TOMASZ JAKUBIAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

105 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

106 **RÓWNIA POCHYŁA**
Piotr Skwieciński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **OBIEKTYWNI FANATYCY**
Wiktor Świetlik

109 **NIEULECZALNY WIRUS**
Aleksander Nalaskowski

110 **PIŁSUDSKI W DŻINSACH**
Robert Mazurek

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

114 **LUSTRZANE ODBICIE?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie


2/0118/F



eprasa.pl f264cc2d81

# Chcesz się POŁĄCZYĆ?



# Zlot totalsów



KRZYSZTOF FEUSETTE

**Don Alt**: Gud morning państwu, witam wery macz i łelkam tu wszystkich, którym leży na sercu polisz kantry...
**Władek Farsa**: Sam se poliż. Jak nie disco polo, to kowbojskie smęty. Ja akurat lubię, bo do tirów pasują, ale proszę po polsku. Nie każdy zna języki...
**Ryża Hun von Frankenstein**: I co z tego? Mamy rozmawiać w języku okupanta tylko dlatego, że ktoś tu nie lizał wielkiego świata? Czy polski nie wydaje się państwu zbyt ubogi, by wyrazić...
**Daniel Opryski-Jeleń**: Mnie to się w ogóle społeczeństwo nie podoba. Nic, tylko chleją... Przepraszam, odbiło mi się.
**Krycha Jazda**: Czy możemy zacząć? Bo mnie się ręce tak trzęsą, że sobie kremem do stóp pół twarzy wymazałam...
**Don Alt**: Słuszna uwaga. Ja też mam zaraz samolot, a nie chciałbym wracać do Fransa z pustymi rękami...
**Borysław Borysławowicz**: Jestem za, przejdźmy do meritum.
**Bolek Nobelek**: Chyba „merytum"? Panie, coś pan, polskiego zapomniał w tej Bruksely?
**Borysław**: W jakiej Brukseli? Przecież ja siedzę na Wiejskiej...
**Bolek**: I nic pan nie robisz. Panie, gdybym ja mniał z powrotem te czterdzieści parę, tobym wam pokazał, jak siem wprowadza dymokrację...
**Don Alt**: Zacznijmy w końcu, Europa czeka. A zatem...
**Poszeł Scerba**: Przepraszam, panie królu kochany, ja muszę do toalety. Mnie się chce od puczu...
**Bolek**: A idź pan w krzaki z takim pęcherzem. My z Mnietkiem na rybach...
**Don Alt**: Na litość boską! Przypominam kolegom, że jesteśmy na terenie Pałacu Kultury, więc najbliższe krzaki to są te firmy, które żeśmy w jednym okienku otwierali.
**Władek**: Startuj wreszcie, człowieku, bo zaraz wpadną błaszczakowe albo brudzińskie i dopiero będą jaja.
**Ryża**: Przecież pan się, panie Władziu, i tak nie stawia...
**Władek**: Ja się nie stawiam? Ja się stawiam jak cholera! Ja tylko do prokuratury nie chodzę, bo ja jestem ponad prawem i sprawiedliwością...
**Bolek**: Bardzo susznie. Panie, dasz pan palec, to wiesz pan, co panu obetnom...
**Don Alt**: Kontynuujmy. A zatem zebraliśmy się w celu wyłonienia nowego prezesa Rady Ministrów, który natychmiast po odzyskaniu przez nas władzy będzie mógł rozpocząć antypisowskie czystki...
**Krycha**: Nareszcie! Pozwólcie, że zacznę, bo to mnie najbardziej robią na głowę. Ja się czuję...
**Bolek**: Panie, co pan opowiada? Komu robiom? Panu?
**Krycha**: Jeśli już, to pani. Ja jestem kobietą, proszę pana...
**Bolek**: Ja w takie tematy nie wchodzę, a poza tem teraz mówiem ja. Plan jest taki...
**Ricardo da Madera**: Chwileczkę, kim jest Taka?
**Bolek**: Plan jest taki, bo o take Polskie walczylim. To znaczy – nie o take...
**Ricardo**: Ale przecież plan jest mój! O, tu nawet jest napisane: plan lekcji... Sorry, to nie to. Plan miasta... No gdzie ta Joaśka mi to włożyła? O, proszę: plan Ryśka. Punkt pierwszy: niech każdy wskaże samego siebie i wtedy się policzymy.
**Kachna Lider**: Gdybyś kasy pilnował, tobyśmy się nie musieli liczyć z nikim.
**Ricardo**: Skończ, kobieto fatalna. To wyście partię pogrążyły. Głupiego przycisku nie umiecie wcisnąć, a przed kamery się pchacie. Jak się nie chce psa uderzyć, to się kija nie znajdzie.
**Mati Nepłati**: Przepraszam, ale ja w kwestii formalnej. Czy ktoś z państwa ma może pożyczyć stówkę, bo mi zabrakło na puszkę...
**Władek**: Chłopie, usiądź, zanim cię posadzą. Przecież to jest dyktatura, stan wojenny...
**Opryski-Jeleń**: Bo społeczeństwo jest do d... Za moich czasów to było nie do pomyślenia, każdy głosował tak, jak mu się powiedziało. Jeździło się po całym Związku Radzieckim...
**Bolek**: Panie, czegoś pan się napił? Przecież ja sam, tymi rękami, Ruskich pogoniłem z mura berlyńskiego, żeby można było NATO-bis robić. No ale mnie nie słuchaly i teraz majom.
**Borysław**: Wolne sądy! Wolne sądy!
**Krycha**: Co się pan tak wydziera? Nie jesteśmy na manifestacji, tylko na posiedzeniu.
**Scerba**: À propos siedzenia, to ja już naprawdę muszę...
**Bolek**: Panie, nie strasz pan! Bo się... wiesz pan co...
**Ricardo**: Ja nie znam tego powiedzonka, a znam wszystkie. Czy może pan przytoczyć?
**Kapitan Schettino**: Dosyć! Milczałem długo...
**Don Alt**: I tak już zostanie. Proponuję przejść do głosowania: kto z lejdis i dżentelmens jest za tym, żebym to ja został prezesem Rady Ministrów, proszę podnieść rękę i nacisnąć przycisk...
**Ryża**: Ale tu nie ma przycisków! W takim Berlinie to wszędzie są, nawet w toaletach...
**Scerba**: Co pani powie?
**Bolek**: Panie, idź se pan do Biedronki, tam są parówki berlinky. Albo jeszcze lepiej do Biedroniastego...
**Biedroniasty**: Wypraszam sobie. Bardzo niełądnie pan mówi. I w ogóle jest pan brzydki. Państwo zupełnie nie wiedzą, na jakim świecie żyją. No więc informuję was z wielką przyjemnością, że to mnie medialnie napastowano w tym względzie, więc...
**Bolek**: Proszem panią, co pani opowiada? Pani się chyba w ułopie przewraca.
**Don Alt**: Czy możemy to wreszcie przegłosować?!
**Mati**: Przepraszam, ale mnie na to nie stać. Ja... nie mam za co wrócić do domu.



eprasa.pl f264cc2d81




Prezentowane produkty i usługi dostępne są na wybranych stacjach ORLEN.

# Chcesz się POŁĄCZYĆ?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl f264cc2d81

# Z życia koalicji

Scenka rodzajowa z Pałacu Prezydenckiego, przy której nie było Vermeera, ale był nasz człowiek: oto do odbierającej ministerialną nominację Jadwigi Emilewicz podchodzi Beata Szydło – skądinąd niedarząca nowej pani minister przesadną sympatią – i serdecznie jej gratuluje. „No i proszę, kolejny minister z Krakowa" – rzuca z uśmiechem. „Kto się cieszy, ten się cieszy" – komentuje kwaśno stojący obok Pies.



Rzeczony Pies, czyli ***Ryszard Terlecki***, nie znosi bowiem Gowina i wszystkich gowinowatych (w tym Emilewicz), i to nie znosi ich od dawna. Terlecki zbierał od Gowina bęcki w wyborach, a najśmieszniej było w ostatnich, gdy Terlecki z trzeciego miejsca dostał niecałe 8 tys. głosów, a zdrajca Gowin z ostatniego wziął ponad 43 tys. Teraz Pies (69 lat) sekuje i obcina Gowina (57 lat), który odcina się suflowaniem dziennikarzom złośliwostek pod adresem konkurenta. I to wszystko dlatego, że każdy chce być samcem alfa. Jak widać, z tego się nie wyrasta.

Nie ma dnia, żebyśmy nie słyszeli, że Macierewicz nie zamierza założyć partii. Ba, według samego Antoniego „takie informacje kolportują ludzie z WSI" i tylko oni o tym rozprawiają. A ponieważ temat wziął się z dwóch wywiadów samego Macierewicza, to...

A nasz ukochany CBOS puścił w świat sondaż, w którym PiS ma 55 proc., Platforma całe 18 proc., a reszta się nie liczy. Zawsze powtarzaliśmy, że CBOS to skrót od Robimy Rządzącym Dobrze, tylko ktoś pomylił literki.

Tymczasem gdyby takie sondaże, no takie, że PiS ma z pięć dych, utrzymały się przez dłuższą chwilę, to przewidujemy gwałtowny szturm do Porozumienia. Partia Gowina to bowiem taki czyściec, po którym poselskie owieczki mogłyby trafić do pisowskiego raju.



Są w PiS bardzo ważni ludzie, którzy nie lubią ***JoJo Brudzińskiego*** i którzy mówią, że „Joachim został ministrem, bo w końcu musiał pójść do pracy". Nas nie dziwi, że ktoś nie przepada za trzymającym partię żelazną ręką Joachimem, ale że nie bał się tego mówić. Zwłaszcza nam.

Ponieważ z partyjnych układów wyszło, że nie można ruszyć ministra Adamczyka, to przynajmniej odebrano mu program Mieszkanie+, bo spieprzył go koncertowo. Niestety nikt nie chciał tego wziąć, bo wiadomo, że cudów nie będzie. No i wtryniono to ministrowi kultury i sztuki, coby te domy ładne były. Gliński, ciągle w szoku, pojechał na dwa tygodnie w góry. Mógł do Puszczy Białowieskiej, ale on przyrodę lubi.

Kulisy odwołania Anny Streżyńskiej są takie, że co prawda mieli jej dość wszyscy w PiS, ale zdecydował o tym Gowin. Nawet jego wkurzyło bowiem ostentacyjne dystansowanie się Streżyńskiej od rządu i zaproponował jej grzecznie, by wstąpiła do partii i przymknęła buzię. Pani minister odmówiła i obraziła się na cały świat. Puenta tej historii jest taka, że gdy piszemy te słowa, wciąż nie ma ministra cyfryzacji, bo wszyscy odmawiają. Hm, nasi synowie są bardzo ucyfryzowani, może któryś z nich?

Nie ma też chętnego na szefowanie po Rafale Porzezińskim radiowej Jedynce, która jak wszystkie media narodowe (poza TVP ABC!) leci na pysk. Dzwoniono do naszego przyjaciela Staszka, dzwoniono do kilku innych osób i nic. To może ktoś z państwa? Kompetencje są dwie: trzeba mieć dobrą pamięć i odbierać telefony od Czabańskiego, rzadziej od Sobali. A po co pamięć? Żeby zapamiętać, czego sobie panowie życzą.



PRZEGLĄD

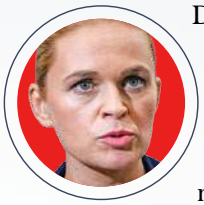
Mazurka

Fot. Andrzej Wiktor (x2)



eprasa.pl f264cc2d91

# Z życia opozycji



Dziwne. W opozycji nie ma nikogo, kto chciałby tej opozycji zostać liderem. Szansę taką miała ***Barbara Nowacka***, która przedstawiała w Sejmie projekt „Ratujmy kobiety", odrzucony przy niezgulstwie PO i Nowoczesnej. Nowacka miała wiele zaproszeń do mediów, ogłosiła też, że trzeba działać, bo źle się dzieje. Po czym wyjechała na Bali. My ją akurat rozumiemy. Ale czy kobiety, które miała ratować, też?

Sytuacja ta przypomina nam scenę z klasycznego filmu „Naga broń", w której porucznik Frank Drebin wygłasza w szpitalu płomienną mowę nad łóżkiem postrzelonego kolegi. Zapowiada, że nie spocznie, póki sprawcy czynu nie zostaną złapani i ukarani. I kończy takimi słowami: „A teraz chodźmy coś przekąsić".



**TYGODNIA**

# Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR



Niesamowite! ***Ryszard Petru*** pojechał do Rzeszowa, żeby przedstawiać tam swój Plan Petru oraz prezentować wizje dla województwa podkarpackiego. Bardzo nam tym Petru zaimponował. Szczerze mówiąc, nie podejrzewaliśmy go o wiedzę na temat istnienia Rzeszowa. A na to, że nie ma pojęcia o czymś takim jak województwo podkarpackie, postawilibyśmy każde pieniądze.

W świat poszła wieść, że Grzechu Schetyna chce odciągnąć Rycha Petru od krajowej polityki i zrobić z niego prezydenta Wrocławia. Tak na marginesie: nie życzymy tego Wrocławiowi. Oczywiście wszyscy uważają, że to plan demoniczny. Ale prawda jest taka, że Rysiek i Grzesiek, choć rywalizowali, w jakiś przedziwny sposób się polubili. Przed feralnym kongresem Nowoczesnej Petru wydzwaniał do Scheta, szukając u niego słów otuchy. A może po prostu Petru wzbudza u Schetyny troskę, którą można nazwać „specjalną"?

W każdym razie panowie spotykają się na obiadach, kolacyjkach i deliberują, jakby tu dokopać Nowoczesnej, Lubnauer i Gasiuk-Pihowicz. Nie zauważyli, bidaki, że nawet do tego nie są potrzebni. Wszak Nowoczesna kopie się sama, i to bardzo mocno.



Bilans niezbyt długiego przywództwa ***Katarzyny Lubnauer*** jest taki: ludzie się jej pozawieszali, ona wygadywała bzdury, dlaczego nowocześni nie głosowali w kluczowym głosowaniu, a partia w ostatnim sondażu dostała 6 proc. i zawisła nad przepaścią. No faktycznie, sytuacja po obaleniu Petru zmieniła się radykalnie. Czekajcie, co tam ta Lubnauer zapowiadała? Walkę o 20 proc.? No, to może to osiągnąć w jeden tylko sposób: rozcieńczając wódkę wodą w proporcjach 1 do 1.

W ogóle cała opozycja, nawet pozaparlamentarna i pozaziemska, może już liczyć wespół na mniej głosów, niż ma jedno PiS. Platfusy np. zjechały do 15 proc. To już pewne: PO dziarsko podąża tropem swej poprzedniczki Unii Wolności. Bon voyage!

Tymczasem wyjaśniła się wreszcie jedna rzecz. Lech Wałęsa odkrył, jak powstała teczka Bolka i jak trafiła do Kiszczaka. Otóż na polecenie Kaczyńskiego została spreparowana przez Cenckiewicza, Wyszkowskiego i Gwiazdę. Brzmi to całkiem prawdopodobnie. Chętnie przyklaśniemy tej teorii, ale mamy do byłego prezydenta jedną drobną prośbę: możemy liczyć na podpowiedź, które numerki padną w dużym lotku w tym tygodniu?

Fot. Julita Szewczyk, Andrzej Wiktor, Andrzej Skwarczyński



eprasa.pl f264cc2d81

# Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

***W TVP karuzela zmian.*** Odeszli szefowie TAI (Klaudiusz Pobudzin) i TVP Info (Grzegorz Pawelczyk), a Ewa Bugała poszła na urlop. Ale nie rozeszło się o politykę, tylko o władzę. Sprawa jest prosta: plac Powstańców Warszawy (siedziba newsów) jest daleko od Woronicza (tam są prezes i rozrywka) i ekipy „na placu" lubią mentalnie odjeżdżać. Wydają się sobie większe, niż są naprawdę.

Z perspektywy miesięcy to prawdziwa telenowela. Bo ci, co teraz upadli, ledwie ***parę miesięcy wcześniej obalili Marzenę Paczuską***, która właściwie ich stworzyła. Wszystkich szkoda, bo prawica nie ma za dużo kadr, zwłaszcza w mediach, no ale trzeba jednak twardo stać na ziemi. Soda zabija. Soda szkodzi. Soda niszczy.

***Na ulice Warszawy wyszły feministki*** i osoby, które bardzo głupio uciekają przed syndromem poaborcyjnym. Protestowały przeciwko PO i Nowoczesnej, które nie w całości poparły zabijanie maleńkich dzieci. Ale farbą oberwała siedziba PiS. W sumie słusznie. Cóż dziś znaczy opozycja? A na kimś wyżyć się musiały. To widać na zdjęciach.

Aktor i bojownik ***Krzysztof Pieczyński ogłosił, że został pobity w centrum Warszawy*** za swoje poglądy. Niewykluczone. Ale wiele wskazuje też na to, że zaatakował go człowiek cierpiący na manię prześladowczą, który uważa, iż „od dawna śledzą go mężczyźni w czerwonych kurtkach". A taką kurtkę miał na sobie Pieczyński. Co za rok się zapowiada!

W sondażu CBOS ***PiS ma 44 proc., a PO 15 proc.*** Reszta menażerii jeszcze gorzej. Powoli sondaże przestają mieć znaczenie. Opozycyjny Gang Olsena pracowicie pcha Polskę ku monopartyjności, ku długim i niezagrożonym rządom PiS. Dlaczego oni tak bardzo nienawidzą demokracji?

W czasie takiej smuty pozostają marzenia. ***Sędzia Waldemar Żurek zagroził sędziom***, którzy przyjmą stanowiska w KRS, że „nie tylko zostaną usunięci z zawodu, lecz i pozbawieni emerytury". Panie, nie podpowiadaj pan władzy takich rozwiązań, bo władza może pomysł podjąć! Ale nie ta władza, o której pan marzysz.

***Opozycja cofa się w czasie*** i zbliża się tak mniej więcej do prawicowego roku 1994. „Niestety koncern Agory z niewiadomych powodów postanowił wspierać PiS, rozwalając i radykalizując opozycję" – zarzucił Roman Giertych grupie medialnej Michnika. Jak to z niewiadomych powodów? Jak już nie będzie nic, to z grobu wstanie Unia Wolności.

***Opozycja nie ma władzy, ale ma WOŚP.*** Owsiakowi i jego wojsku wyjątkowo nie udało się wywołać awantury przed akcją, ale po finale było już lepiej. Uderzyli w Patryka Jakiego. Ale to chłopak, co stał pod blokiem, więc zrobili duży błąd. „Jeśli Owsiak pokaże mi wszystkie faktury, to stanę obok niego i będę zbierał do puszek" – rzucił Jaki. I to był i szach, i mat.

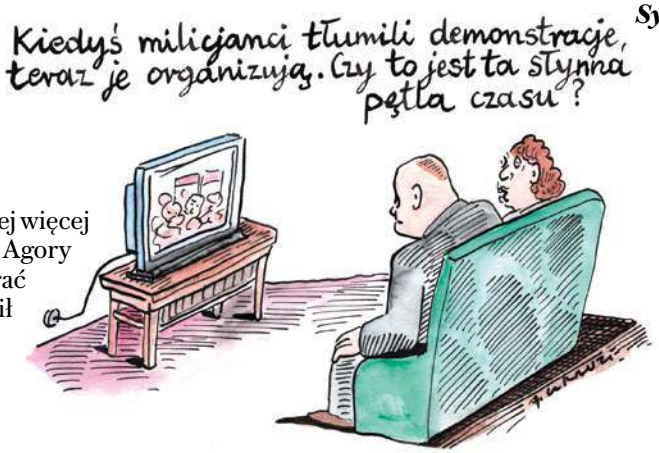
***Owsiak wspierał i budował III RP.*** Co roku zbierał kilkadziesiąt milionów. A tylko w zeszłym roku rząd PiS zebrał z VAT 30 mld więcej niż poprzednicy. W tym będzie to 40 mld, a w kolejnych może nawet 60 mld więcej. WOŚP to był słaby interes dla Polski. Dla pacjentów też.

Tuż przed rekonstrukcją rządu Tomasz Siemoniak ogłosił, że Amerykanie ***odwołali spotkanie Antoniego Macierewicza z doradcą Trumpa*** gen. Herbertem Raymondem McMasterem. Macierewicz odszedł, przyszedł Błaszczak i pojechał do USA na rozmowy z McMasterem. Poważne, bo o zwiększeniu obecności wojskowej Amerykanów. Co na to Siemoniak? Nic. Cóż miałby powiedzieć?

***Ojciec Ludwik Wiśniewski napisał wyjątkowo napuszony tekst „Oskarżam"***, choć żadnego Dreyfusa u nas nie widać. Duchownemu chodzi o to, że „w Polsce umiera chrześcijaństwo". Dlaczego? Bo nie przyjmujemy imigrantów i w ogóle rządzi prawica. To są jednak słodziaki! Bo wynika z tego, że chrześcijaństwo ma się najlepiej we Francji czy w Niemczech. Może oni nie bywają w świecie? Albo opłaca ich Arabia Saudyjska?

Ale jeśli saloniki chcą imigrantów, to ***może warto spróbować?*** Bo plan mają jasny: wsadzą przybyszy gdzieś do Ożarowa albo Ursusa, żeby potem pouczać biednych ludzi, jak mają sobie radzić z tym dobrem. To może tak przyjąć kilkuset i umieścić w Konstancinie, Wilanowie albo w dobrej dzielnicy Krakowa? Jak ich ubogacą, to może im minie to szaleństwo?

***Sygnalista***






eprasa.pl f264cc2d81

# Pisowcom wstęp wzbroniony

*Nowatorskie próby skrócenia kolejek do lekarza spotykają się z zupełnym niezrozumieniem*



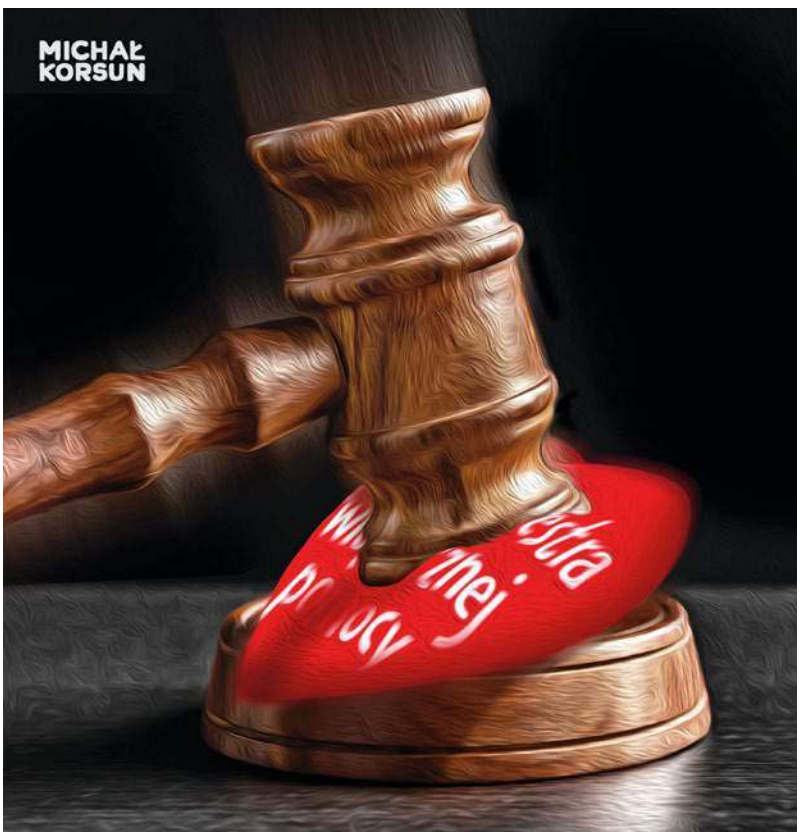
**Ryszard Makowski**

Pewien lekarz stał się momentalnie znany z imienia i nazwiska. Ludzie latami starają się wydobyć z anonimowej nicości. Wchodzą nawet na drogę przestępstwa, by zaistnieć w mediach, ale złośliwa prokuratura skraca im nazwisko do jednej litery. W show-biznesie też nie jest lekko. Zna cię cała Polska. Sławomir... i co dalej? A ten lekarz zrobił furorę.

Wystarczyło, że wywiesił na drzwiach swojego gabinetu komunikat zgodny z klauzulą jego sumienia: „W tym gabinecie nie obsługujemy pacjentów z PiS, ponieważ wyposażenie zostało zakupione z dotacji funduszy WOŚP". Pan doktor postanowił osobiście podyrygować zdrowotną orkiestrą na swoim podwórku. Pomysł nie był taki zły. PiS ma duże poparcie w sondażach, więc pogonienie rzeszy obywateli będących na bakier ze zdrowiem spod drzwi gabinetu miało cechy racjonalności. Zmniejszyłyby się uciążliwe kolejki. Poza tym w takich kolejkach niespójnych światopoglądowo narażone jest zdrowie pacjentów. Ktoś przyjedzie leczyć katar, a po bójce pod gabinetem z przygodnym pisowcem wchodzi zrobić obdukcję.

Niestety od lekarza wizjonera odwróciło się wiele instytucji, co on skwitował słowami: „NFZ razem z PiS może pocałować mnie...". Jest jednak zagwozdka: skąd w prywatnym gabinecie wziął się heroicznie chroniony przed pisowską profanacją sprzęt od WOŚP? Oj, chyba nazwisko tego doktora będzie wymazane nawet w tajnych papierach orkiestry.

## KORSUN *chili* KORSUN




Do rysunku wykorzystano fot. Shutterstock



**Paweł Korsun**

Jurek O. i spółka (z o.o.) na dowód ofiarności Polaków często wspomina, że podczas pierwszych edycji akcji ludzie, z braku pieniędzy, przekazywali mu złote pierścionki i inne ostatnie kosztowności. Choć nie można wykluczyć, że i dziś zdarzają się takie przypadki, trzeba odnotować nowy trend. Otóż w XXI w. bogaci, którzy niejednokrotnie zarabiają dziennie tyle, ile my wydajemy w 10 lat, zamiast wrzucić do puszki jakiś diamencik lub chociaż dniówkę z jednego z pięciu seriali i czterech reklam, wciskają do pudełka... siebie. Dzięki temu pod pretekstem wyrównywania szans noworodków szary człowiek może ostatnie pieniądze w(y)rzucić na rozmowę o straconych po denominacji oszczędnościach z Balcerowiczem, przejażdżkę rowerem po puszczy z Sikorskim lub powozem po przeręblach z Kraśką.

Oczywiście ufamy, że celeb-dobroczyńcy WOŚP, których krzycząca z okładek i billboardów legenda, jak widać po wynikach „selfiecytacji", rzadko przerasta cenę łóżka szpitalnego, albo sami kupują śniadanie z samym sobą, albo dają na orkiestrę też jakiś żywy „piniądz" oprócz poplamionego fartucha (Magda Gessler), wykrochmalonej sukni ślubnej (córka Gessler), udziału w kursie prowadzonym przez samą siebie (Anna Lewandowska) czy akwarium z piaskiem z Rajdu Dakar (Rafał Sonik). W przeciwnym razie można by pomyśleć, że po raz pierwszy, po raz drugi i po raz trzeci chodzi tu o autolans. Niekupione.



eprasa.pl f264cc2d81

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

# Racje reparacji



*Jan Pietrzak*

Sądząc po reakcji mediów niemieckich, oni tam są zaskoczeni pomysłem reparacji wojennych za polskie straty w wojnie lat 1939–1945. Wojna, zwana post factum II światową, rozpoczęła się od napaści III Rzeszy na II Rzeczpospolitą. Nikt na świecie nie miał wątpliwości, że agresorem były Niemcy, a Polska ofiarą. Do napastników dołączyły, jak się teraz mówi, państwa bandyckie, „ze Związkiem Radzieckim na czele", a do Polski cywilizowane kraje respektujące wartości demokratyczne, prawa ludzkie i międzynarodowe konwencje.

Niezależnie od przebiegu wojny, odwracanych sojuszy, nielojalnych aliantów, była to od początku do końca ta sama wojna: Niemcy kontra Polska. Polska tę wojnę wygrała formalnie i moralnie, ponosząc jednak olbrzymie straty materialne i ludzkie, bo heroizm kosztuje. Przyszedł czas, by te straty oszacować i uregulować. Czy to nieoczywiste? Zwłaszcza że dzięki polskiej „Solidarności" Niemcy mogły się po latach zjednoczyć, staliśmy się sojusznikami w NATO i Unii Europejskiej, mamy coraz silniejsze relacje gospodarcze, korzystne dla obu stron. Jest dobra okazja, by wyrównać rachunki krzywd i dać naszym społeczeństwom szansę na zgodną przyszłość. Tę zachęcającą perspektywę psują krótkowzroczni politycy zza Odry, ich media i niestety również polscy jurgieltnicy. Dla prywatnych korzyści szkodzą historycznej sprawie.

Przyjmijmy hipotezę roboczą, że rząd w Berlinie bez zbędnego mataczenia postanowi zamknąć ostatni rozdział wojennych rozliczeń, uzgodni z rządem w Warszawie spłatę reparacji i odszkodowań... Skończy się niby-pojednanie podszyte fałszem, zacznie radosna współpraca, nowa wersja entente cordiale. To jest w zasięgu możliwości sprawnych dyplomatów. Oczywiście w tle są niemieckie pieniądze. Mogą je wydawać na łagodzenie starych konfliktów „rodzinnej Europy", wzmacnianie Unii albo na prowokowanie nowych awantur w porozumieniu z najeźdźcami z innych kontynentów i cywilizacji... Ciekawy wybór.

# Lubię słuchać dobrych bitów

*Z Robertem Gonerą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

***Kręcą pana podkręcane bity? Takie jak w filmie „DJ", który właśnie wszedł do kin?***

***Robert Gonera:*** Jeśli mają kręcić, to tylko dobre. W dorosłym życiu miałem okazję prowadzić klub i już w 1994 r. zatrudniałem didżejów, co wtedy było ewenementem. Ta kultura nie jest mi więc obca i dalej wolę słuchać dobrych bitów. A te są w tym filmie w przewadze. To bez wątpienia atut. I jest też rola Mai Hirsch.

***Można się wkręcić?***

Jeśli się nie przeholuje w oczekiwaniach. To tylko film. O pewnym środowisku, muzyce. Zrobiony z najlepszymi w tej branży. Kręcony nie tylko w Polsce, gdzie się rozgrywa mój wątek, lecz i w klubach Londynu, i na Ibizie, czyli w mekce tej muzyki.

***„DJ" pulsuje rytmami współczesności, a „Korona królów"?***

Biskup krakowski Jan Grot, postać historyczna, którą tu gram, ma spory udział w intrydze. Można powiedzieć, że skutecznie kręci. W polityce i Łokietka, i Kazimierza. Pozostaje w opozycji, którą bardzo ciekawie w serialu pokazano, przywołując zdarzenia, to podkreślmy: autentyczne i uzasadnione, by konflikty arcybiskupa z królem stały się zrozumiałe. Przy okazji muszę bardzo pochwalić Mateusza Króla, na którego w początkach emisji wylała się niesprawiedliwa fala hejtu. Nie dano mu czasu, a to fantastyczny młody aktor. Ja to już wiem, bo gramy odcinki późniejsze.

***„Korona..." wciąż się kręci, a pan podobno działa również współcześnie?***

Zdarzyła mi się „Zasada przyjemności", serial w reżyserii Dariusza Jabłońskiego realizowany dla Canal+. Tu dla odmiany grałem komisarza policji. W wątku polskim (bo jest też wątek czeski i ukraiński). To także była duża przyjemność.



Fot. Gałązka/AKPA



eprasa.pl f264cc2d81

BRONISŁAW WILDSTEIN

# Manipulacje, kontrola, cenzura

Głosowanie w sprawie projektów zmieniających ustawę aborcyjną zostało uznane za kompromitację opozycji. Niezależnie jednak od doraźnej gry partyjnej warto się przyjrzeć temu, co proponują nam w tej kwestii „postępowcy", zwłaszcza że dopuszczalność aborcji jest i będzie jednym z ich kluczowych postulatów.

Uderza swoisty język w połączeniu z typowym dla tych środowisk odwróceniem wartości. Projekt liberalizacji aborcji nosi pompatyczną nazwę „Ratujmy kobiety". Wynika z tego, że kobiety uratować może wyłącznie aborcja, bez której będą one stracone(?). Natomiast sama aborcja, zdaniem jej zwolenników, poza tym, że jej zakaz jest opresją wobec kobiet, żadnych problemów nie niesie.

Tym groteskowym nadużyciom językowo-znaczeniowym towarzyszy równie absurdalna uzurpacja. Proaborcyjne ugrupowania deklarują, że walczą o „prawa kobiet", a feministki stanowiące niewielką grupę żeńskiej populacji nazywają się środowiskami kobiecymi. Te określenia weszły już do kanonu poprawności politycznej. Konsekwencją tego jest przyjęcie, że kobiety niepopierające aborcji działają przeciw swojemu interesowi i są rodzajem płciowych renegatek wysługujących się męskim opresorom. Sprawa nie podlega więc rzeczowej debacie ani wymianie argumentów – rozstrzygająca ma być płciowa solidarność. A walczące z uciskiem kobiety (tzn. ich świadoma reprezentacja, jaką stanowią feministki) muszą mieć rację, dlatego winien dołączyć do nich każdy uczciwy człowiek, nawet mężczyzna.



Dopuszczalność aborcji to „prawa reprodukcyjne". Nie wiem, czy hodowlana terminologia w odniesieniu do macierzyństwa to świadomy zabieg służący jego deprecjacji, ale taki jest efekt przyjęcia owej terminologii, który dużo mówi nam o postawach samoproklamujących się bojowniczek o kobiecą godność.

Projekt ustawy „Ratujmy kobiety" wprowadza przedmiot „przygotowanie do życia w rodzinie i w społeczeństwie" w klasach 0–3, a „wiedzę o seksualności człowieka" od 4. do końca nauczania. Prawdopodobnie pierwszy przedmiot projektodawcy czuli się zmuszeni uwzględnić. To, że o rodzinie i społeczeństwie ma się opowiadać małym dzieciom, aby szybko przestać i zająć się tym, co ważne, czyli seksem, jest także wymowne.

Lewica nigdy nie wyrzekła się swoich eugenicznych tęsknot. Wprawdzie po hitlerowskich (i nie tylko) ekscesach trudno się do niej oficjalnie odwoływać, ale wystarczy zanalizować współczesne postulaty postępowców. „Ratujmy kobiety" projektuje prawo do aborcji po upływie 12. tygodni ciąży, jeśli „występuje prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu". Jak widać, wystarczy „prawdopodobieństwo". Po co nam dzieci, które mogą okazać się chore?

Po to, żeby zwyciężyć, lewicowcy muszą przeformułować świadomość i uzyskać kontrolę nad językiem. Pomimo więc nikłych szans na finalizację swojego projektu dziś nie zapominają wzywać do instalacji cenzury, która jest już faktem na Zachodzie. „Kto rozpowszechnia, również w internecie, twierdzenia, nieznajdujące oparcia w aktualnym stanie wiedzy ani badaniach naukowych, o przebiegu lub konsekwencjach medycznych stosowania antykoncepcji lub zabiegów przerywania ciąży, mające na celu odwiedzenie od jej stosowania lub od wykonania lub poddania się zabiegowi, bądź też napiętnowanie osób, które go wykonały lub się mu poddały, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności lub karze pozbawienia wolności do lat 2. Tej samej karze podlega, kto [...] pomawia, znieważa i znieważa, także w internecie, osoby, organizacje lub instytucje działające na rzecz realizowania przepisów zawartych w ustawie o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie".

Można domyślać się, że „aktualny stan wiedzy" to ten, który zgadza się z dominującą dziś lewicową ideologią – skądinąd obrona nauki przez więzienie jest rzeczywiście nowatorska – a „zniesławianie" to np. wskazanie problemów moralnych, jakie wiążą się z aborcją. Takie normy wprowadził we Francji prezydent Macron. Nie można przecież tym, którzy wiedzą, że naprawdę ważny jest seks, burzyć komfortu zagadnieniami moralnymi, a takich, którzy próbują to zrobić, należy przykładnie ukarać. Tak wyglądają wolnościowe rozwiązania, które proponuje nam lewica.

Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

# Getto dla kobiet



Zdaniem dr. Lecha Kowalskiego, historyka wojskowości i autora książek takich jak „Generałowie", „Kryptonim »Dunaj«" czy biografii Czesława Kiszczaka, sytuacja staje się niebezpieczna. W wywiadzie dla portalu wPolityce.pl (powtórzył te słowa także następnego dnia w „Poranku Radia Wnet") przestrzega przed działalnością generała WSI Marka Dukaczewskiego. „Dukaczewski spotyka się w garnizonach z kadrą o jednoznacznie negatywnym stosunku do obecnych władz państwa polskiego. Tam podpala się zarzewie przyszłego buntu, który będzie polegał na wypowiedzeniu posłuszeństwa państwu polskiemu. Na podgrzewanie nastrojów liczy również PO. Stąd ten sojusz, stąd te wizyty w Sejmie" – stwierdza dr Kowalski. Jego zdaniem były szef WSI chce wywołać wiosną przesilenie w armii. Trudno mi jednoznacznie powiedzieć, ile w tym prawdy, ale sprawa nie wydaje się całkiem nierealna. A nawet gdyby, to i tak lepiej chuchać na zimne. „Wsioki" nie śpią. Służby, pobudka!

Portal Dzień Dobry Białystok, mający 34 tys. czytelników, zamieścił na swoim facebookowym fan page'u dwa zdjęcia z Marszu Życia i Rodziny w Białymstoku z 2016 r. Nie były opatrzone żadnym podpisem. Stanowiły fragment fotogalerii z tego wydarzenia. To jednak wystarczyło politpoprawnym oszołomom z nadzoru i kontroli treści Facebooka, by usunąć cały profil portalu internetowego. Nie wiadomo, co bardziej przeszkadzało facebookowym komisarzom: czy widoczne na zdjęciach w tle flagi ONR, czy sam marsz w obronie życia i rodziny? To się nazywa europejski standard wolności wypowiedzi.

Mateusz Kijowski sprawia wrażenie, jakby żył w rzeczywistościach równoległych. Z jednej strony głosił szczytne hasła, z drugiej – łupił kasę swojej organizacji. Wziął 30 tys. zł na święta ze zrzutki członków swojej sekty, ale alimenty dalej nieśpieszno mu płacić. O podjęciu uczciwej pracy też jakoś nie słychać. Teraz na swoim portalu społecznościowym opublikował plakaty. Pierwszy z wizerunkiem szarżującej husarii wkomponowanej w biało-czerwoną flagę. Na drugim widnieje współczesny polski żołnierz mierzący z karabinka, a za nim stoi jego pierwowzór – husarz z kopią na sztorc w dłoni. Teoretycznie wszystko niby byłoby w porządku, gdyby nie podpisy. „Za wolność naszą i waszą". To hasło zdobi górną część obrazu z galopującą husarią. Pod spodem: „Polacy wspierają uchodźców". Zdjęcie komandosa z bronią i husarza zdradza poważniejszy problem. „Zawsze w obronie słabszych: kobiet, uchodźców, mniejszości narodowych i seksualnych" – podpisał Kijowski. Już chyba zbliża się czas, kiedy były szef KOD będzie mógł osobiście porozmawiać z dowódcami husarii, jak hetmani Żółkiewski czy Chodkiewicz. Później wypije lekarstwo w towarzystwie znanych dyktatorów, nawet może Napoleona. Wszystko przy drzwiach szczelnie zamkniętych i bez klamki.

Państwo Macron odbyli wizytę w Chinach. W programie było zwiedzanie Zakazanego Miasta w centrum Pekinu w towarzystwie fotoreporterów. „Wybrali dopełniające się stylizacje. Zmarznięty Emmanuel (40) postawił na czerń od stóp do głów, podczas gdy jego zdrowo opalona żona (64) postanowiła się zaprezentować w bieli. Do swoich ulubionych, skórzanych leggingsów dobrała militarne botki włoskiej marki Strategia za 2 tys. zł i płaszcz Balmain za 20 tys. Całość uzupełniała torebka od francuskiego domu mody, za którą trzeba zapłacić ok. 6 tys." – ekscytują się na Pudelku, jednocześnie prowokująco pytając: „Ładnie wyglądali?". Rzeczywiście. Szykowna babcia z eleganckim wnuczkiem.

Zapobiegliwi Szwedzi planują zbudować getto dla kobiet. W politpoprawnym języku, którym biegle władają dzisiejsi potomkowie wikingów, projekt nazwano „stworzeniem bezpiecznych stref dla kobiet". Chodzi o sztokholmską dzielnicę Husby, którą zamieszkują imigranci. Ponieważ dziś strach się tam pokazać białym przedstawicielkom płci pięknej, sprawa stała się nieznośna. Ale jakoś trzeba to uzasadnić społeczeństwu, żeby – broń Boże – nie urazić gości z Południa i nie straszyć za bardzo mieszkanek stolicy. Wymyślono więc taką formułę: „Centrum dzielnicy zostanie zmienione na podstawie nowatorskiego, feministycznego planowania przestrzennego". „Chcemy tam stworzyć harmonijną przestrzeń. Znajdą się w niej miejsca, gdzie swobodnie, bez strachu będą mogły się poruszać i przebywać kobiety" – dodaje przedstawicielka jednej ze spółek mieszkaniowych. Pytanie do pomysłodawców: czy w ramach „nowatorskiego, feministycznego planowania przestrzennego" tego pierwszego w Europie getta dla kobiet przewiduje się odgrodzenie go od reszty dzielnicy drutem kolczastym pod prądem, czy wystarczy tylko trzymetrowy mur?

***Andrzej Rafał Potocki***

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl f264cc2d81

# Szarańcza w tempurze



***Marta Kaczyńska***

Od 1 stycznia 2018 r. w polskich sklepach można sprzedawać owady jako żywność. Zasadniczo jedynym warunkiem dopuszczalności handlu insektami jest uzyskanie stosownego zezwolenia Komisji Europejskiej. To ostatnie nie będzie jednak wymagane, jeżeli przedsiębiorca udowodni, że dany owad jest powszechnie spożywany na terenie Unii Europejskiej. Do niedawna status insektów pozostawał nieuregulowany przez unijne prawo, co powodowało, że były one traktowane skrajnie różnie w poszczególnych krajach Wspólnoty. We Francji, w Holandii i w Wielkiej Brytanii były one legalnie serwowane, ale w Polsce nie dopuszczano ich jako żywności.

Aktualnie w całej Unii Europejskiej owady jadalne zostały oficjalnie uznane za składnik naszego jadłospisu. To powrót do antycznych tradycji – o jedzeniu larw trociniarki czerwicy pisał m.in. Arystofanes. W średniowieczu owadów na Starym Kontynencie nie spożywano. Wyjątkiem była Francja, gdzie jeszcze na początku XX w. delektowano się zupą z chrabąszczy majowych.

Wprowadzenie na europejski rynek owadów można traktować także przede wszystkim jako wyjście naprzeciw rosnącemu zapotrzebowaniu na żywność. W 2050 r. na naszej planecie może żyć 2,5 mld więcej ludzi niż teraz. Będzie nas zatem ponad 9 mld. Obecnie ok. 70 proc. terenów rolniczych na świecie i 30 proc. ogólnej powierzchni lądowej podlega wykorzystaniu do hodowli żywego inwentarza. Ziemi dla hodowli zwierząt i pod uprawę roślin nie przybywa. Owady są pożywieniem, którego hodowla nie wymaga wiele przestrzeni, pożywienia ani wody. Nie zanieczyszcza środowiska ani nie produkuje gazów cieplarnianych, jak dzieje się to w przypadku zwierząt tradycyjnie hodowanych w rolnictwie. Warto wiedzieć, że emisje związane z hodowlą zwierząt stanowią aż 51 proc. całkowitej światowej emisji gazów cieplarnianych.

Zasadniczym atutem hodowli insektów jest łatwość, z jaką przystosowują się one do egzystencji w różnych warunkach klimatycznych. Ponadto mają znacznie mniejszą zdolność przenoszenia chorób niż zwierzęta i są jadalne nawet w 80 proc. Owady są cennym źródłem białka i minerałów, zawierają kwasy tłuszczowe omega-3, dużą ilość błonnika oraz zdrowe mikroelementy, w tym miedź, żelazo, fosfor, selen i cynk. Obecne w diecie naszej całej populacji owady stanowią ok. 10 proc. białka zwierzęcego. Według ekspertów z FAO 2 mld osób, czyli 1/3 ludności świata, regularnie je owady. Najczęściej na stoły trafiają chrząszcze, gąsienice i pszczoły, osy i mrówki, koniki polne, szarańcza i świerszcze, poczwarki jedwabnika, żuki i larwy ciem. W Kambodży tradycyjną potrawą są smażone tarantule. W Australii Aborygeni jedzą smażone mrówki. W Meksyku niezwykle popularne są gąsienice mopane. Na całym świecie występuje ok. 1,9 tys. gatunków jadalnych owadów. Trudno to sobie zapewne wyobrazić, ale w tak wielkiej różnorodności „dań" z pewnością wiele osób może znaleźć dla siebie coś nie tylko zdrowego, lecz i smakowitego. Jedyną barierą pozostaje nasza kultura, która od wieków przyzwyczaiła nas do traktowania owadów jako stworzeń wywołujących obrzydzenie. W dobie globalizacji, internetu, skrócenia odległości za sprawą coraz tańszych połączeń lotniczych mieszanie kuchennych gustów jest już na porządku dziennym, a przyzwyczajenie naszych polskich podniebień do jedzenia insektów itp. – jeszcze dziś postrzeganych jako co najmniej egzotyczne, najczęściej odstręczające – jest jedynie kwestią czasu.

Potencjał tkwiący w hodowli jadalnych insektów wyczuli już najbardziej znani światowi inwestorzy, tacy jak Bill Gates czy Howard Buffet. W Polsce powstał nawet pionierski start-up zajmujący się hodowlą kilku gatunków owadów, sfinansowany częściowo przez izraelski kapitał. Wszystko wskazuje zatem na to, że niedługo można się spodziewać kampanii reklamowych pierwszych batoników wyprodukowanych np. ze świerszczy czy też pożywnych chipsów z wysokobiałkowych gąsienic.




*Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci*

**DARIUSZA GURBIELA**

*Długoletniego Pracownika Kasy Stefczyka*

*Wyrazy szczerego współczucia*

***Rodzinie***

*składają*

*Zarząd i Pracownicy Kasy Stefczyka*

13/0118/F




eprasa.pl f264cc2d81

*Zebrała* ***Dorota Łosiewicz***

# Miłość od grobowej deski



Brytyjka Amanda Teague wyszła za mąż za ducha pirata, który ponad 300 lat temu grasował na Morzu Karaibskim. „To najlepsza relacja, w jakiej przebywałam" – powiedziała dziennikarzom Amanda. Do ceremonii 45-letniej Amandy z duchem Jacka doszło na łódce, która wypłynęła na pełne morze. W ślubie kobiecie towarzyszyli znajomi i rodzina. Brytyjczycy przestają mnie zaskakiwać. Po Sophie Tanner, która poślubiła samą siebie, i Amandzie Liberty, która pragnie poślubić własny żyrandol, ślub z duchem to pestka. Ciekawe tylko, jak brzmiała treść przysięgi małżeńskiej, bo przecież zwykłe „i że cię nie opuszczę aż do śmierci" byłoby trochę bez sensu.

**767 tys.** – tyle dzieci urodziło się we Francji w 2017 r. To o 17 tys., czyli 2,7 proc., mniej niż w 2016 r.

**15,57 mln** pasażerów obsłużył w ubiegłym roku największy port w Polsce, czyli Lotnisko Chopina. To 22 proc. więcej niż w roku 2016.

**ok. 21 mld** – tyle wyda polski rząd na kolej. Wszystko w ramach programu wieloletniego „Pomoc w zakresie finansowania kosztów zarządzania infrastrukturą kolejową, w tym jej utrzymania i remontów do 2023 r.", na którego realizację w latach 2019–2023 ze środków publicznych zostanie przeznaczone ok. 23,8 mld zł, w tym z budżetu państwa ok. 21 mld zł.



## *Widzę ciemność*

Internautów oburzyło, że dziewięcioletni chłopiec robi karierę jako drag queen. Chodzi o nawiązanie współpracy przez projektanta i piosenkarza Brandona Hiltona z dziewięcioletnią drag queen – Lactatią. Chłopiec przebierający się za kobiety został nową twarzą marki House of Mann. Choć dziecko na potrzeby wspomnianej kampanii ubiera się jedynie w damskie kombinezony i szpilki, to internauci przypominają, że firma Hiltona sprzedaje także elegancką bieliznę i erotyczne gadżety. Internauci nie zostawiają na projektancie suchej nitki, nazywając go m.in. pedofilem. Co na to Brandon Hilton? „Jeśli nie potraficie znieść dziecka w jednej sesji, może przyszłość nie jest dla was!" – mówi projektant. Zgadza się. Taka przyszłość nie jest chyba dla mnie.

## *Na życzenie*

W Belgii 38-letnia kobieta cierpiąca na autyzm została poddana eutanazji na życzenie po tym, jak nieszczęśliwie zakończył się jej romans. Stało się to bez wymaganej prawnie dokumentacji. Takie nadużycia to podobno w Belgii norma. Mimo to – jak alarmuje belgijska agencja Cathobel – od 15 lat rządowa komisja zajmująca się kontrolą eutanazji nie postawiła zarzutów z tego tytułu żadnemu lekarzowi. Według zeszłorocznych danych stowarzyszenia VITA, w Belgii zabija się „legalnie" sześć osób dziennie. Federalna Komisja ds. Kontroli i Ewaluacji Eutanazji jest jednocześnie sędzią oraz katem we własnej sprawie – mówi raport Cathobel – nie wypełnia swojej roli, sama łamiąc prawo, które miała wprowadzać w życie. Dziś nieszczęśliwy romans, a jutro niezadowolenie z powodu koloru włosów, dziś decyzja własna, a jutro prośba kogoś z rodziny mogą być przesłankami do „legalnej" eutanazji. Jaką piękną katastrofę sobie w tej Belgii zafundowali. Lecą i podziwiają widoki, ale jeszcze nie wiedzą, że to przepaść.



eprasa.pl f264cc2d81

# *Lewandowski è mobile!*

Robert Lewandowski jest ciemny. Ale nie, żeby to była jakaś złośliwość. Po prostu piłkarzowi znudził się już nowy siwy/blond/szary kolor włosów. Wrócił więc do swojego naturalnego, ciemnego koloru. Ledwo dziennik „Bild" zdążył nadać „Lewemu" zgrabną ksywkę, nazywając go „LeGRAUdowski" („Grau" po niemiecku znaczy „siwy"), a tu już zmiany, zmiany, zmiany. Najwyraźniej nie tylko la donna, lecz i Lewandowski è mobile!



**Taka dewastacja nie występowała nawet w czasie okupacji hitlerowskiej"** – stwierdziła Kinga Rusin w rozmowie z Wirtualną Polską po zakończeniu ostatnich obrad komisji zajmującej się prawem łowieckim. Wystarczy, że opozycja sama się skompromitowała ostatnimi głosowaniami. Czy muszą ją jeszcze pogrążać jej zwolennicy?

# *Poszukiwacze zaginionej prawdy*

Rząd Szwecji postanowił ustalić, dlaczego w tym kraju wzrosła liczba przestępstw na tle seksualnym. Z danych policyjnych wynika, że w latach 2012–2016 nastąpił ich trzykrotny wzrost. Właśnie dlatego szwedzki rząd postanowił wreszcie rozwikłać tę „zagadkę" i zlecił organowi Brå podlegającemu Ministerstwu Sprawiedliwości przeprowadzenie odpowiednich badań. Według niektórych polityków odnotowany wzrost przestępstw seksualnych jest skutkiem tego, że Szwedzi po prostu chętniej zgłaszają tego typu napaści. Ciekawe, czy ktoś wpadnie na pomysł, by skorelować napływ imigrantów ze wzrostem przestępczości, czy poszukiwania ograniczą się do analizy oddziaływania prądów morskich, poziomu nasłonecznienia terenu i kraterów na Księżycu na stosunek do kobiet.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (×2), www.youtube.com/user/ElleMagazine

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

# Malejący ciężar grzechu



***Dominik Zdort***

Właśnie wyszło na jaw, że papież odznaczył działaczkę proaborcyjną i byłą holenderską minister Lilianne Ploumen Orderem Św. Grzegorza Wielkiego – najwyższym odznaczeniem, jakie może otrzymać od Stolicy Apostolskiej świecki za szczególne zasługi dla Kościoła katolickiego.

Zaskoczone kościelne jastrzębie (Grzegorz Górny na wPolityce.pl, Tomasz Terlikowski na malydziennik.pl) już zdążyły się na decyzję papieża oburzyć. Równie zaskoczone mainstreamowe portale katolickie albo przemilczały problem, albo wspominając o nim, przyjęły bezkrytycznie oficjalne wyjaśnienia Watykanu, że pani Ploumen otrzymała order w wyniku zwyczajowego obyczaju dyplomatycznego. Pojawiły się też inne wyjaśnienia: że laureatka orderu w przeszłości pracowała w katolickiej organizacji i wspierała politykę Kościoła w Ghanie...

Mnie, o czym piszę z przykrością, tego rodzaju decyzja papieża już nie zaskakuje. Nie uważam jej za błąd watykańskich urzędników, niezamierzoną pomyłkę, wpadkę. To element szerokiej strategii Franciszka.

Zaszokowanym pragnę przypomnieć, że to kolejny ukłon głowy Kościoła w stronę zwolenników prawa do aborcji. Jakiś czas temu w wywiadzie dla „Corriere della Serra" Franciszek pochwalił Emmę Bonino, byłą włoską minister i europejską komisarz. Gdy zwrócono mu uwagę, że w sprawie aborcji pani Bonino jest po innej stronie niż katolicy, papież odpowiedział, iż to nie ma znaczenia, bo przecież robi wiele dobrego dla Afryki.

Przywołajmy jeszcze jedną, bardzo znaczącą decyzję Franciszka. Otóż aborcja była zawsze traktowana przez Kościół jako przewina niesłychanie poważna, automatycznie powodująca ekskomunikę osób, które się do niej przyczyniły. Dlatego do niedawna była tzw. grzechem zastrzeżonym: władzę jego odpuszczenia posiadali wyłącznie biskup diecezjalny oraz wybrani przez niego kapłani.

Jednak we wrześniu 2015 r. papież na rok (a po roku na stałe) udzielił prawa odpuszczania grzechu aborcji wszystkim kapłanom katolickim. Ta decyzja – choć Ojciec Święty głośno tego nie powiedział – faktycznie oznacza, że ciężar tego grzechu powinniśmy uważać za znacznie mniejszy niż za pontyfikatu Jana Pawła II.

Trudno w tej kwestii mówić o nieporozumieniu czy o zbiegu okoliczności. Franciszek jest konsekwentny. Na naszych oczach zmienia zasady katolickiej moralności. Czy na lepsze?

*Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl*



eprasa.pl f264cc2d81

RZECZY POSPOLITE

# Lincz na Jacku P.



*Tomasz* ***Łysiak***

Wielu przeciwników tzw. dobrej zmiany twierdzi, że właściwie nie ma potrzeby reformowania sądów. Chyba tylko osoba, która nigdy się nie zetknęła z realiami wymiaru sprawiedliwości, może uważać, że powinno się wyłączyć adeptów Temidy spod społecznej kontroli (a de facto tak właśnie jest).

Ostatni wyrok sądu dotyczący Jacka Piekary potwierdza stan, w jakim znajduje się polskie sądownictwo – nie tylko jeśli chodzi o kwestie obszaru prawa regulującego działanie instytucji sądowych, lecz także (a może przede wszystkim) o to, jacy ludzie są obecnie sędziami i czym się kierują, ferując wyroki. Piszę „czym się kierują", gdyż nie ulega wątpliwości, że nie tylko literą prawa ani nawet duchem sprawiedliwości. Dają się powodować zarówno czynnikom zewnętrznym (naciskom w różnej formie), jak i własnym sympatiom politycznym czy światopoglądowi.

Na chłopski rozum: przeprowadzenie zaocznie procesu wobec kogoś, kto nawet nie wie, że taki proces się toczy, i skazanie go na prawie 0,5 mln kary (wysokie koszty przeprosin w prasie) za niestosowny w oczach powódki wpis na Twitterze, to jest historia szyta nićmi, które tworzyły świat absurdu w prozie Kafki. Tu jednak nie są one osnową fikcji, lecz istnieją w świecie rzeczywistym.

Jaki jest prawdziwy powód takiej kary i takiego sposobu procedowania? Oczywisty – pan Jacek Piekara ma konserwatywne poglądy. Jednym słowem: w oczach sądu to pisior i Imperium Zła. A pani Wellman jest od Mistrza Yody i rebeliantów, którzy walczą o Dobro we Wszechświecie. I dlatego sąd nawet nie powiadamia pozwanego o toczącym się postępowaniu, a potem łup mu w łeb połową miliona. W ramach walki z ciemną stroną Mocy.

To podobne działanie jak tego lekarza, który wywiesił kartkę na drzwiach gabinetu, że nie będzie leczył ludzi z PiS. Rozkręcana przez opozycję histeria powoduje, że wszystko, co pisowskie, zasługuje na walkę przy użyciu wszelkich środków, nawet wtedy gdy trzeba złamać zawodowe kodeksy etyczne.

I dlatego sąd w wypadku Jacka P. postanowił zrobić wszystko, by w jego sprawie nie triumfowały ani prawo, ani sprawiedliwość.

# Totalny klops



*Piotr* ***Cywiński***

Rzecz dzieje się w Polsce, czyli nigdzie" – jak pisał kiedyś antenat teatru absurdu Alfred Jarry w farsie „Ubu Król". Tym razem chodzi o pewien polski tygodnik, a ściślej – o twórczość pewnego autora kulinarnych przepisów. Ostatnio rzeczony (nazwsko pomijam, bo byłaby to nobilitacja) upichcił na łamach klopsa z „bakaliami do wyboru", nie takiego „dodatkowo napchanego namoczoną bułką, okraszonego suto sosem dla pokrycia słabości składników", którym gardzi. Cechą charakterystyczną onego kuchcika jest to, że pichci i pije. To znaczy nie wiem, czy i co pije przy pichceniu, wiem natomiast, do kogo i czego pije w swych publikacjach.

„Co ja tak od początku roku z tym klopsem?" – zapytał sam siebie i sam sobie odpowiedział, cytuję wiernie: „Ma [ten klops – dopisek mój] znaczenia – smakowite, jak powyżej [czyli wedle wskazań autora – też dopisek mój], i drugie – niepowodzenie, porażka, klapa. Jak, nie przymierzając, Adrian A.D., podający się za obrońcę rzeczy bardzo ważnych. Panie Adrian! Z taką obroną to raczej III liga albo jeszcze niżej... Niedługo to My będziemy powoływać kadrę, się zobaczy, panie Adrian!". Koniec cytatu.

Kto to jest „My", pisane z atencją wielką literą, ony nie precyzuje. Można się jedynie domyślać, że to pewnie jakaś rzesza pierwszoligowych Kuchennych Obrońców Dań, w skrócie KOD. Kucharzy przepojonych troską o niebo w gębie i w ogóle. Ażeby się spełniło to niebo, należy bakalie zalać ciepłą wodą, pokroić, poddusić, zamieszać, doprawić finalnie, wyrobić dokładnie i ułożyć na wierzchu w natłuszczonej formie na dachówkę... – to też zaczerpnąłem z jego przepisu. Innym razem, w tekście pt. „Brukselka", ów dyżurny autor wyłuszczył, że jej nazwa pochodzi z Belgii, że „była w lekkim impasie", ale „wraca do łask". Bo witamin ma dużo i minerałów, a i „sulforafan, mający działanie antynowotworowe". Ot, prosta, elegancka potrawa, „może nie aż tak jak pani poseł w randze profesora", ironizował na koniec, bez podania jej nazwiska. Się wie!

Ile uroku może mieć pichcenie. I pisanie o pichceniu. „Na moją zieloną świeczkę" – jak mawiał Ubu Król, dania zaiste jak w jadłospisie z farsy Jarry'ego: „Zupa polska, boczek z rastrona, cielę, kurczę, pasztet z psa, kupry indycze, szarlotka á la russe"...



eprasa.pl f264cc2d81

# Wesprzyj budowę Pomników

*Komitet Społeczny Budowy Pomników: śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 r. prowadzi zbiórkę publiczną na pokrycie kosztów związanych z powstaniem monumentów.*

*W skład komitetu wchodzą m.in. prezes PiS Jarosław Kaczyński, bliscy i krewni ofiar tragedii smoleńskiej, premier, wicepremierzy, marszałkowie Sejmu i Senatu oraz wiele znanych i cenionych postaci życia publicznego.*

*Serdecznie zachęcamy naszych Czytelników do finansowego wsparcia tej inicjatywy, której celem jest godne upamiętnienie w sercu Warszawy śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i osób, które towarzyszyły mu w tragicznym locie do Smoleńska.*

*Poniżej prezentujemy wzór przelewu, za pomocą którego można przekazać pieniądze Społecznemu Komitetowi. Pieniądze można też przelać na podane niżej konto.*

*Z góry dziękujemy,* ***Redakcja tygodnika „Sieci”***

DOWÓD/POKWITOWANIE DLA ZLECENIODAWCY

nr rachunku odbiorcy
35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

odbiorca:
KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:
DAROWIZNA NA BUDOWĘ POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

stempel dzienny

opłata:

nazwa odbiorcy
KOMITET SPOŁECZNY BUDOWY POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP

nazwa odbiorcy cd.
LECHA KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010

nr rachunku odbiorcy
35 1540 1287 2216 5879 7578 0001

waluta
W P P L N

kwota

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy c.d.

tytułem
DAROWIZNA NA BUDOWĘ POMNIKÓW: ŚP. PREZYDENTA RP LECHA

tytułem cd.
KACZYŃSKIEGO ORAZ OFIAR TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ 2010 W WARSZAWIE

06

Opłata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

DAR
NA
BUDOWĘ
POMNIKÓW




SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

**REDAKTOR NACZELNY:** JACEK KARNOWSKI

**ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:**
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

**AUTORZY:**
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

**DYREKTOR WYDAWNICZY:** MACIEJ WOŚKO

**PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA:** JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

**DYREKTOR ARTYSTYCZNY:**
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

**STUDIO GRAFICZNE:**
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
**FOTOEDYCJA:**
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ZELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

**WYDAWCA:** FRATRIA SP. Z O.O.
**PREZES:** ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

**PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:**
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

**WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:**
**91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

**PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:**
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH $7^{00}$ – $17^{00}$.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

**DRUK:** LSC COMMUNICATIONS EUROPE
**NAKŁAD:** 122 980 EGZ.

**DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:**
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
**BIURO REKLAMY:**
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DABROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

**KOLPORTAŻ:** KOLPORTAZ@FRATRIA.PL



*REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.*
*COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.*
*WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE*
*(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).*


PBC Polskie Badania Czytelnictwa

NAKŁAD KONTROLOWANY

**NA OKŁADCE:** ANDRZEJ WIKTOR (x2), JULITA SZEWCZYK, SHUTTERSTOCK (x5)




eprasa.pl f264cc2d81



# Polska pod presją



eprasa.pl f264cc2d81



Restytucyjne żądania kierowane pod adresem Polski oznaczają de facto, że nasze państwo musiałoby płacić za niemieckie zbrodnie

*Presja na restytucję mienia żydowskiego i wypłatę rekompensat przez Polskę ma swoją nową odsłonę. I nowe mocne narzędzie w postaci ustawy, którą amerykańskie organizacje żydowskie przepychają przez legislacyjną maszynkę Kongresu USA. Gra idzie o miliardy dolarów odszkodowań. Przedstawiciele polskiego rządu uspokajają, jednak Polonia w Stanach Zjednoczonych twierdzi, że tym razem problem nie rozejdzie się po kościach*



**ALEKSANDRA RYBIŃSKA**

12 grudnia 2017 r. amerykański Senat jednogłośnie przyjął ponadpartyjną ustawę nr 447 o nazwie „Justice for Uncompensated Survivors Today (JUST, czyli sprawiedliwość dla ocalonych, którym nie zadośćuczyniono)", autorstwa prominentnego senatora republikanów Marca Rubio oraz senator demokratów Tammy Baldwin. Ustawa daje Departamentowi Stanu USA prawo do wspierania żydowskich organizacji ubiegających się o odzyskanie majątków żydowskich właścicieli, którzy nie zostawili po II wojnie światowej spadkobierców. Odnosi się ona przy tym do 46 państw-sygnatariuszy Deklaracji terezińskiej z 2009 r., do których należy także Polska (podpisał ją Władysław Bartoszewski).

W założeniu zwrot majątków żydowskich (chodzi o te, których właścicieli wymordowano wraz ze wszystkimi krewnymi, którzy mogliby zgłaszać do nich roszczenia w normalnym prawnym trybie, dotyczy więc zdecydowanej większości przedwojennej żydowskiej własności prywatnej) ma wesprzeć nielicznych już ocalałych z Holokaustu. W praktyce może jednak wspierać organizacje, które żadnego związku z Polską ani polskimi Żydami nie mają. „Restytucja" bowiem oznacza przywrócenie własności czegoś, co posiada prawowitego właściciela. Jeśli takowego nie ma, jest niemożliwa, a właśnie tego domagają się organizacje żydowskie, które chcą wejść w rolę spadkobierców.

## CO ZROBI TRUMP?

Ustawa czeka na głosowanie w Izbie Reprezentantów oraz na podpis prezydenta Donalda Trumpa. Nie wiadomo jednak, czy kongresmeni pójdą w ślad senatorów i ją uchwalą, bo jak twierdzi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" amerykanista prof. Zbigniew Lewicki, „ustawa może też zwyczajnie przepaść". – Została przyjęta w Senacie jednogłośnie, przez aklamację, jak często jest w przypadku ustaw czysto wizerunkowych. Na razie trafiła do komisji spraw zagranicznych izby i tam utknęła. Może być trochę tak jak w przypadku liberalizacji wizowej dla Polaków. Jedna izba Kongresu ją uchwaliła, więc wszyscy uznali, że to już załatwiona sprawa, a tymczasem druga nie poszła w ślad za pierwszą – podkreśla amerykanista.

Jeśli jednak Kongres doprowadzi procedurę legislacyjną do końca i ustawa wyląduje na biurku Trumpa, prezydent ją zapewne podpisze. – Jak dotąd podpisał wszystkie ustawy wychodzące z Kongresu. Dziwne by było, gdyby w przypadku tej akurat zrobił wyjątek – uważa prof. Lewicki.

Zdaniem amerykanisty nie należy jednak popadać w panikę. – Ustawa ta



eprasa.pl f264cc2d81

dotyczy wszystkich państw sygnatariuszy Deklaracji terezińskiej. Departament Stanu ma monitorować, jak te państwa wypełniają postanowienia deklaracji (zawierającej niewiążącą listę działań na rzecz ocalałych z Holokaustu, także w dziedzinie restytucji mienia – red.) i co roku sporządzać na ten temat raport. Nie są przy tym przewidziane żadne sankcje, jeśli amerykańska dyplomacja nie wywiąże się z tego zobowiązania. Ciekawe jest też to, że w ustawie jest mowa o rekompensatach za „bezprawnie" przejęte mienie żydowskie. Nie wiem, czy w Polsce w ogóle takie mienie istnieje, zgodnie bowiem z polskim prawem, gdy nie ma spadkobierców, majątek przechodzi na własność państwa. Tak jest zresztą w każdym cywilizowanym kraju – zaznacza.

W opinii prof. Lewickiego ustawa JUST to kolejna już odsłona sporu o restytucje i rekompensaty za żydowskie mienie, ciągnącego się od początku lat 90. – Sporu, w którym Polska jest poddawana presji z różnych stron i uporczywie gra na zwłokę. USA już od 25 lat uczestniczą w tym procesie pod naciskiem żydowskiego lobby. Jak byłem w MSZ, prowadziłem rozmowy na ten temat. Był wówczas powołany pełnomocnik ze strony amerykańskiej, Stuart Eizenstat, który mówił: „Musicie", a my kiwaliśmy głowami: „Oczywiście, jak tylko to będzie możliwe". Nie mówiliśmy „nie", ale też nie podejmowaliśmy żadnych działań w tym kierunku. W przypadku ustawy JUST Departament Stanu USA będzie musiał więc ponownie stwierdzić, że Polska nie wypełnia zobowiązań Deklaracji terezińskiej. I na tym się to moim zdaniem skończy – przekonuje profesor.

Szef gabinetu premiera Marek Suski także uspokaja. „Póki co ustawy nawet naszego największego sojusznika nie obowiązują w Polsce" – powiedział w Polskim Radiu 24. Dodał, że w oficjalnych rozmowach z przedstawicielami amerykańskiej administracji temat poruszany w ustawie 447 nigdy nie był podejmowany. „Rozmawiamy o współpracy w ramach NATO, w ramach rozwijania współpracy gospodarczej" – stwierdził.

Zdaniem politologa i eksperta ds. USA dr. Michała Kuzia z Uczelni Łazarskiego ustawa JUST wymusza jednak na Departamencie Stanu określoną postawę. – Jest jakby zmuszony porzucić rolę arbitra i trzymać otwarcie stronę żydowskich organizacji. Z tej postawy będzie rozliczany przez Kongres – mówi „Sieci" politolog. Neutralnością nie będzie się więc mógł zasłaniać, nawet gdyby chciał.

> Jeśli ustawa wyląduje na biurku Trumpa, prezydent ją zapewne podpisze – twierdzi prof. Zbigniew Lewicki

Jakakolwiek byłaby przyszłość, teraz żydowskie organizacje w USA świętują uchwalenie ustawy JUST jako wielki sukces. Prezes wykonawczy Światowej Organizacji ds. Restytucji Mienia Żydowskiego (World Jewish Restitution Organization – WJRO) Gideon Taylor oświadczył, że jest ona dowodem na „ponadpartyjne poparcie w USA dla ocalałych z Holokaustu oraz ich rodzin". „Teraz właśnie nadszedł czas na restytucję, gdy pozostali ocaleli jeszcze żyją" – dodał Taylor. Współautorka ustawy senator Tammy Baldwin zaproponowała wręcz, by z kwestii restytucji mienia żydowskiego zrobić „jeden z priorytetów amerykańskiej polityki zagranicznej". Jej zdaniem wywarłoby to „należytą presję" na państwa, które „nie wypełniają swoich zobowiązań". Takie państwa jak Polska, które zostały określone w ustawie JUST mianem „krajów szczególnej troski".

## ZADOŚĆUCZYNIENIE JUŻ BYŁO

Od lat żydowskie organizacje w USA, i nie tylko, podkreślają, że Polska to jedyny kraj, który nigdy nie zajął się kwestią odszkodowania za mienie zagrabione w czasie II wojny światowej lub przejęte tuż po niej. Organizacje, które wypowiadały się w tej sprawie oprócz Światowego Kongresu Żydów, to B'nai B'rith, Anti-Defamation League, American Jewish Committee, American Jewish Joint Distribution Committee i wiele innych.

Krytykują one m.in. brak przepisów reprywatyzacyjnych, co zmusza osoby starające się o restytucję mienia do zwracania się do polskich sądów. Planowana przez polski rząd tzw. duża ustawa reprywatyzacyjna nie przypadła im jednak do gustu. Projekt ustawy, jak wskazują przewodniczący WJRO i były ambasador USA w Austrii Ronald Lauder, „wyklucza zdecydowaną większość obywateli polskich, którzy przeżyli Holokaust, i ich rodziny".

Największe zastrzeżenia przywódców WJRO w projekcie, który Ministerstwo Sprawiedliwości opublikowało w październiku, budzi warunek, że prawo do rekompensaty będzie przysługiwać tylko tym osobom, które obecnie mają polskie obywatelstwo i znajdowały się na terytorium Polski w momencie przejęcia ich mienia przez władze komunistyczne. Krytykują też to, że projekt przewiduje, iż prawo do dziedziczenia roszczeń będą miały tylko osoby z pierwszej linii pokrewieństwa i małżonkowie. Zdaniem Laudera, który jest nie tylko szefem WJRO, ale też prezesem Światowego Kongresu Żydów (WJC), czyli działającej od 1936 r. federacji organizacji żydowskich, takie ustalenia projektu ustawy są krzywdzące dla większości polskich Żydów, którzy przeżyli Holokaust, a po wojnie znaleźli schronienie poza granicami Polski. Jego zdaniem należy stworzyć w Polsce „specjalne rozwiązania dla ludzi pochodzenia żydowskiego".

Tymczasem polska strona twierdzi, że wszyscy są traktowani w Polsce na równi przed prawem, zgodnie z zapisami zawartymi w Kodeksie prawa cywilnego, a Żydzi, którzy w efekcie wojny stracili swoją własność w naszym kraju, zadośćuczynienie już otrzymali. W pierwszy rzędzie od Niemiec. Traktat między RFN a Izraelem z 1952 r. zagwarantował wypłatę ocalałym 3,5 mld marek. Na tym się jednak nie skończyło, bo Niemcy Zachodnie wspierały Tel Awiw gospodarczo i finansowo przez lata. Szacunki mówią, że wartość tej



eprasa.pl f264cc2d81

pomocy sięgnęła nawet 60 mld marek. Jak mówi w rozmowie z „Sieci" były ambasador Izraela w Polsce Szewach Weiss, „pieniądze te pomogły odbudować izraelską państwowość". Zaznacza jednak, że „Niemcy rekompensowali głównie swoich żydowskich obywateli". – Dla nich było bardzo ważne wówczas, by móc wrócić do kulturalnego świata. Ale żadne rekompensaty nie są w stanie zadośćuczynić za to, co poeta Paul Celan nazwał „jeziorem zamrożonej żydowskiej krwi". Nie wiadomo, jak wycenić wartość człowieka, cierpienia ludzkiego – podkreśla Szewach Weiss. Żadna suma nie byłaby więc zgodnie z tym rozumowaniem wystarczająca, by wymazać doznane przez Żydów krzywdy.

Od 1997 r. Polska zwróciła gminom żydowskim w naturze mienie należące do nich przed wybuchem II wojny światowej. Wartość tych nieruchomości przekroczyła 205 mln zł. Do końca lipca 2013 r. Komisja Regulacyjna przyznała również żydowskim organizacjom wyznaniowym 82 mln zł w ramach rekompensat i odszkodowań za mienie, którego nie udało się oddać w naturze (zabudowane osiedlami cmentarze, zburzone synagogi etc.). Zdaniem Szewacha Weissa „nie może być w tym przypadku jednak mowy o realnej rekompensacie", gminy żydowskie bowiem nie radzą sobie z uporządkowaniem tego mienia. – Przed wojną w Polsce było ok. 1,4 tys. gmin żydowskich, a dziś jest może 10–11. To mienie generuje więc głównie koszty utrzymania – mówi.

Według niego Niemcy w trakcie wojny znacjonalizowali całe mienie polskie i żydowskie, a po wojnie polskie władze znacjonalizowały to, co było niemieckie, i powstał problem. – Procedura odzyskania tego mienia przed polskimi sądami jest zawiła. Może tysiącu, tysiącu dwustu żydowskim spadkobiercom to się udało. Ale większość spadkobierców żydowskich żyje przecież poza granicami Polski. Proponowałem niegdyś stworzenie umowy międzypaństwowej (między Polską a Izraelem – red.), która ustaliłaby sumę rekompensaty leżącą w zakresie możliwości Polski, w końcu Polacy i Polska też byli ofiarami faszyzmu. Należało dać te pieniądze ocalałym oraz ich spadkobiercom – twierdzi były ambasador. Pomysł ten nie został jednak podchwycony przez ówczesny rząd SLD.

Ustawa JUST i usilny lobbing organizacji żydowskich w USA za rekompensatą mienia bezspadkowego przez Polskę to zaś zdaniem Szewacha Weissa sprawa polityczna. – Ten temat ciągnie się od lat. Nowa krzywda (Polaków – red.) nie może jednak zrekompensować starej krzywdy. Tę sprawę należy załatwić na wysokim szczeblu państwowym, sprawiedliwie i według możliwości – zaznacza.

> 16 lipca 1960 r. Polska podpisała z USA układ, na mocy którego zaspokojono roszczenia amerykańskich obywateli, w tym pochodzenia żydowskiego

Co może być jednak do załatwienia w tej sprawie z USA, jeśli 16 lipca 1960 r. Polska pod rządami Władysława Gomułki podpisała ze Stanami Zjednoczonymi układ, na mocy którego wypłaciła amerykańskiemu rządowi 40 mln dol.? W zamian za to amerykański rząd zobowiązał się do rozdysponowania tych pieniędzy wśród swoich obywateli, których majątek został pozostawiony lub znacjonalizowany w Polsce po II wojnie światowej. W ten sposób całkowicie uregulowano i zaspokojono roszczenia amerykańskich obywateli, w tym pochodzenia żydowskiego. W pkt. IV tej umowy można przeczytać, że: „rząd Stanów Zjednoczonych nie będzie przedstawiał ani opowiadał się za skargami obywateli USA kierowanymi przeciwko polskiemu rządowi". Między 1948 a 1971 r. Polska analogiczne tzw. umowy indemnizacyjne zawarła także z innymi krajami (Austrią, Belgią, Kanadą, Danią, Francją i Wielką Brytanią).

## FAŁSZYWA NARRACJA

Mimo tego presja na restytucję mienia żydowskiego i wypłatę rekompensat przez Polskę nie maleje. Temat ten był przedmiotem debat m.in. w brytyjskiej Izbie Lordów oraz na forum Parlamentu Europejskiego, a presja często idzie w parze z oskarżeniami o antysemityzm.

Oskarżyciele zapominają przy tym, że to Polska była jedną z głównych ofiar nazistowskich Niemiec i w przeciwieństwie do wielu innych krajów Europy z nimi nie kolaborowała. Jak podkreślił Marek Suski, „jeśli są jakieś skutki wojny, to należałoby się zgłaszać do agresora, a nie do ofiary". Polska musiałaby najpierw otrzymać rekompensatę za zagrabione i zniszczone przez Niemców podczas wojny mienie. Światowa Organizacja Żydów twierdzi tymczasem, że umowa zawarta w 1960 r. z USA dotyczy tylko tych obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy w chwili utraty mienia byli obywatelami USA właśnie. Tym samym nie dotyczy ona Żydów, którzy do USA przyjechali już po tym, gdy stracili mienie i dopiero wtedy zyskali obywatelstwo amerykańskie. Dla nich sprawa jest więc daleka od zakończenia.

Radca generalny Światowego Kongresu Żydów Menachem Rosensaft stwierdził w 2011 r., rozzłoszczony wypowiedzią ówczesnego szefa MSZ Radosława Sikorskiego, że jeśli „Stany Zjednoczone chciały pomóc polskim Żydom, dobry moment był na to w latach 1943–44, gdy większość z nich jeszcze żyła" – że „pomiędzy Jedwabnem i Kielcami niezliczeni Polacy czerpali korzyści z niemieckiego ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej". Jak dodał, „polski naród codziennie czerpie korzyści z wartego miliony milionów dolarów mienia, które Żydzi posiadali w Polsce przed 1939 r.".

W 1996 r. stojący wówczas na czele delegacji Conference on Jewish Material Claims Against Germany (tzw. Claims Conference) Israel Singer podczas spotkania Światowego Kongresu Żydów w Buenos Aires, powiedział: „Ponad trzy miliony Żydów zginęło w Polsce i Polacy nie będą spadkobiercami



eprasa.pl f264cc2d81

polskich Żydów. My nigdy na to nie pozwolimy. […] Jeśli Polska nie zaspokoi żydowskich żądań, będzie publicznie atakowana i upokarzana na forum międzynarodowym!". W następnych latach niektóre organizacje żydowskie wzywały do bojkotu ekonomicznego Polski, a w zachodnich mediach utrwaliła się narracja o Polsce, która skorzystała na zbrodniach popełnionych przez Niemców, nie tylko pozbywając się rzekomo znienawidzonych Żydów, ale także przejmując ich majątki.

Według Jonny'ego Danielsa z fundacji From the Depths ustawa JUST pokazuje, że kwestia restytucji przekracza relacje polsko-żydowskie i wpływa na międzynarodową sytuację Polski. – Ludzie nie rozumieją polskiej perspektywy. Nie rozumieją, że Polacy byli mordowani i wyrzucani z domów przez Niemców, a potem przez Sowietów. Nie wiedzą, jak ogromna była skala zniszczeń w Warszawie. Pokazałem parlamentarzystom z USA, Izraela i innych krajów Muzeum Powstania Warszawskiego. Większość z nich nawet nie słyszała o powstaniu, ani tym bardziej nie wiedziała o tym, że Warszawa została w takim stopniu zniszczona. Nie wiedzą też, że kwestia restytucji mienia żydowskiego stanowi zaledwie 7 proc. szerszego problemu – podkreślił Daniels w rozmowie z „Sieci". Problemu reparacji chociażby, których od Niemców domagają się Grecja i Polska. Zdaniem Danielsa łączenie postawy polskiego rządu w kwestii restytucji żydowskiego mienia z antysemityzmem jest „nonsensowne i zniesławiające".

Gabriel Kayzer, autor książki „Klincz? Debata polsko-żydowska", podkreśla, że polscy Żydzi byli obywatelami Polski „i nic do nich amerykańskim Żydom, którzy albo nie chcieli, albo nie potrafili im pomóc, kiedy tego najbardziej potrzebowali". „Przyznanie im więc choćby złotówki byłoby szarganiem pamięci milionów pomordowanych przez Niemców Żydów. Nie ma bowiem czegoś takiego jak kolektywna własność żydowska i nie ma jednego podmiotu reprezentującego wszystkich Żydów. Wypłacenie tym podmiotom pieniędzy zaszkodziłoby polskim Żydom, gdyż podważyłoby ich lojalność względem Polski. Potwierdzałoby to bowiem oskarżenia padające pod adresem Żydów, że zawsze będzie im bliżej do Żydów z innych państw, niż do Polaków i Polski, i nigdy nie byli i nie będą lojalnymi obywatelami Rzeczpospolitej" – mówił Kayzer w jednym z wywiadów.

„Akceptacja przez polskie władze urojonej legitymacji amerykańskich organizacji żydowskich czy Izraela do występowania w imieniu polskich Żydów nosiłaby znamiona antysemityzmu, gdyż Polska potraktowałaby w ten sposób polskich Żydów nie jako polskich obywateli, których reprezentują polskie władze, ale jako ludzi jej kompletnie obcych, których reprezentują Żydzi będący obywatelami innych państw. Byłoby to również działanie antypolskie, gdyż faworyzowałoby Żydów kosztem Polaków, którzy utracili swoje majątki w czasie II wojny światowej oraz po niej, a nie otrzymali z tego tytułu żadnych rekompensat. Zaszkodziłoby to więc zarówno polskim Żydom, jak i Polakom. W interesie państwa polskiego, Polaków i polskich Żydów leży więc jak najszybsze ukrócenie bezprawnych działań organizacji żydowskich" – dodał Kayzer.

> Będziemy wysyłali listy do wszystkich kongresmenów, tak aby zablokować ustawę 447 – mówi działacz polonijny Waldemar Biniecki

Janusz Sujecki, czynny w polskim środowisku żydowskim działacz kulturalny, w rozmowie z „Sieci" wyraził się jeszcze dosadniej: – Działania amerykańskiej dyplomacji są nieco spóźnione, bo w czasach gdy dokonywał się Holokaust i do USA z misją przyjechał Karski, nie pociągnęło to za sobą realnej próby ratowania polskich Żydów. Nic mi nie wiadomo o tym, by środowiska amerykańskich Żydów wówczas naciskały na amerykańską dyplomację. Albo by odbyły się wtedy jakiekolwiek protesty tych środowisk. Obudzenie się teraz, gdy chodzi o pieniądze po tych, którzy zostali wymordowani, i wtedy bezskutecznie czekali na pomoc, jest dla mnie szokujące – mówi Sujecki.

Jego zdaniem celem działań organizacji żydowskich w USA jest podsycanie antysemickich nastrojów w Polsce. – Obserwuję to od wielu lat. Nie wierzę w to, że ci, którzy są inicjatorami ustawy JUST, nie zdawali sobie sprawy z tego, jakie mogą być konsekwencje ich działań. A zapłacimy za nie wszyscy. To ja mówiąc, że mam korzenie żydowskie i jestem wyznawcą judaizmu, będę zbierał spojrzenia i komentarze. To podobna sytuacja jak wówczas, gdy bogaty żydowski lichwiarz kogoś wykończył, a obrywał za to szewc albo krawiec. To zawsze tak się kończy – dodaje.

## POTĘŻNE WPŁYWOWE LOBBY

Niemniej jednak od lat amerykańska dyplomacja przychylnie odnosi się do żądań żydowskiego lobby. W 2015 r. członek Kongresu Kathleen Rice wystosowała list do ówczesnego sekretarza stanu Johna Kerry'ego, w którym domagała się, by amerykańska dyplomacja podjęła działania w sprawie restytucji mienia pożydowskiego.

Departament Stanu odpowiedział jej, że „traktuje ten problem priorytetowo". W liście do Kathleen Rice można również przeczytać: „Dzielimy pani obawy dotyczące powolnego postępu w kwestii restytucji oraz rekompensaty dla ofiar i spadkobierców Holokaustu. Departament Stanu czynnie wspiera restytucję oraz inne sprawy związane z Holokaustem podczas spotkań dyplomatycznych z władzami innych państw oraz publicznych wystąpień we wszystkich krajach, o których pani wspomniała (w swym liście)". Teraz ta procedura, za sprawą ustawy JUST, ma najwyraźniej zostać sformalizowana.

Wypada też zapytać, dlaczego USA są gotowe ryzykować dobre relacje z Polską, którą prezydent Trump nazwał podczas swej ubiegłorocznej wizyty nad Wisłą „najwierniejszym sojusznikiem USA"? Odpowiedzi na to pytanie po części udziela książka amerykańskich



eprasa.pl f264cc2d81

politologów Stephena Walta i Johna Mearsheimera „Lobby izraelskie i amerykańska polityka zagraniczna", która ukazała się w 2006 r. i wywołała za oceanem spore kontrowersje. Jej autorów oskarżono o antysemityzm, tak jak wcześniej Normana Finkelsteina za jego „Przedsiębiorstwo Holokaust".

Walt i Mearsheimer twierdzą, że amerykańskie organizacje żydowskie mają ogromny wpływ na politykę zagraniczną USA, co powoduje, że nie zawsze jest ona zgodna z interesem samych Stanów. Jak powiedział Walt, który wykłada na Harvardzie, w wywiadzie dla „WikiTribune" w grudniu 2017 r., „szeroko pojęte lobby to w tym wypadku organizacje, które pchają politykę amerykańską w kierunku, który faworyzuje Izrael oraz interesy żydowskich grup". „Co je różni od innych lobby? To, że odnoszą sukcesy" – dodał. Według niego do tych sukcesów należało uznanie w latach 90. przez Kongres Jerozolimy za stolicę Izraela.

„Kongres jest o wiele silnej poddany lobbingowi żydowskich organizacji niż prezydenci, którzy są bardziej samodzielni i mniej zależni od zewnętrznego finansowania niż kongresmeni i senatorowie. Dlatego kolejni prezydenci wstrzymali się od pójścia w ślad Kongresu w sprawie Jerozolimy. Dopiero z Trumpem to się zmieniło" – zaznaczył politolog. Jak twierdzą niektórzy, stało się tak także dlatego, że obecny prezydent, znienawidzony przez establishment, znalazł w elitach żydowskich sojusznika. Magnat kasynowy Sheldon Adelson przeznaczył na kampanię prezydencką Trumpa rekordowe 25 mln dol., a Ronald Lauder ponad milion. Poza tym córka prezydenta USA, Ivanka, przeszła z okazji ślubu z Jaredem Kushnerem na judaizm.

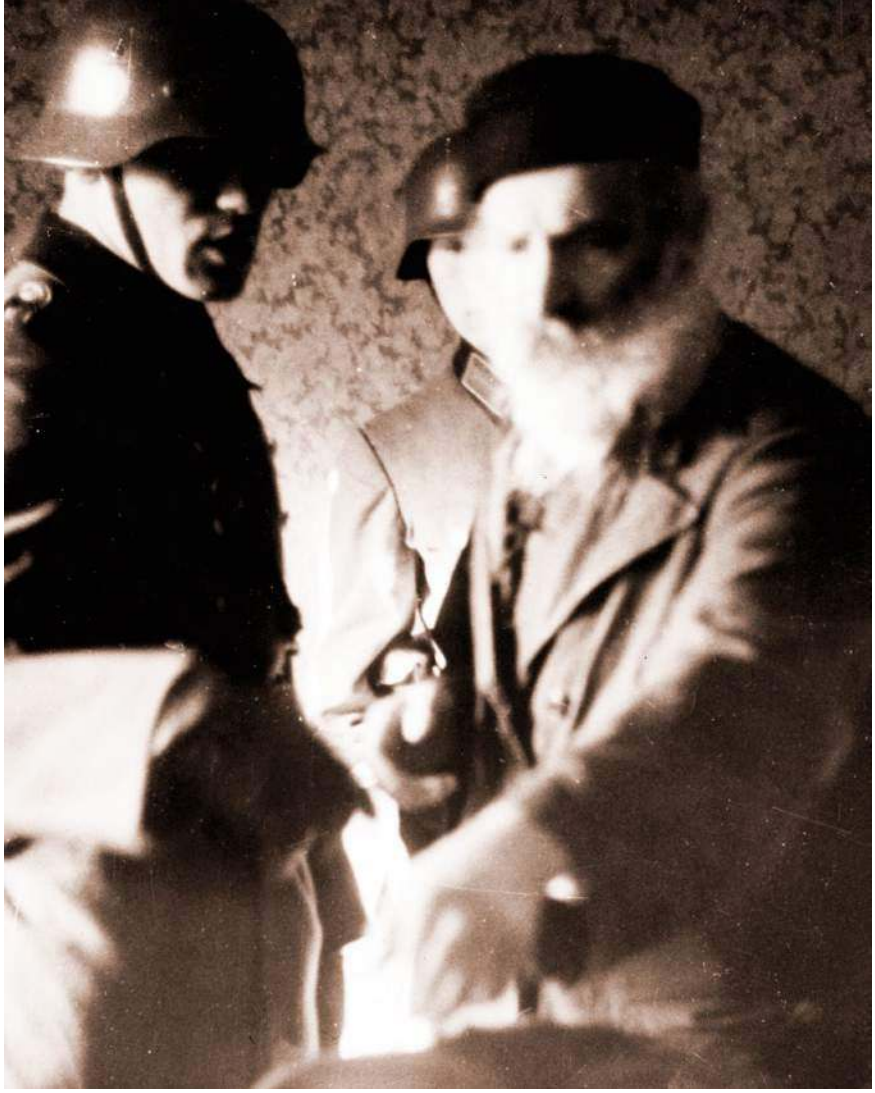
„Decyzja Trumpa dotycząca Jerozolimy nie pokazała wcale, że te organizacje teraz stały się wpływowe, tylko jak bardzo wpływowe są już od dawna. Było tak także za czasów administracji Obamy" – twierdzi Walt.

## POLONIA ŻĄDA BLOKADY USTAW

Co powinna więc w tej całej sytuacji zrobić Polska? Waldemar Biniecki, działacz polonijny w USA, publicysta i wykładowca akademicki, nie podziela w rozmowie z „Sieci" optymizmu prof. Lewickiego. – Należy podjąć jak najszybsze działania, by zablokować ustawę 447 uchwaloną przez Senat i bliźniaczą ustawę 1226, która trafiła do komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów. A tymczasem ta sprawa nie odbiła się w polskich mediach żadnym echem. Polski rząd także nie podjął w tej sprawie żadnych działań – mówi Biniecki, nie kryjąc rozczarowania.

– W tej sytuacji my zaczęliśmy działać. Mam na myśli grupę działaczy polonijnych, którzy tą kwestią zajmują się od lat. Demokraci popierają organizacje żydowskie i ich żądania restytucji. Utrwaliło się u nas natomiast przekonanie, że w przypadku republikanów jest inaczej, ponieważ Polacy są dzielnym narodem, który tyle dokonał w historii, więc republikanie nam to wynagrodzą. To błędne myślenie. Większość republikanów z południowych stanów to ewangeliccy chrześcijanie, którzy mają wielki szacunek do Izraela, dlatego oczekiwanie, że będą oni popierali Polskę, jest złudne. Tak może być, ale nie musi. To zależy od propolskiego lobbingu, tyle że takiego ze strony polskiej dyplomacji nie ma. Robi to więc Polonia. Mamy kilka kancelarii prawnych, które nam przygotowały ekspertyzy i te ekspertyzy przedstawiliśmy w liście do kongresmenów z komisji spraw zagranicznych. Pod listem podpisało się kilkadziesiąt organizacji polonijnych. Kolejne do nich dołączają. To pierwszy krok. Będziemy wysyłali podobne listy do wszystkich kongresmenów, tak aby zablokować ustawy 447 i 1226 – zapowiada Biniecki.

Jego zdaniem Polska jest kluczowym krajem dla organizacji żydowskich, jeśli chodzi o roszczenia restytucyjne. – To nie rozejdzie się więc po prostu po kościach. Polski rząd powinien traktować tę sprawę poważnie. My przypominamy Amerykanom o umowie z 1960 r. i tym, co z niej wynika: że rząd USA nie powinien i nie może wspierać żądań żydowskich organizacji – zaznacza Biniecki.



Fot. NAC



eprasa.pl f264cc2d81



Fot. Andrzej Wiktor

# Niech płacą sprawcy, a nie ofiary

Tu chodzi o majątek ludzi, którzy nie mieli spadkobierców. Prawo do niego ma państwo, którego ci ludzie byli obywatelami, a to byli obywatele polscy

*Z prof. **Mieczysławem Rybą**, historykiem z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, rozmawia Marcin Wikło*

***Amerykański Senat przyjął ustawę, która teoretycznie otwiera możliwość dochodzenia roszczeń, także wobec Polski, dotyczących pożydowskiego mienia, którego właściciele nie pozostawili potomków ani testamentu. Czy istnieje zagrożenie, że ktoś nagle zażąda od naszego państwa takiego odszkodowania?***

***Mieczysław Ryba:*** Należy do tej sprawy podejść przede wszystkim merytorycznie. Jeśli chodzi o sprawy odzyskiwania majątków przez indywidualne osoby lub ich spadkobierców, to one dokonują się w sposób oczywisty w polskich sądach. Tutaj mówimy o sytuacji, gdy prawo do tych majątków miałyby pewne organizacje niewyznaczone postępowaniem spadkowym ani wolą nieżyjącego właściciela. Nawet jeśli nie mamy w tej chwili podstaw do wypłaty tych odszkodowań, to skala problemu rzeczywiście może być groźna, bo w Polsce żyło wielu Żydów, którzy w czasie wojny stracili życie, a ich majątki przepadły na rzecz państwa. Zdaję sobie sprawę z tego, że istnieją potężne lobby, które dla takich pieniędzy są w stanie wywierać naciski za pomocą tak potężnych sojuszników jak amerykański Senat.

***Szacunki są niejednoznaczne i niepotwierdzone, ale mówi się o nawet 230 mld zł. To rzeczywiście kwoty, dla których warto uruchomić naciski, i to się poniekąd dzieje także wobec Polski. Senat USA wytyczył ścieżkę, którą można iść po tę fortunę.***

Jeśli nie ma spadkobierców, to należy się zastanowić, kto ewentualnie mógłby taki majątek przejąć. Pamiętajmy, że Żydzi mieszkający przed wojną w Polsce byli polskimi obywatelami. Nie ma żadnych aktów prawnych cedujących ich prawa do majątku czy to na jakąkolwiek organizację, czy to na Państwo Izrael. Zabicie Żydów przez Niemców uderzało wprost w państwo polskie, które istniało nawet pod oku-



eprasa.pl f264cc2d81

pacją i było reprezentowane zarówno przez rząd na uchodźstwie, jak i przez struktury państwa podziemnego. Zatem rzeczowo się temu przyglądając, takie roszczenia nie mają żadnego prawnego umocowania.

***Jak słusznie podkreślają przedstawiciele polskiego rządu, prawo naszego, nawet najbliższego sojusznika nie jest naszym prawem, więc od tej strony jesteśmy kryci. Ale jak się zachować wobec nacisków grup lobbystycznych? Bo mam wrażenie, że to się teraz ma rozgrywać na tej płaszczyźnie.***

To są spore siły, które – jak się okazało – dotarły ze swym przekazem nawet do amerykańskich senatorów. Tego nie można lekceważyć nawet teraz, gdy mamy bardzo dobre, a z naszego punktu widzenia konieczne relacje ze Stanami Zjednoczonymi na strategicznych polach dotyczących gospodarki czy bezpieczeństwa. Niech te dobre kontakty przełożą się na skuteczne przeciwdziałanie różnym zakusom, bo nie ma żadnej racji, by obciążać nas kosztami działań Niemców w czasie okupacji hitlerowskiej.

***Ustawa mówi nieco ogólnie o Żydach, którzy nie pozostawili potomków, choć zdecydowana większość zginęła w Holokauście zgotowanym im przez Niemców. Jak skutecznie przedstawiać na forum międzynarodowym nasze racje, że to nie my, ale może bardziej Niemcy powinni być adresatami ewentualnych żądań?***

Podkreślmy, że chodzi o majątek ludzi, którzy nie mieli spadkobierców. Prawo do niego ma państwo, którego ci ludzie byli obywatelami, a to byli obywatele polscy. Pójście tropem narodowościowym nie powinno tutaj mieć zastosowania. Odwróćmy sytuację i odjedźmy na chwilę od mowy o majątku pożydowskim. Gdyby w Stanach Zjednoczonych zmarł bezpotomnie Polak, który nie zostawia testamentu, to dlaczego państwo polskie – czy tym bardziej jakaś polska organizacja – miałoby wysuwać żądania zwrotu jego majątku? Jeśli natomiast mówimy o śmierci spowodowanej działaniami okupanta i wyrządzeniu krzywdy nie tylko jednostce, lecz także społeczeństwu, to tutaj adresatem żądań bez wątpienia są Niemcy. W takim przypadku nie tylko organizacje żydowskie, lecz nawet państwo polskie może żądać zadośćuczynienia, co właśnie zaczyna się dziać.

***Sama zapowiedź żądania reparacji wojennych od Niemiec wywołała niemałe zamieszanie na forum międzynarodowym. Poza racją prawną potrzebna nam jest jeszcze tzw. soft power, dzięki której przekonamy opinię publiczną o tym, że to my mamy rację. Czy Polska ma taką siłę przebicia?***

W takich sprawach zawsze toczy się dyskusja, wręcz batalia, którą należy nazwać „polityką historyczną". Czasem ją lekceważymy, potrafimy machnąć ręką, gdy ktoś mówi o „polskich obozach koncentracyjnych". Po co robić histerię... Otóż widać, że to wszystko ma swoje konsekwencje praktyczne, bo gdy trochę odpuścimy, to potem nie będziemy traktowani poważnie. Tutaj jest konieczna bardzo spójna koncepcja, w której należy rozważyć, ile jesteśmy w stanie poświęcić dla naszych dobrych relacji, np. ze Stanami Zjednoczonymi, a na ile musimy być twardzi w konsekwentnym przedstawianiu własnej historii. Owszem, w XX w. mieliśmy do czynienia z antysemityzmem, szczególnie w wydaniu niemieckim, ale mówmy także o antypolonizmie w wydaniu i niemieckim, i sowieckim. To nam właściwie ustawi kontekst i pozwoli zrozumieć, że amerykański Senat otwiera de facto drogę do upominania się o odszkodowania od ofiar, a nie od oprawców.

***Nawet jeśli teraz wizja wypłaty odszkodowań za mienie pożydowskie tym amerykańskim organizacjom wydaje się odległa, to chyba należy mieć świadomość, że lobby, o którym mówimy, nie ustaje. Najpierw to była tylko publicystyka, teraz mamy ustawę. Jak się zabezpieczyć na przyszłość?***

Trzeba być ofensywnym i gotowym na podjęcie tego tematu na wielu polach: historycznym, prawnym, także publicystycznym. Teraz nie ma tematu, ale różne są dążenia ludzi, siły, i one się zmieniają. Tam, gdzie są duże pieniądze, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie je chciał zyskać. Trzeba być po prostu państwem sprawiedliwym, czyli takim, które w sposób uczciwy stara się tam, gdzie są jakieś krzywdy, im zadośćuczynić. Nie można przy tym jednak robić krzywdy własnemu państwu, godząc się na nieuprawnione roszczenia. Bo to mogłoby uruchomić reakcję łańcuchową. Niby innym problemem jest sprawa Kresów Zachodnich, ale kto nam zagwarantuje, że ośmieleni przez innych Niemcy kiedyś się o nie nie upomną. Podkreślam konieczność dbania o wizerunek, bo może się zdarzyć, że na podstawie nieprawdziwych opowieści o „polskich nazistach" komuś może przyjść do głowy uruchomienie machiny lobbystycznej. Doszliśmy niestety do momentu, że musimy udowadniać, iż nie jesteśmy wielbłądem, i musimy na to mieć twarde dowody.

***Podobnej konsekwencji potrzebujemy także w kwestii – wydawałoby się oczywistej – reparacji od Niemiec za II wojnę światową?***

Państwo niemieckie napadło na Polskę, okupowało nasz kraj, niszczyło go i mordowało Polaków. To są fakty. Reparacje od strony moralnej i prawnej są sprawą oczywistą. Ten temat jest dla nas ważny z wielu powodów. Trzeba Polsce zadośćuczynić, a to z kolei niosłoby ze sobą przypieczętowanie pewnej prawdy – kto był ofiarą, kto był agresorem. Ta prawda się rozmywa, dla młodych Niemców nie jest oczywista. Żydzi, uzyskując odszkodowania, sprawiają, że Holokaustu właściwie nie da się zanegować. Czy my możemy sobie pozwolić na odstąpienie od reparacji na pożytek bieżącej polityki, na oddanie tego tematu za „dobre słowo" z Berlina? Absolutnie nie. Ten mechanizm jest prosty. Europejczyk, który nie zgłębia polskiej historii, rozumie to tak: gdyby Polacy czuli się poszkodowani, żądaliby odszkodowania; skoro niczego nie chcą, to znaczy, że żadnej krzywdy od Niemców nie doznali. Sprawy nie było? No nie, nikt w Polsce nie ma moralnego prawa tak tego zostawić.



eprasa.pl f264cc2d81

*Po co prezes PiS zaplanował rekonstrukcję rządu i jak zamierza działać po niej*

# Plan Kaczyńskiego



STANISŁAW JANECKI

Czy za rekonstrukcją rządu kryje się jakaś szersza, logiczna strategia, czy rządziły tym przypadek lub kwestie osobowościowe albo ambicjonalne? – pytają nie tylko komentatorzy, lecz i wyborcy dobrej zmiany. Czy za tym wszystkim stoi jakiś plan Jarosława Kaczyńskiego, a jeśli tak, to co lider obozu rządzącego chciał tymi zmianami osiągnąć? Czy warto było zniechęcać część wyborców Prawa i Sprawiedliwości, którzy nie bardzo wiedzą, co się kryje za zmianami, a obawiają się ustępowania PiS przed starym systemem i jego ludźmi, obawiają się umacniania III RP, zamiast zrywania z nią? Z rozmów z wieloma politykami obozu rządzącego, analizy dziesiątków decyzji z ostatnich miesięcy oraz ze znajomości sposobu działania prezesa PiS i byłego premiera wyłania się coś, co można by nazwać planem Kaczyńskiego.

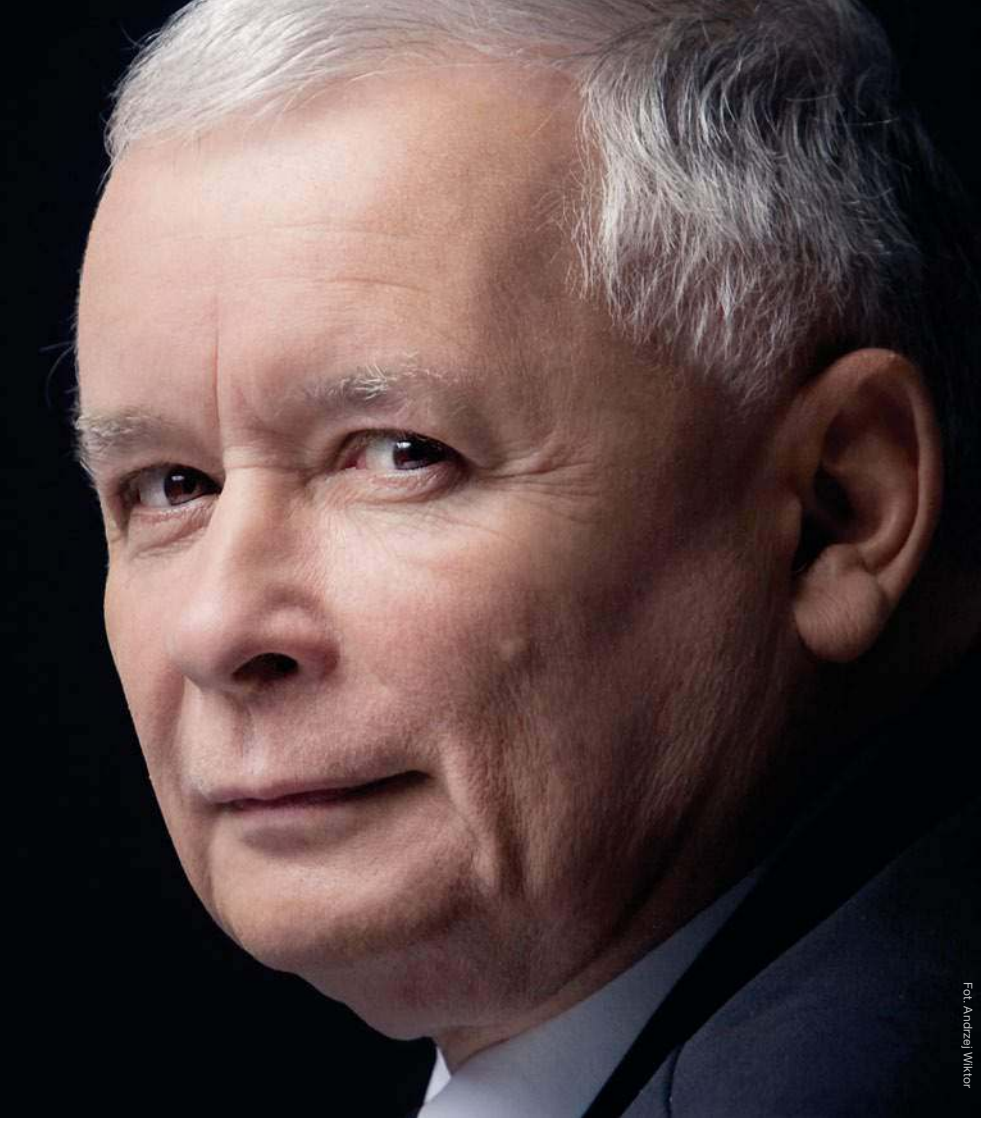
## RZĄD BEZ PARTYJNEJ POLITYKI

Jednym z celów rekonstrukcji rządu, uosabianym przez dymisje Antoniego Macierewicza, Witolda Waszczykowskiego oraz Jana Szyszki (i w znacznie mniejszym stopniu Konstantego Radziwiłła), było oddzielenie partyjnej polityki od rządu. Gabinet Mateusza Morawieckiego ma się zajmować wyłącznie rządzeniem, polityka partyjna zaś ma być skupiona wyłącznie na Nowogrodzkiej. Oczywiście rząd jest koalicyjny, gdyż dobrą zmianę tworzą poza Prawem i Sprawiedliwością także Porozumienie oraz Solidarna Polska, ale ponieważ szefowie tych ugrupowań – Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin – są ważnymi postaciami w rządzie, w ich wypadku polityka partyjna nie jest rozproszona między dwa ośrodki, jak było w wypadku PiS. Natomiast od powołania gabinetu Beaty Szydło 16 listopada 2015 r. polityka partyjna była w rządzie wszechobecna. Przede wszystkim z tego powodu, że bardzo ważnymi politykami PiS, z własnym zapleczem i sporymi wpływami, byli Beata Szydło, Antoni Macierewicz i Jan Szyszko. I oczywiście używali oni swoich wpływów oraz zaplecza w PiS do umacniania własnej pozycji w rządzie.

Skutki tego stanu rzeczy były co najmniej dwa. Po pierwsze, partia była cały czas w grze, jeśli któreś z tych trojga polityków lub ich stronników w rządzie potrzebowało wzmocnienia czy wsparcia przy forsowaniu swoich pomysłów, czyli PiS było wciągane



eprasa.pl f264cc2d81


Fot. Andrzej Wiktor

w rozgrywki wewnątrz rządu. I partia była też arbitrem w różnych konfliktach oraz grach. I to był drugi skutek mieszania się polityki partyjnej z rządową. Nowogrodzka, a szczególnie prezes PiS, byli ostateczną instancją rozstrzygającą. Początkowo ta instancja była wykorzystywana tylko w sporach dużego kalibru, z czasem w wielu nawet błahych. A to powodowało niekończące się pielgrzymki ministrów, czasem nawet wiceministrów, do siedziby PiS, żeby tam szukać ostatecznego rozstrzygnięcia.

Po rekonstrukcji rządu ma być tak, że Jarosław Kaczyński rozmawia o najważniejszych sprawach tylko z premierem Morawieckim, ministrowie zaś przestają traktować Nowogrodzką jako arbitra. Ma to uprościć funkcjonowanie rządu, zwiększyć jego decyzyjność i praktycznie zlikwidować federacyjność. Przynajmniej tych resortów, które zostały obsadzone przez ludzi PiS. O pozostałych z wicepremierem Jarosławem Gowinem i ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą w pierwszej kolejności ma rozmawiać Mateusz Morawiecki, a nie Jarosław Kaczyński, choć w wypadku obu ugrupowań koalicyjnych pozostanie instancja ostateczna w osobie prezesa PiS. Jak to będzie funkcjonować w praktyce, to się okaże, jednak częścią planu Kaczyńskiego było uwolnienie rządu od partyjnej polityki, bo to mu przeszkadzało w rządzeniu. Można oczywiście twierdzić, że skoro w rządzie pozostali wpływowi politycy PiS, Mariusz Błaszczak i Mariusz Kamiński, oraz doszedł Joachim Brudziński, partyjna polityka będzie wciąż obecna. Tyle tylko, że dotychczas nie funkcjonowali oni w taki sposób, by Kaczyńskiemu przysparzać kłopotów czy angażować go w rozstrzyganie sporów.

Paradoksalnie można powiedzieć, że w gabinecie Szydło zarówno ona sama, jak i ministrowie Macierewicz czy Szyszko byli za silni politycznie, aby nie komplikowało to technicznej i praktycznej strony rządzenia. I odeszli także z tego powodu, że byli silni. Morawiecki, mimo że jest premierem, własnego zaplecza w PiS praktycznie nie ma, a ministrowie Błaszczak czy Brudziński są po prostu utożsamiani z linią prezesa PiS (minister Mariusz Kamiński ma natomiast inne zadania).

Kiedy tworzono rząd Szydło, trzeba było uwzględnić różne siły obecne w PiS, żeby już na starcie nie było frustracji części polityków, co rzutowałoby na jedność i skuteczność obozu rządzącego. Po dwóch latach Kaczyński uznał, że jedność nie jest zagrożona, mimo niezadowolenia części wyborców, szczególnie ze zdymisjonowania Macierewicza. Mocno szwankowała natomiast jedność rządu, szczególnie wtedy gdy trzej wicepremierzy w gabinecie Szydło próbowali się porozumiewać ponad jej głową z Kaczyńskim. Po rekonstrukcji na poziomie rządu najważniejsze mają być spójność i praktycznie jeden ośrodek kierowniczy o technicznym charakterze – premier Morawiecki, co łatwo zaakceptowali wicepremierzy Jarosław Gowin oraz Piotr Gliński.

## STRATEGIA DLA KAŻDEJ GMINY

Duże znaczenie w planie Kaczyńskiego ma trwałość władzy, czyli zagwarantowanie sobie jej sprawowania na następne kadencje. I to wcale nie metodami niedemokratycznymi, lecz poszerzaniem poparcia. Przede wszystkim osiągnięciami gospodarczymi, znaczącą modernizacją i związanym z tym bogaceniem się Polaków oraz coraz skuteczniejszą pomocą socjalną, w następnym kroku przede wszystkim nastawioną na emerytów. Zmiana premiera oraz wymiana ministrów w resortach gospodarczych (łącznie z ich reorganizacją) dają Mateuszowi Morawieckiemu pełnię władzy nad gospodarką i domeną skarbu państwa. Przed rekonstrukcją władztwo nad gospodarką i skarbem było rozproszone. Ta konsolidacja ma przyspieszyć decyzje, szczególnie w kwestii strategicznych inwestycji (takich jak Centralny Port Komunikacyjny). Ma też sprzyjać uruchomieniu inwestycyjnego boomu, gdyż obecny poziom inwestycji zupełnie



eprasa.pl f264cc2d81

nie odpowiada ani oczekiwaniom, ani możliwościom polskiego sektora prywatnego, inwestorów zagranicznych czy skarbu państwa.

Częścią planu Kaczyńskiego jest przełożenie Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju Mateusza Morawieckiego na każdą polską gminę. Elementy tej strategii mają być skonkretyzowane i przystosowane do wszystkich jednostek samorządu. Tak, żeby każda gmina miała własną Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju i własną perspektywę modernizacji, inwestycji, nowych miejsc pracy, mieszkań czy programów socjalnych. Ten element planu Kaczyńskiego ma być wdrażany jak najszybciej, żeby już podczas kampanii samorządowej widać było pierwsze jego efekty.

Te elementy planu mają jednocześnie przyciągać nowych ludzi do obozu dobrej zmiany, a pośrednikiem w tych transferach na poziomie politycznym ma być przede wszystkim Porozumienie Jarosława Gowina. Oznacza to poszerzanie obozu dobrej zmiany, w czym część zwolenników widzi zagrożenie. Jarosław Kaczyński najwyraźniej uznał jednak, że w perspektywie czterech wyborów w latach 2018–2020 takie poszerzanie jest konieczne, gdyż warunkiem trwałości obecnej władzy jest wygranie tych wyborów. A potem będzie czas na skorygowanie strategii – tak jak skorygowano ją po dwóch latach rządów po wygranych w 2015 r. wyborach prezydenckich i parlamentarnych. Korekta ma być tym łatwiejsza, że w rządzie Morawieckiego ma już nie być frakcji ani udzielnych księstw, choć część polityków PiS w to wątpi. Tak jak wątpią w pełną kontrolowalność Morawieckiego, a przede wszystkim Gowina.

## RESET MIĘDZYNARODOWY

Wbrew opowieściom opozycji i niechętnych PiS mediów Jarosław Kaczyński całkiem sprawnie porusza się w obszarze polityki zagranicznej, choć nie przepada za osobistym uczestniczeniem w realizowaniu tej polityki. Zauważył jednak, że dwa lata bardzo twardej i podmiotowej polskiej polityki zagranicznej – zarówno w Unii Europejskiej, jak i poza nią – doprowadziły do powstania różnych formalnych i nieformalnych koalicji, którym ta polska polityka się nie podoba, bo tracą na tym interesy ich krajów. Broniąc reform dobrej zmiany, przede wszystkim w obszarze wymiaru sprawiedliwości, Polska musiała napotkać opór, i napotkała. Efektem były działania Komisji Europejskiej, skutkujące wszczęciem procedury wynikającej z art. 7 traktatu europejskiego. Efektem były działania prezydenta Francji Emmanuela Macrona, a nawet różne wypowiedzi niższych rangą urzędników Departamentu Stanu USA. To wszystko zostało wsparte ogromną nagonką medialną. Do tego doszedł Brexit, czyli wycofywanie się z UE strategicznego sojusznika Polski, mającego największą siłę i możliwości blokowania pomysłów przekształcania Unii w Stany Zjednoczone Europy.

> Ta nowa strategia zakłada m.in. odseparowanie partyjnej polityki od rządu, żeby nie narażać go na wstrząsy i umożliwić mu skuteczne rządzenie

Jarosław Kaczyński postanowił przeciąć narastanie antypolskiej kampanii, a do resetu naszych relacji międzynarodowych (z ważną częścią obronną) użył nowych ludzi: premiera Mateusza Morawieckiego, szefa MSZ Jacka Czaputowicza oraz ministra obrony Mariusza Błaszczaka. Nowi ludzie mają nie tylko łatwiejszy start, lecz również większą swobodę w renegocjowaniu tego, co ustalali ich poprzednicy. Dotyczy to nie tylko relacji na poziomie unijnych instytucji, lecz także resetu stosunków z Berlinem i Paryżem, a w mniejszym stopniu z Waszyngtonem. Ten reset, szczególnie w relacjach z Berlinem i Paryżem, jest potrzebny przede wszystkim w związku z Brexitem. Nie oznacza to zmiany generalnej strategii, ale taktyki. Także dlatego, że trudniejszym partnerem Polski w ramach najbliższego sojuszu, czyli Grupy Wyszehradzkiej, stał się nowy premier Czech Andrej Babiš. Nie chodzi o to, że Polska się poddaje czy wycofuje, lecz o zastosowanie nowych narzędzi. A nowi ludzie ułatwią reset relacji przede wszystkim z Berlinem i Paryżem. W wypadku Niemiec już byłyby efekty, gdyby nie kryzys z tworzeniem rządu po wyborach do Bundestagu z 24 września 2017 r.

I za koncepcją resetu stoi nie kto inny jak Jarosław Kaczyński, bezsensownie oskarżany często o nieumiejętność posługiwania się Realpolitik, choć jest akurat odwrotnie.

## UCIECZKA PRZED OPOZYCJĄ

Plan Kaczyńskiego zakłada odseparowanie partyjnej polityki od rządu, żeby nie narażać go na wstrząsy i umożliwić mu skuteczne rządzenie, a głównie umożliwić skok gospodarczy poprzez inwestycje. Oznacza poszerzenie obozu dobrej zmiany i wzmocnienie jego poparcia przede wszystkim poprzez sukcesy gospodarcze oraz kolejne programy socjalne. Oznacza reset w polityce międzynarodowej, przede wszystkim w relacjach z Berlinem, Brukselą i Paryżem. Jest to zatem plan rządzenia na co najmniej dwie kadencje.

Plan ten zakłada jedność obozu dobrej zmiany mimo jego koalicyjności i perspektywy jego poszerzania. Na razie jedności nie rozbiła wymiana ministrów, mimo niezadowolenia części wyborców PiS wyeliminowaniem z rządu Antoniego Macierewicza.

Na razie plan ten wzmacnia też słaba kondycja opozycji, ale to się zmieni bliżej wyborów. A dzięki tej słabości wewnętrzne problemy dobrej zmiany nie przeradzają się w kryzys. Gdyby opozycja była silniejsza, rekonstrukcja rządu nie przebiegłaby w miarę bezboleśnie. Ale to już problem opozycji. Plan Kaczyńskiego zakłada, że gdy opozycja się już pozbiera i wzmocni, obóz zjednoczonej prawicy będzie miał wystarczająco dużo sukcesów na koncie, żeby to wzmocnienie mu nie zagroziło.



eprasa.pl f264cc2d81

PGZ

POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA



# ODBUDOWUJEMY POLSKI PRZEMYSŁ OBRONNY

www.pgzsa.pl

eprasa.pl f264cc2d81



# Wyborca czy obywatel

*Od pewnego czasu mamy w Polsce do czynienia z osobliwą sytuacją. Nominacja Mateusza Morawieckiego na stanowisko premiera (jakkolwiek proces ten trwał zdecydowanie zbyt długo), a potem dokonana przez niego rekonstrukcja rządu spotkały się z szeroką aprobatą społeczną, co przejawia się wzrostem notowań rządu i partii Kaczyńskiego oraz kolejnym etapem kryzysu opozycji. Tymczasem spora grupa prawicowych publicystów oraz mediów lamentuje i wieszczy katastrofę*



eprasa.pl f264cc2d81


Fot. Andrzej Wiktor

BRONISŁAW WILDSTEIN

Słyszymy od nich, że nie tego oczekiwał wyborca PiS, a obecna parlamentarna większość zagrożona jest rewoltą oburzonego elektoratu. Wprawdzie nie mają nic na poparcie swoich tez, a wszystkie dane przeczą im w całej rozciągłości, ale w niczym im to nie przeszkadza.

Władza po serii reform i zmian instytucjonalnych nastawia się na zasadnicze wzmocnienie polskiej gospodarki, co jest działaniem ze wszech miar sensownym, ale w niczym nie rezygnuje ze swoich fundamentalnych zasad, czyli walki o podmiotowość Polski.

Natomiast ci, którzy jakoby odwołują się do czystości doktryny PiS, w rzeczywistości protestują wyłącznie przeciw zmianom personalnym i próbują nakręcić wewnętrzne napięcie w obozie prawicy. Zwłaszcza usiłują napiętnować prezydenta, przeciw któremu już od jakiegoś czasu toczą bezpardonową wojnę. I jakkolwiek nie mają specjalnego poparcia, to posiadanie mediów i możliwości wygrywania internetu – tysiąc wpisów można przedstawić jako trzęsienie ziemi – tworzy wrażenie realnego kryzysu i może, chociaż w małym stopniu, zagrozić prawicy. Warto więc przyjrzeć się anatomii tego zjawiska.

## SEKCIARSKIE ZAGROŻENIE

Określanie partii Kaczyńskiego jako „sekty" miało ją dezawuować. Terminem tym szafowali nie tylko propagandyści PO. Rafał Ziemkiewicz chlubił się, że to on polityczny podział kraju nazwał wojną „mafii z sektą", z czego tą pierwszą miało być ugrupowanie Tuska. Jakkolwiek niesprawiedliwa i w dużej mierze mistyfikująca rzeczywistość, klasyfikacja partii Kaczyńskiego sygnalizowała realne niebezpieczeństwo.

Stronnictwo to odwoływało się do mocnych idei i tożsamości. Usiłowało przywrócić znaczenie kategoriom patriotyzmu i dobra wspólnego, a więc w dobie cynicznego pragmatyzmu stosunkowo łatwo zarzucić mu było doktrynerstwo i fundamentalizm. Nie piszę, że oskarżenia te były słuszne, ale że w świecie dominującego relatywizmu, którego rewersem jest liberalny dogmatyzm, łatwo je było formułować. We wrogim otoczeniu, jakim dla PiS była cała III RP z jej zhomogenizowanymi ośrodkami opiniotwórczymi, mediami i dominującymi środowiskami kulturalnymi, jego działacze i zwolennicy znajdowali się pod stałym ostrzałem. Byli na cenzurowanym, na wrogim terytorium i aby przetrwać, musieli zwierać szeregi, bronić swoich i swojej tożsamości. Konieczna w takich warunkach postawa stwarza równie nieuniknione zagrożenie zamykania się we własnym gronie i w sekciarskiej mentalności. Nie twierdzę, że zachowanie takie zdominowało partię – w najmniejszym stopniu dotknęło jej przywódcę – niemniej jego elementy w tej zbiorowości musiały się pojawić.

Ich dodatkowym katalizatorem stała się tragedia smoleńska. Zachowanie nie tylko władz PO-PSL, lecz i głównych ośrodków opiniotwórczych III RP, które od początku narzucały jedyną, „słuszną" a nieprawdziwą interpretację tej katastrofy oraz odsądzały od czci i wiary wszystkich, którzy go nie zaakceptowali, było wielkim skandalem. Powinno zostać zapamiętane, tak jak instytucje oraz osoby publiczne, które kampanię tę organizowały. Tragedia ta musi zostać rozliczona. Ale po to, aby to zrobić, należało umieć postępować politycznie i wcześniej zdobyć władzę.

Tymczasem słuszne postawy i postulaty w sprawie smoleńskiej nabierały w niektórych wypadkach znamion monomanii i uniemożliwiały dostrzeżenie rzeczywistości w jej złożoności, np. tego, że większość Polaków przyjmowała oficjalną wersję nie z powodu zdrady ideałów, ale niezdolności do przeciwstawienia się dominującej narracji. Niektórzy spośród działaczy skoncentrowanych na smoleńskiej tragedii uznawali ją za wręcz mistyczne wyzwanie i odmawiali racjonalnego do niej podejścia. Oznaczało to odrzucenie politycznych uwarunkowań i wbrew zdrowemu rozsądkowi eksponowanie rozwiązania tej sprawy jako absolutnego priorytetu, co w efekcie skazywałoby PiS na trwałą redukcję do mniejszościowego, a z czasem marginalnego ugrupowania.

## CO GROZI ZWYCIĘZCOM

Na szczęście postawy takiej nie przyjął lider partii, który wyjątkowo ucierpiał w tej tragedii, a strategia PiS umożliwiająca zwycięstwo w wyborach 2015 r. polegała na eksponowaniu innych istotnych społecznie zadań.

Po sukcesie na skalę, której nikt nie oczekiwał, odezwały się głosy, że polityczne stanowiska winny być rozdzielane ze względu na gorliwość w dotychczasowym trwaniu przy Kaczyńskim. Były to z jednej strony opinie naturalne,



eprasa.pl f264cc2d81

z drugiej – antyrepublikańskie i antydemokratyczne, a w konsekwencji również samobójcze.

PiS szło do władzy pod hasłem wielkiej reformy kraju. Głosy, które zyskało w wyborach zarówno prezydenckich, jak i parlamentarnych, znacznie przekraczały dotychczasowy elektorat tej partii. Należały do tych, których porwała wizja dobrej zmiany, a także tych, którzy dość już mieli korupcji, kumoterstwa oraz nieudolności władzy PO i marazmu związanego z dotychczasowym status quo. Zwłaszcza te ostatnie należały do ludzi młodych, którzy poszukiwali dla siebie możliwości awansu.

Głosujący na Andrzeja Dudę i PiS znacznie wykraczali poza grupę „twardych" zwolenników partii. A mimo to nie stanowili większości społeczeństwa. Nie znaczy to, wbrew propagandzistom III RP, że ograniczać to powinno zdolność rządzenia zwycięzców wyborów. Liczba tych, którzy głosowali za konstytucją w 1997 r., była niewiele większa. Elektorat koalicji SLD-PSL, która samowładnie rządziła w latach 1993–1997, doprowadziła do przyjęcia konstytucji i stworzyła większość rozwiązań obowiązujących w III RP, był znacznie mniejszy. Niemniej, aby autentycznie transformować kraj, trzeba przekonać do siebie większość obywateli. Ambicje dobrej zmiany zmierzają dalej i są odmienne niż zamierzenia twórców III RP. PiS chodzi o odbudowę Rzeczypospolitej Polskiej. A do tego należy zmobilizować jej obywateli. Opieranie się wyłącznie na mniejszości wiernych w warunkach demokracji jest receptą na klęskę.

Zrozumiał to doskonale Viktor Orbán, któremu udało się przekształcić Fidesz w partię masową, jeszcze kiedy znajdowała się ona w opozycji. Jego rządy, które obecnie wyraźnie prowadzą w kierunku kolejnej, już trzeciej z rzędu wygranej, były strategią stopniowego budowania sobie poparcia we wszystkich sferach życia społecznego i zyskiwania tam sprzyjających sobie elit. A pierwotnie sytuacja Fideszu podobna była do PiS, gdyż zderzał się on z wrogością postkomunistycznego establishmentu równie silnego na Węgrzech, co w Polsce.

## NIE MA DWÓCH POLSK

Intelektualna strategia obrońców III RP polega na forsowaniu wizji dwóch Polsk: jednej otwartej, liberalnej i postępowej, a więc skazanej na sukces w starciu z tą drugą – zacofaną zaściankową, obskurancką. Opis ten był fałszywy nie tylko dlatego, że narzucić usiłował skłamany konflikt wartości. Był nieprawdziwy, gdyż nasz kraj wcale nie jest tak podzielony. Owszem, dla pewnej politycznie zaangażowanej mniejszości antagonizm między umownie: „Europejczykami" a patriotami jest gorący, ale większość jest raczej pogrążona w konfuzji i nie za bardzo wie, z kim się identyfikować. Nawet spora część zaangażowanych „Europejczyków" jest fundamentalnie przywiązana do wspólnych dla Polaków wartości. Nastawiona patriotycznie – choć nieco inaczej pojmuje patriotyzm niż jej adwersarze – jest religijna i rodzinna. Są to potencjalni wyborcy partii Kaczyńskiego.

> PiS chodzi o odbudowę Rzeczypospolitej Polskiej. A do tego należy zmobilizować jej obywateli. Opieranie się wyłącznie na mniejszości wiernych w warunkach demokracji jest receptą na klęskę

Niestety spora grupa prawicowych środowisk przyjęła suflowane im przez przeciwników wyobrażenie rzeczywistości. Wprawdzie odwracali znaki wartości, ale samo przedstawienie pozostawało niezmienione. W tym ujęciu prawica walczy z „obozem zdrady", który wyrzekł się polskości. A o ile, jeśli chodzi o elity III RP, diagnozy tej można do pewnego stopnia bronić, o tyle z pewnością nie można objąć nią nie tylko głosujących na formacje establishmentu, lecz nawet tych, którzy z nim w różny sposób współpracowali. Większość, jak zwykle, zajmuje się swoimi sprawami, a ich polityczne opinie bywają sprzeczne i podległe dominującym stereotypom. Jednak namiętni przeciwnicy III RP, zwłaszcza po Smoleńsku, swoje potępienie kierowali również przeciw nim.

Wyrastało z tego niebezpieczne przekonanie, że po zwycięstwie PiS winno kierować się wyłącznie ideologiczno-środowiskowymi kryteriami w obsadzie państwowych stanowisk. A nastawienie to szło dużo dalej niż demokratyczny obyczaj wymiany ważniejszych stanowisk państwowych.

Wyobrażenie o istnieniu niezależnych profesjonalistów we wszelkich dziedzinach społecznych, którzy w oparciu o czyste kryteria wiedzy są w stanie rozstrzygnąć wszelkie problemy, należy do współczesnej mitologii. Wspiera ono dominujący establishment, który do pewnego stopnia swoje ideologiczne rozwiązania potrafił narzucić jako obiektywne miary rzeczy. Zjawisko to silnie występuje w III RP. Na drugi dzień po upadku komunizmu słyszeliśmy, że nie możemy pozbywać się profesjonalistów, bez których zawali się państwo. Byli to ci, którzy doprowadzili je do stanu, w jakim znalazło się w 1989 r.

Jednakże różny stopień wiedzy, inteligencji i talentu jest i zawsze będzie faktem. Zwycięska partia, zwłaszcza taka, której celem jest zasadnicza zmiana status quo, w swoich nominacjach na kierownicze stanowiska musi kierować się kryteriami światopoglądowymi, ale nie może się do nich ograniczać. Najgorsze z możliwych byłoby zamykanie się środowiskowe. Zadaniem winno być rozszerzanie swojego zaplecza.

## CZEMU BYĆ WIERNYM

Tymczasem „najwierniejsi z wiernych" oczekiwali, że to oni otrzymają wreszcie nagrodę za swoją postawę. Zachowanie to jest naturalne, ale prowokuje śmiertelne zagrożenie dla poważnie pojmowanej polityki. O jednym już wspominałem. Chodzi o zatracenie rozumienia, czym ona jest. Roztropne zabieganie o dobro wspólne, zwłaszcza w systemie



eprasa.pl f264cc2d81

demokratycznym, musi opierać się na kompromisach i na ograniczeniu zamierzeń. Polityka nie może zbawić ludzi, a najwybitniejsi mężowie stanu nie zbudują doskonałego świata. To ideologie, które mają charakter świeckich religii, obiecują ziemską utopię. Dlatego politykę należy oceniać w perspektywie możliwości, a nie marzeń. A licytacja na „wierność" doskonale ukrywa różnego typu interesy.

Sprawą podstawową jest to, że Polska nie jest własnością żadnej grupy ani nawet pokolenia. Ci z prawej strony, którzy tak lubią odwoływać się do swoich zasług, powinni zachować nieco więcej umiaru, żeby nie powiedzieć przyzwoitości. Gdyż zaczynają zachowywać się jak Michnik czy Frasyniuk. A zasługi tamtych w walce z komuną są rzeczywiście poważne, niezależnie od tego, co robili potem. Tymczasem ci, którzy słusznie piętnowali zawłaszczanie naszego kraju przez PO, obecnie dają podstawy, aby zacząć ich oskarżać o to samo. To, że na ustach mają cały czas Ojczyznę, jest tylko okolicznością obciążającą.

Już w momencie tworzenia rządu Beaty Szydło czytaliśmy w prawicowych mediach wątpliwości co do roli w nim Mateusza Morawieckiego, który nie miał być dostatecznie „swój". Zamiast cieszyć się, że rząd staje się szerszą reprezentacją, nie tracąc nic ze spójności, spotykaliśmy postawę odwrotną.

Ci sami, którzy uzurpowali sobie prawo do decydowania, kto ma być w rządzie, jednocześnie nie byli w stanie zaakceptować, że prezydent wykorzystał swoje uprawnienia, wetując projekty reform wymiaru sprawiedliwości. Można zgodzić się, że w tamtym momencie sprawa nie była taka oczywista i można było mieć wątpliwości co do tego posunięcia. Obecnie jednak okazało się, że wyszło ono na dobre reformie i Polsce. Zamiast to przyznać, słyszymy po prawej stronie sarkanie, że Duda „nie jest pewny". Po ostatniej rekonstrukcji rządu przerodziło się ono w kampanię insynuacji.

Znamienna jest personalizacja polityki ze strony prawicowych radykałów. I w tym zaczynają przypominać swoich głównych wrogów. Jeśli odwołujemy się do narodu i patriotyzmu, tym większy powinniśmy mieć dystans do bałwochwalstwa poszczególnych osób i rozpatrywać problemy, a nie kierować się wiernością konkretnym politykom. Wierni mamy być swojej wspólnocie i zasadom. Jeśli zmiany w rządzie potrafią zwiększyć dla niego poparcie bez rezygnacji z celu, dla którego został on powołany, powinniśmy cieszyć się, a nie opowiadać o tym, że na kogo innego głosowaliśmy, bo to nieprawda. Głosowaliśmy na rząd PiS, który przedstawił określony program i jak dotąd go się trzyma.

Ci z prawej strony, którzy tak lubią odwoływać się do swoich zasług, powinni zachować nieco przyzwoitości. Gdyż zaczynają zachowywać się jak Michnik czy Frasyniuk. Ci, którzy słusznie piętnowali zawłaszczanie kraju przez PO, obecnie dają podstawy, aby zacząć ich oskarżać o to samo. To, że na ustach mają cały czas Ojczyznę, jest tylko okolicznością obciążającą

## NIE PRZECENIAĆ

Awantura wokół odwołania Antoniego Macierewicza odsłania cały problem. Zgodnie z zapewnieniami wyborczymi to nie on miał zostać szefem MON, ale Jarosław Gowin. Jego obrońcy zachowują się jednak, jakby to on był głównym punktem wyborczym PiS. Nie ma żadnej realnej debaty na temat jego działania jako ministra. Można zgodzić się, że odrażająca kampania, którą podjęła przeciw niemu strona przeciwna, z „GW" na czele, to utrudnia. Jednak nie powinno odbierać to nam zdrowego rozsądku.

Ileś rzeczowych zarzutów można skierować przeciw byłemu już szefowi MON, np. niezrealizowane deklaracje dotyczące zakupu różnego rodzaju broni: śmigłowców, okrętów bojowych, rakiet czy systemu dowodzenia. Są sprawy, nad którymi warto dyskutować, np. całościową dokonaną przez niego wymianą dowódców, również tych, którzy mają za sobą realne zasługi i wyjątkowe kompetencje. Nie mówiąc już o rzeczy wyglądającej jak drobiazg, która jednak poważnie zaszkodziła nowej większości, czyli uporze w faworyzowaniu Bartłomieja Misiewicza. Konflikt z prezydentem również nie wydaje się zainicjowany przez tego ostatniego. Wszystko to są sprawy do dyskusji. Zamiast tego mamy: „murem za Antonim".

„Gazeta Polska" i jej szef są związani z Macierewiczem. I choć alianse takie budzić mogą wątpliwości, ciągle są nagminne w naszym kraju. Nie tylko zresztą. Przenoszenie jednak owych układów na poziom „ideowy", rozliczanie polityki przez pryzmat tego, jakie miejsce zajmuje w niej Macierewicz – który ma swoje oczywiste zasługi – jest, delikatnie mówiąc, nieporozumieniem. Nie chodzi zresztą tylko o niego.

Dziś „GP" próbuje odgrywać na prawicy podobną rolę, co „GW" na lewicy. A jej szef, walcząc o swoją pozycję, co samo w sobie nie jest jeszcze niczym strasznym, podobnie jak tamta gazeta odwołuje się do najwyższych zasad, co już zdecydowanie gorsze, zwłaszcza że wielu jego zwolenników bezkrytycznie to przyjmuje. Wywołuje to wiele zachowań bliźniaczo podobnych do tych, które oburzały nas w środowisku Michnika, np. zwracanie prezydentowi orderów.

Realne znaczenie radykalnych grup, krzykliwych i głośnych, zwykle przeszacowywane jest w każdej partii. W PiS szczególnie. Czytamy ciągle, że wyborcy odwrócą się od partii Kaczyńskiego, bo nie na tego lub tamtego głosowali, a notowania partii rosną. Mam nadzieję, że po ostatnich awanturach grupy, które w sposób nieuprawniony uzurpują sobie jakąś szczególną rolę na polskiej prawicy, zaczną być traktowane tak, jak powinny ze względu na własne znaczenie. Co do intelektualnych argumentów, to same zdecydowały się z nich zrezygnować.



eprasa.pl f264cc2d81

# Pejzaż z przerażonym inwestorem

*To był biznes dla wtajemniczonych, którym obiecano szybkie i wielkie zyski. Nie było reklam w mediach, do klientów docierano przez marketing szeptany. Elity finansowe z Trójmiasta, Warszawy, Białegostoku i innych miast zainwestowały olbrzymie sumy i nie mogą ich odzyskać. Część inwestorów boi się przyznać do swoich strat – oznaczałoby to ujawnienie dochodów i źródeł finansowania*



MAJA NARBUTT

Pokazanie wszystkich okoliczności działalności Galleri New Form będzie jak otwarcie puszki Pandory. Przedsięwzięcie kojarzy się niektórym z Amber Gold – różnica polega na tym, że raczej nie było w nim drobnych ciułaczy, a pojedyncze inwestycje wynosiły od niemal 100 tys. do kilkunastu milionów.

Sprawą zajęła się Prokuratura Regionalna w Białymstoku, prowadząc postępowanie z zawiadomienia Komisji Nadzoru Finansowego. Z moich informacji wynika jednak, że nie dotarła jeszcze do większości klientów ani nie przesłuchała kluczowych osób.

Przez kilka tygodni bezskutecznie usiłowałam się skontaktować z właścicielką Galleri New Form Joanną Segelstrom. Nie ja jedna – wielu inwestorów dzwoniło na jej komórkę, by się przekonać, że numer już nie istnieje. To właśnie mająca szwedzkie obywatelstwo Joanna Segelstrom zachęciła polskich biznesmenów, adwokatów, lekarzy do inwestowania w sztukę współczesną. Miało się to opierać na prostej i wręcz rewolucyjnej formule: inwestor kupował dzieło sztuki, podpisując umowę, z której wynikało, że gwarantuje się odkupienie dzieła za wyższą sumę. Po roku zysk miał wynosić od 18 do nawet 30 proc. Wielu inwestorów nigdy nawet nie zobaczyło zakupionych rzeźb i obrazów, bo wybierali je z katalogów. Dostawali jedynie certyfikat, z którego wynikało, że są ich właścicielami.

Trudno także się skontaktować z mieszkającym w Białymstoku agentem ubezpieczeniowym, który był koordynatorem projektu w Polsce i organizował sieć pośredników. Nie odbiera telefonu, nie odpisuje na esemesy, a jego skrzynka kontaktowa jest przepełniona. Ale w końcu udało mi dodzwonić do jego żony, również związanej z tym biznesem. Nieprzyjemnie zaskoczona, odwlekała spotkanie. Nigdy do niego nie doszło.

Jednak pewnego dnia mój telefon zadzwonił i skontaktowała się ze mną osoba, która miała przedstawić stanowisko Joanny Segelstrom.

– Wbrew temu, co twierdzą niektórzy, nie jest to ani piramida finansowa, ani pralnia pieniędzy. Rozumiem, że wierzyciele są zdesperowani. Niektórzy potwornie się zadłużyli, wzięli ogromne kredyty, wciągnęli do inwestowania całe rodziny. I teraz nie mogą czekać cierpliwie na zwrot środków – tłumaczy mi Teresa Kuskowska zajmująca się zawodowo doradztwem finansowym.

Kiedy pytam ją, na czym miał polegać biznes z inwestowaniem w sztukę, słyszę to samo, co inwestorzy. Opowieść o deweloperze z USA, który sprzedaje wspaniałe apartamenty i nieruchomości na Florydzie. Ponieważ konkurencja jest duża, stara się przebić rywali, oferując domy, w których stoją rzeźby i wiszą obrazy. Jak wyjaśnia pani Teresa, wszystko razem pięknie współgra – światło, przestrzeń, dzieła sztuki. Olśnieni nabywcy chętnie kupują apartamenty i biznes się kręci.

Nie znam się specjalnie na inwestowaniu, ale brzmi to dziwnie. Bo właściwie z jakiego powodu deweloper z USA miałby kupować dzieła sztuki za wygórowaną sumę, obejmującą wielopiętrowy zysk innych podmiotów: galerii, hojnie opłacanych pośredników i zarabiających krocie inwestorów? Trudno uwierzyć, że chciał kupować rzeźby drożej, jeśli mógłby zdobyć je taniej.

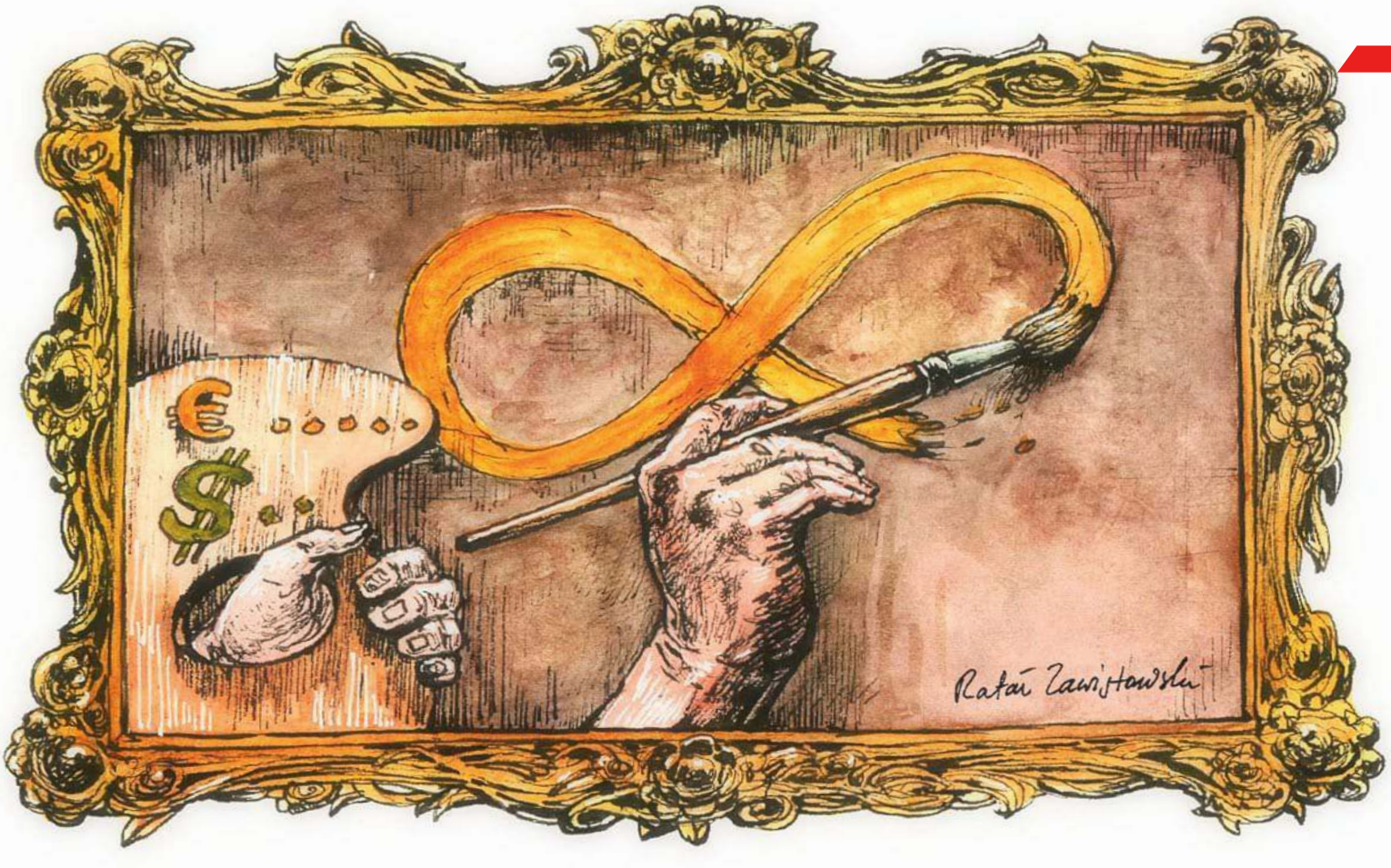
Ale pani Teresa przekonuje mnie, że Joanna Segelstrom umie zrobić rzeczy, które nie udałyby się nikomu innemu.

W talenty pani Segelstrom skłonna jestem bez trudu uwierzyć. Namówienie tak dużej grupy osób – a sporo z nich prowadziło kancelarie prawne doradzające podmiotom gospodarczym – by zainwestowały w dość enigmatyczny biznes, wymagało sporych umiejętności interpersonalnych.

– Uderzyło nas, że w umowach zawieranych z inwestorami nie było żadnego



eprasa.pl f264cc2d81




gwaranta, który zapewniałby zwrot kapitału. Były tam też zapisy mało dla nich korzystne – podkreśla Monika Bogatko z Departamentu Komunikacji Społecznej KNF.

Wielostronicowe umowy zawierające aneksy i aneksy do aneksów najwyraźniej nie były czytane zbyt dokładnie. Wrażenie, jakie wywierała na inwestorach Joanna Segelstrom, Polka, która od ponad 20 lat prowadzi galerię w Malmö, było piorunujące. Działało to zwłaszcza w jej rodzinnym Białystoku – była żywym dowodem na to, że można odnieść sukces za granicą.

Na wyobraźnię działały miejsca, w których miała sprzedawać dzieła sztuki – Miami, Dubaj, Marbella. Powiało wielkim światem, wydawane na glansowanym papierze foldery umacniały wrażenie szacowności. Przez wszystkie przypadki odmieniano słowo „prestiż".

Przedsięwzięcie miało rozmach – w Gdyni, Warszawie i Białymstoku uruchomiono showroomy, w których wyeksponowano część dzieł sztuki. Nazwa „galeria" była najwyraźniej zbyt banalna, by oddać dynamizm tego biznesu.

Przedsięwzięcie miało rozmach – w Gdyni, Warszawie i Białymstoku uruchomiono showroomy, w których wyeksponowano część dzieł sztuki. Nazwa „galeria" była najwyraźniej zbyt banalna, by oddać dynamizm tego biznesu

Klientów szukano przez sieć nieformalnych, towarzyskich powiązań. Znane w środowisku nazwiska osób, które już zainwestowały, uwiarygadniały całe przedsięwzięcia. Obietnica wielkich zysków łączyła się ze snobizmem obcowania z wielką sztuką.

Wiosną ubiegłego roku system zaczął się załamywać. Chociaż kończyły się umowy, inwestorzy nie mogli odzyskać pieniędzy. Tłumaczono im najpierw, że wynika to z problemów ze szwedzkim systemem bankowym, który zaczął utrudniać transfer pieniędzy. Potem pojawiło się zupełnie inne tłumaczenie – zawiódł jeden z kontrahentów, który wycofał się z odkupowania dzieł sztuki. Zapewniano jednak, że na horyzoncie pojawił się ktoś inny – szejk z Dubaju. Odkupi hurtem wszystkie rzeźby i obrazy, a wtedy kłopoty się skończą.

## SYNDROM SZTOKHOLMSKI

– Byłem na spotkaniu z małżeństwem, które utopiło ponad 10 mln zł. Mąż chciał głowy pani Segelstrom na tacy. Oczywiście w sensie przenośnym. Uważał, że został oszukany. Jego żona nie przyjmuje tego do wiadomości. Nadal zachwyca się „superdynamiczną panią Joanną, kobietą inteligentną, ze wspaniałymi kontaktami, prawdziwą wizjonerką" – opowiada jeden z moich rozmówców.

Sporo czasu zajęło, by namówić go do podzielenia się wiedzą. Podkreślał, że nie interesuje go rozgłos medialny, ale skuteczne wykonywanie swej profesji. Jest nią odzyskiwanie długów trudnych.



eprasa.pl f264cc2d81

Określa się jako człowiek do wynajęcia, który pracuje z klientami z wyższej półki.

Sprawę Galleri New Form uważa za bardzo specyficzną – przede wszystkim dlatego, że część inwestorów niechętnie przyznałaby się do zainwestowanych środków. Wiąże się to bowiem z ujawnieniem ich dochodów i źródeł finansowania.

Intrygujące wydaje mu się też to, że Joanna Segelstrom tak oczarowała niektórych klientów, że nie potrafią się wyzwolić spod jej uroku i spojrzeć na sytuację w innym świetle. A kancelarie adwokackie, do których zgłosili się inwestorzy, podejmują działania rutynowe i mało skuteczne.

Podobne spostrzeżenia mają detektywi z Grupy Detektywistycznej Trójmiasto, z którymi spotykam się w warszawskiej kawiarni. Twierdzą, że tylko metodami operacyjnymi, docierając do dewelopera w Stanach Zjednoczonych, można prześwietlić, co się kryje za całą sprawą.

– Uważam, że może się okazać, iż przypomina to swoją skalą i schematem Amber Gold. Różnica polega na tym, że inwestorzy w tym wypadku często nie chcą zgłaszać strat. Dla niektórych ujawnienie, że utracili pieniądze, jest wstydliwe, a nawet kompromitujące, biorąc pod uwagę to, że sami prowadzą działalność finansową. Mogłoby to wręcz zagrozić ich biznesowym projektom – mówi Piotr Górski.

To z pewnością nietypowe reakcje. Ja także po raz pierwszy w swej karierze dziennikarskiej spotkałam się z sytuacją, w której osoby pokrzywdzone nie chciały medialnego nagłośnienia sprawy.

Taka sytuacja działa oczywiście na korzyść właścicielki Galleri New Form. Ma ona też duże środki finansowe, które pozwolą jej prowadzić długą batalię z inwestorami.

– To, że sprawa jest w prokuraturze, nie oznacza, iż zostanie sporządzony akt oskarżenia. Nawet gdyby trafiła do sądu, to nie kończy się na pierwszej instancji. A rozstrzygnięcie zapada, gdy jest prawomocny wyrok – podkreśla Teresa Kuskowska.

Istnieje jednak kilkudziesięcioosobowa grupa inwestorów, którzy zamierzają stoczyć sądową batalię i zgłosili się do Prokuratury Regionalnej w Białymstoku. Zmotywował ich inwestor z południa Polski, Kazimierz Stachowicz, do którego w końcu dotarłam. Twierdzi, że zgromadził ogromny materiał dowodowy.

> Klientów szukano przez sieć nieformalnych, towarzyskich powiązań. Znane w środowisku nazwiska osób, które już zainwestowały, uwiarygadniały całe przedsięwzięcia. Obietnica wielkich zysków łączyła się ze snobizmem obcowania z wielką sztuką

– Wszystko oparte było na bezgranicznej wierze w Joannę, działało to jak sekta. Gościła nas w domu w Trelleborgu w Szwecji, ja sam byłem też u niej w hiszpańskiej Marbelli. Opowiadała, że dwie rzeźby kupił prezydent Barack Obama, kilka nabył Elton John czy piłkarz Zlatan Ibrahimović. Byłem świadkiem, jak odbierała telefon rzekomo od króla Hiszpanii i umawiała się z nim na rozmowę – mówi Stachowicz.

Przebudzenie było bolesne. Postanowił sprawdzić wartość zakupionych rzeźb. Jedną z nich nabył za 180 tys. euro z gwarancją odkupienia przez Joannę Segelstrom lub jej syna za co najmniej 210 tys. Jego prawnicy dotarli do rzeźbiarza. Stwierdził, że rzeźba jest warta 20 tys. euro, ale wcale nie sprzedał jej Galleri New Form i nadal jest jego własnością.

## KWESTIA GUSTU

Przypadkowa osoba raczej nie trafi do Timeless Gallery w Warszawie, jednego z trzech showroomów pokazujących oferowaną inwestorom sztukę. Galeria mieści się w budynku Giełdy Papierów Wartościowych. Żeby się do niej dostać, trzeba się poddać kontroli przy wejściu, przejść przez bramkę, jaką instaluje się na lotniskach. W długiej sali z wielkimi oknami za biurkiem siedzi samotna blondynka. Rano zwykle odbiera telefony, zdenerwowani inwestorzy wylewają swe żale i krzyczą, że żądają natychmiastowego oddania pieniędzy.

Po południu jest cicho i pusto. Nikt nie ogląda rzeźb ani obrazów. Pytam o ceny wyeksponowanych dzieł sztuki. Wyceniane są w euro, malutka rzeźba wielkości 20 cm kosztuje 3 tys. euro, ale potem ceny idą w górę, osiągając nawet pułap kilkudziesięciu tysięcy.

Podczas wizyty w Timless Gallery towarzyszy mi znana krytyk sztuki Monika Małkowska. Nie ukrywa, że wyeksponowane dzieła nie wywarły na niej wrażenia. W przeciwieństwie do cen, które zdecydowanie ją zaskakują.

– To nie jest dobra sztuka. Niektóre rzeczy ocierają się o kicz. Powiedziałabym, że mogą się podobać nowobogackim, którzy uznają, iż mają one walory dekoracyjne. Ale to oczywiście kwestia gustu, nikomu nie można zabronić kierowania się własnymi upodobaniami. Obiektywną kwestią jest natomiast wycena, zupełnie nierealistyczna – mówi Małkowska.

Z kilkudziesięciu dzieł sztuki wystawionych w galerii jej uznanie znalazły tylko dwie dobre technicznie abstrakcyjne rzeźby ze szkła. Jedna jest już sprzedana, ale nabywca jej nie zabrał. Jak mówi pracownica galerii, to powszechna praktyka. Zostawiano je w galerii, by – jak tłumaczy – uniknąć kosztów związanych z ubezpieczeniem.

Oznacza to bez wątpienia, że dzieła sztuki kupowano po prostu jako jednostkę lokacyjną. Nie chodzi o to, by je kontemplować, bo w większości wypadków do nabywców przemawiały nie walory estetyczne, ale te, których symbolem jest mieszcząca galerię Giełda Papierów Wartościowych – czyli finansowe.

Dwie sprawy udało mi się ustalić ponad wszelką wątpliwość. W pewien



eprasa.pl f264cc2d81

sposób się łączą. Po pierwsze, Timeless Gallery była zupełnie nieznana w środowisku warszawskich marszandów dzieł sztuki i właścicieli domów aukcyjnych. Można wręcz sądzić, że osoby, które nią kierowały, specjalnie zachowywały się w sposób dyskretny, unikając rozgłosu i pozostając w cieniu. Po drugie, wyceny dzieł sztuki oferowanych przez tę firmę zdecydowanie odbiegały od spotykanych na naszym rynku. Nie zostały zresztą poddane weryfikacji, nie wystawiano ich na aukcjach, nie wycenili ich nigdy niezależni eksperci.

– To zupełnie niespotykane. Zazwyczaj ludzie, którzy otwierają galerie, zabiegają o to, by się o nich mówiło w branży. W tym wypadku nie było czerwonego dywanu, szampana, efektownego wejścia do warszawskiego środowiska ludzi związanych z obrotem dziełami sztuki – mówi mi Katarzyna Włodarska z branżowego portalu Artinfo.pl.

Na moją prośbę zapoznała się z dostępnymi w internecie katalogami dzieł oferowanych przez Timeless Gallery. Zauważyła to samo, co uderzyło Monikę Małkowską – handlowano rzeźbami i obrazami artystów zagranicznych, nieistniejących na polskich rynku i w większości przypadków zupełnie nieznanych.

– Nie ma ich w uznanych kolekcjach prywatnych, nie wspominając o zbiorach muzealnych. Mówiąc wprost: te rzeźby i obrazy mogą się podobać, są niekontrowersyjne, nawiązują do dzieł artystów, którzy są popularni. Ale ich wartość jest wątpliwa, trudno wręcz sobie wyobrazić, by można je uznać za pewną lokatę – mówi Katarzyna Włodarska.

Dla każdego, kto ma chociaż minimalne rozeznanie dotyczące rynku sztuki, jasne jest, że dzieła artystów niewylansowanych i mało znanych nie dają żadnej gwarancji zwrotu kapitału, nie mówiąc o zyskach, gdyby ktoś chciał je odsprzedać na wolnym rynku.

– Jeśli właścicielce udało się przekonać klientów, że warto zainwestować tak poważne sumy, jest to fenomen z zakresu psychologii. Musi mieć niezwykły dar przekonywania – uważa ekspertka Artinfo.pl.

## W CZARNEJ ROZPACZY

W Komisji Nadzoru Finansowego telefony od inwestorów zaczęły dzwonić natychmiast, gdy Galleri New Form została w początkach ubiegłego roku wpisana na listę ostrzeżeń publicznych. Jak podkreśla Monika Bogatko z Departamentu Komunikacji Społecznej, najbardziej uderzające było to, że inwestorzy szczerze przyznawali, iż na sztuce zupełnie się nie znają.

Im więcej czasu upływa od momentu, gdy zgodnie z umowami inwestorzy mieli odzyskać pieniądze, tym bardziej ich nerwowość wzrasta. Obiecywano im wielokrotnie, że stanie się to lada moment – ostatni, nieprzekraczalny rzekomo termin upłynął pod koniec roku

– Zawsze pytałam rozmówcę, czy nie bał się zainwestować w tak trudną dziedzinę jak rynek dzieł sztuki. I nieodmiennie słyszałam, że po prostu dowiedział się od znajomych, iż świetnie się na tym zarabia – mówi Monika Bogatko.

To jeden z kluczy do całej historii – gdyby inwestorzy skontaktowali się z ekspertami rynku dzieł sztuki, usłyszeliby, że tak wysokie zyski z inwestowania są mocno wątpliwe.

– Żaden rzetelny marszand nie może dać gwarancji, że na danym dziele sztuki się zarobi. Owszem, można prognozować, że w dłuższej perspektywie czasowej wartość obrazu czy rzeźby wzrośnie, ale nikt nie odważy się stwierdzić, iż na pewno można je szybko odsprzedać z zyskiem. Zwłaszcza jeśli w grę nie wchodzą dzieła wielkich i uznanych artystów – tłumaczy Adam Chełstowski z warszawskiego domu aukcyjnego Artissima.

Im więcej czasu upływa od momentu, gdy zgodnie z umowami inwestorzy mieli odzyskać pieniądze, tym bardziej ich nerwowość wzrasta. Obiecywano im wielokrotnie, że stanie się to lada moment – ostatni, nieprzekraczalny rzekomo termin upłynął pod koniec roku.

– Pochłanianie w wielkich ilościach środków uspokajających, łzy, depresja, czarna rozpacz. Niektórzy nie mogą już funkcjonować normalnie, są na skraju załamania nerwowego. Byli zachwyceni, że znaleźli się w elitarnym gronie, bywają na ekskluzywnych eventach, a tu nagle spadli na ziemię. Mogą utracić wszystko, nawet dach nad głową, bo wzięli kredyt hipoteczny pod zastaw domu – mówi mój informator z Białegostoku.

Są osoby, które mogą się pogodzić ze stratą sporych kwot, ale inne są tak zdesperowane, że będą walczyć do końca. Znajomi Joanny twierdzą, że wywierana jest na nią olbrzymia presja i to jej należy współczuć.

– Joanna opowiadała nawet, że ktoś przystawił jej broń do głowy, żądając zwrotu pieniędzy. Myślałam, iż koloryzuje, ale wszystko wskazuje na to, że to prawda – mówi Teresa Kuskowska.

Pani Segelstrom wydała ostatnio oświadczenie, w którym podkreśla, że pojawiły się przejściowe trudności w płatnościach zobowiązań wobec klientów. Zostaną one jednak uregulowane w najbliższym czasie. Sugestie, że działalność Galleri New Form jest oparta na schemacie piramidy finansowej, uważa za nierzetelne i niezgodne z prawdą. Każdą transakcję gwarantowali osobiście ona i jej syn, nie chowali się za spółkami, jak to jest w przypadku piramid.

Niezależnie od finału całej sprawy jedna rzecz wydaje się pewna – ta historia może zmienić nasze myślenie o Polsce, pokazując, że jesteśmy społeczeństwem zamożniejszym, niż sądziliśmy. Problem polega na tym, że niekoniecznie idzie to w parze z umiejętnością inwestowania.



eprasa.pl f264cc2d81

# Nie żyję w świecie narracji

*Z sędzią Julią Przyłębską, prezes Trybunału Konstytucyjnego, rozmawia Rafał Kotomski*

Warszawę ostatnio odkryłam dla siebie i pokochałam. O dziwo znajduję w stolicy więcej spokoju i życzliwości niż w Poznaniu, co może się wydawać zaskakujące

***Prof. Ryszard Legutko nazywa panią „damą o świetnym umyśle i wielkiej wrażliwości, a jednocześnie bardzo samodzielną, idącą pod prąd". Co pani na to?***

Julia Przyłębska: Przyznam, że zaskoczyła mnie ta ocena ze strony pana profesora. Ostatnio razem z mężem w jednej z berlińskich księgarń kupiliśmy książkę Ryszarda Legutki, która przetłumaczona na niemiecki brzmi naprawdę pięknie.

Wydaje mi się, że zawsze miałam w sobie pokłady wrażliwości. Wynikała z życiowych doświadczeń i historii rodziny mojej mamy, która została mocno dotknięta działaniami wojennymi. Już jako dziecko spotkało mnie wiele takich sytuacji, które wymagały ode mnie wrażliwości właśnie, współczucia, empatii. Co do zdecydowania, to myślę, że uczy go zawód sędziego. Trzeba podejmować decyzje, często szybko i bez wahania. Nie mam z tym żadnego problemu. Poza tym moja religijność – czego proszę nie mylić, broń Boże, z dewocyjnością – wyznacza mi zasady i normy, których staram się przestrzegać. Już jako dziecko tak to postrzegałam. To, co wynika z rachunku sumienia, traktuję zawsze bardzo serio, nawet jeśli trzeba z czegoś zrezygnować.

***Dostrzega pani w swoim życiu taki moment, w którym wrażliwość została poddana swoistemu egzaminowi? Jakąś przełomową chwilę?***

Niewątpliwie to czasy, gdy zajmowałam się odszkodowaniami dla Polaków pracujących przymusowo w III Rzeszy. Poznałam wtedy ludzi niezwykle ciężko doświadczonych przez życie. Często w sposób wręcz dla mnie niewyobrażalny. I nagle zaskoczenie, że te osoby potrafią być tak otwarte na innych, życzliwe, wręcz kochające innych. Zaskoczyła mnie ich pogoda ducha, wyrozumiałość dla ludzkich niedoskonałości. To była dla mnie wyjątkowa lekcja pokory wobec życia. Uświadomiłam sobie też, jak wiele człowiek jest w stanie znieść, jak bardzo potrafi być twardy na przekór strasznym doświadczeniom. Odniosłam wrażenie, że dla tych ludzi najważniejsze było pogodzenie się ze swoją niedolą. I jeszcze jedną ważną prawdę zrozumiałam przy tej okazji – że o wiele bardziej istotna jest walka o cudze prawa niż o własne. Walcząc o innych, człowiek walczy o siebie i staje się po prostu kimś dobrym.

***Walka o sprawiedliwość i godność dla ludzi skrzywdzonych przez III Rzeszę to z pewnością rodzaj wyzwania i testu zarazem. Udało się pogodzić wrażliwość ze zdecydowaniem?***

Na pewno, a to doświadczenie wiązało się też bezpośrednio z moją pracą w dyplomacji. Jest ona czymś zupełnie innym niż praca w sądownictwie. Dyplomacja wymaga umiejętności rozwiązywania problemów w sposób kompromisowy, czegoś w rodzaju umiejętnego poruszania się między rafami koralowymi. Nie zawsze było to łatwe, ale z pewnością dawało swoiste tchnienie łagodności w porównaniu ze zdecydowanym, często twardym dochodzeniem sprawiedliwości, do którego przywykłam jako sędzia.

***W jaki sposób znalazła pani wspólny język z ludźmi tak ciężko doświadczonymi przez historię, skrzywdzonymi przez innych?***

Rozmawiając, próbując odczuwać to, przez co musieli przejść. Oczywiście miałam przez cały czas poczucie, że ci ludzie zostali bardzo skrzywdzeni, i właściwie bezkompromisowo należy im się wszystko, o co poproszą. A jednak uwarunkowania zmuszały nas do szukania kompromisów. To też okazało się dla mnie ważną życiową lekcją. Jak również to, że nie można odczuwać nienawiści wobec innych. Naprawdę nie rozumiem, gdy człowiek, nie mając żadnego negatywnego doświadczenia z inną osobą, znajduje w sobie tyle agresji. Odrzucam nienawiść, to dla mnie obce uczucie.

***A nie ma pani wrażenia, że wiele z tych oznak i aktów nienawiści jest po prostu na pokaz? Że niektórzy potrafią udawać nienawiść albo nienawidzą, bo chcą się komuś przypodobać?***



eprasa.pl f264cc2d81

W świecie polityki takie postawy są nieuczciwe. Zawsze mnie to denerwowało, gdy publicznie ludzie potrafili się ostro i bezpardonowo konfliktować, po czym, gdy gasły kamery, zaczynali miło z sobą gawędzić. Dla mnie to zupełnie niewyobrażalne. Bo jeśli już oceniam kogoś negatywnie, to oczywiście nie odczuwam wobec niego nienawiści, ale moja ocena się przecież nie zmienia. Nie mam dwóch różnych ocen – prywatnej i publicznej – dla ludzi, których odbieram negatywnie. Nie mogłabym się przyjaźnić z człowiekiem, który działa i funkcjonuje w sposób całkowicie sprzeczny z moimi zasadami. Nie chodzi mi tu o poglądy polityczne ani światopogląd. Antagonizowanie ludzi odbieram jako rodzaj gry. Często ten „zwykły człowiek" jest w nią po prostu wciągany. Na przykład demonstruje w obronie demokracji, a zapytany nie potrafi powiedzieć ani słowa o tym, w jaki sposób jest ona łamana. To klasyczny mechanizm manipulacyjny, który jest konsekwencją filozofii postmodernistycznej. Mówi ona o tworzeniu świata złożonego z narracji,

> Może dlatego, że jestem jedynaczką, ktoś, z kim się zaprzyjaźnię, staje się dla mnie członkiem rodziny



Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl f264cc2d81

która zaczyna funkcjonować i stawać się faktem. Protestuję przeciwko temu, bo uważam, że nie możemy żyć w świecie narracji, musimy żyć w świecie rzeczywistości.

***Rzeczywiste jest niewątpliwie pani zainteresowanie sztuką i literaturą. Zacznijmy od tej pierwszej – w jaki sposób odkryła pani obrazy wybitnego malarza Jerzego Piotrowicza?***

Spośród tych największych malarzy moją prawdziwą fascynacją jest Amedeo Modigliani. Gdy z mężem mieszkaliśmy przez kilka lat w Kolonii, potrafiłam czasami dwa razy w tygodniu pójść do tamtejszego muzeum i posiedzieć przed jednym z portretów pędzla Modiglianiego. A wracając do Piotrowicza, to przyjaźnię się od lat z częścią poznańskiej, ziemiańskiej rodziny Kęszyckich, jestem matką chrzestną Antoniego Kęszyckiego. Żałuję, że rozeszły się nasze drogi z Marcinem Kęszyckim, znanym aktorem Teatru Ósmego Dnia, bo łączy nas wiele miłych wspomnień. Jerzy Piotrowicz był również przyjacielem domu, jego oleje i grafiki były tam wszechobecne. Obcowanie ze sztuką tego malarza sprawiło, że zaczęłam się czuć dobrze z jego obrazami. To rzeczywiście był niezwykły artysta, widzący rzeczywistość w całej złożoności. Potrafił, niczym w muzyce, przekazać opis świata zewnętrznego. Przemawiają do mnie jego dzieła, których kilka mamy dziś w swoim domu. Ale obok Piotrowicza muszę wymienić jeszcze innego niezwykłego artystę – Arę Badaliana z Armenii. Sądzę, że to twórca niewielu w Polsce znany. Był uchodźcą ormiańskim, któremu wraz z przyjaciółmi pomagaliśmy w uzyskaniu prawa do pobytu w Polsce. Żona Ary pisała piękne ikony, a on sam malował trochę w stylu Piotrowicza, ale z jeszcze większą dozą magii. Bardzo się cieszę, że kilka obrazów Ara namalował po rozmowach ze mną i mi je ofiarował. To też dzieła bardzo mi bliskie.

> Spośród największych malarzy moją prawdziwą fascynacją jest Modigliani. Mieszkając w Kolonii, potrafiłam dwa razy w tygodniu pójść do muzeum i posiedzieć przed jednym z jego portretów

***Czego pani szuka w sztuce? Oczarowania formą czy treści, która się za nią kryje?***

W przypadku Modiglianiego z pewnością na początku była forma. A potem treść, gdy zaczynała coraz bardziej do mnie docierać. Piękny film Andy'ego Garcíi „Kolory duszy" o Modiglianim właściwie przeszedł w naszym kraju bez echa. Razem z mężem oglądaliśmy go w jednym z rzymskich kin i zrobił na nas ogromne wrażenie. To jedna z rzeczy, którą mogę oglądać nieskończoną liczbę razy. A zatem szukam w sztuce tej głębi, filozoficznego przejścia. Mój mąż odnajduje je w muzyce. Ja nie mam aż takiego słuchu, chociaż bardzo lubię muzykę. Malarstwo przemawia do mnie o wiele silniej. Choć niewątpliwie to słowo definiuje nas najlepiej i wszystko i tak w słowo się obraca.

***Nie odczuwa pani pokusy, by czasami pójść do galerii tak zwyczajnie? Nie jako prezes Trybunału Konstytucyjnego, osoba oficjalna i publiczna, ale po prostu jako miłośniczka sztuki?***

Rzeczywiście tęsknię za tym, choć w kraju już prawie w ogóle tego nie robię. Bycie osobą publiczną, rozpoznawalność sprawiają, że trudno mi tak zwyczajnie przejść i popatrzeć na obrazy. Zdarzały mi się już różne doświadczenia. Od bardzo miłych i wzruszających po naprawdę przykre. Dlatego nie mam już niestety tego, co nazwałabym komfortem w chodzeniu po galeriach. By tak się poczuć, muszę jechać do Berlina, gdzie jestem najczęściej anonimowa. To takie szczęście w nieszczęściu.

***Dlaczego w nieszczęściu?***

To mało komfortowa sytuacja, gdy muszę jeździć do dalekiego Berlina, gdzie jest mój mąż, ale jednocześnie rodzaj azylu, który zapewniają mi choćby tamtejsze galerie sztuki.

***W jakiej literaturze szuka pani inspiracji, o których mówiliśmy?***

Jestem absolwentką słynnego poznańskiego Liceum im. Karola Marcinkowskiego, popularnie nazywanego „Marcinkiem". Chodziłam do klasy humanistycznej, z której doskonale pamiętam prof. Gerarda Sowińskiego nazywanego „Barnabą". To człowiek, który otworzył przede mną wrota do literatury. Zawsze wolałam poezję od prozy. Krzysztof Kamil Baczyński to moja poetycka miłość, a jego wiersze towarzyszą mi przez całe życie. Potem pojawili się dwaj inni ulubieńcy – Rainer Maria Rilke i Cyprian Kamil Norwid. W prozie niezwykle cenię książki Bronisława Wildsteina i Antoniego Libery. Piszą językiem, przez który przechodzi się w sposób niemal niezauważalny. Ta literatura nie tylko odkrywa dla mnie meandry życia III RP, doskonale pokazuje współzależności między czasami komunistycznymi a współczesnymi, to także literatura filozoficzna, bardzo głęboko ujmująca istotę człowieka. Autorzy w niezwykły sposób opisują człowieka, przyglądając mu się z dystansu i szukając w nim tego, co najlepsze. Inaczej niż w malarstwie, w literaturze zawsze wolałam diagnozę rzeczywistości od magii. I kiedy moje koleżanki zachwycały się „Alicją w krainie czarów" czy „Małym księciem", ja czasami wstydziłam się przyznać, że o wiele bardziej od tych książek wolę serię z Panem Samochodzikiem.

***A nie jakimś sportowym bohaterem? Przecież sport to także ważna część pani życia, prawda?***

Pochodzę z rodziny o sportowych tradycjach. Mój tata był akademickim mistrzem Polski w pływaniu, mama skończyła



eprasa.pl f264cc2d81

AWF. A zatem wychowywałam się w sportowej atmosferze. Całkiem nieźle biegałam, ale problemy zdrowotne nie pozwoliły mi na karierę sportową. Dzisiaj bardzo lubię jeździć na łyżwach i robię to zawsze, gdy wpadam w gorszy nastrój. Kiedyś jeździłam sporo na nartach, ale dzisiaj wybieram raczej kort tenisowy. Na wakacjach jestem sparingpartnerem mojego męża, choć niestety nie mogę mu dorównać poziomem gry.

***W pani życiu, jak sądzę, trzy miasta odgrywają najważniejszą rolę – Poznań, Berlin i Warszawa. Gdzie czuje się pani najlepiej?***

Przez długi czas wydawało mi się, że Poznań pozostanie tym pierwszym, jedynym i najbardziej ukochanym miastem. Razem z mężem wiele podróżowaliśmy, zmieniając miejsca zamieszkania i pobytu. Zawsze wracałam do Poznania z ulgą i radością. Ceniłam jego pozytywny spokój, ułożenie, naszą dzielnicę pełną zieleni i bardzo pogodną. Niestety dzisiaj czuję się w moim mieście trochę wyobcowana. Jest mi z tego powodu bardzo przykro. Tym bardziej że zawsze o Poznań walczyłam i się z nim identyfikowałam. Takim miastem marzeń, jeszcze z czasów, gdy mój mąż pracował u słynnego niemieckiego filozofa Hansa-Georga Gadamera, był Heidelberg. To dla mnie magiczne miasto z niezwykłą przyrodą, położone nad piękną rzeką Neckar. Łączy w sobie niemiecki porządek w najbardziej pozytywnym sensie z tym, co Francuzi określają jako „fleur", symbolizujące subtelność. Marzyliśmy wtedy z mężem, że jako emeryci, jeśli będzie nas na to stać, kupimy mieszkanko nad Neckarem. To dzisiaj oczywiście pozostało tylko miłym wspomnieniem...

***A Berlin? Warszawa?***

Lubimy z mężem Berlin. Zresztą Andrzej od lat zajmuje się niemiecką filozofią. Jeszcze mieszkając w Poznaniu, potrafiliśmy w czasie weekendu wyskoczyć do któregoś z berlińskich teatrów. Warszawę ostatnio odkryłam dla siebie i pokochałam. Nie tylko jako prawdziwy symbol polskości, lecz także jako miasto moich przyjaciół, w którym miło się żyje wśród przyjaznych ludzi. O dziwo znajduję w stolicy więcej spokoju i życzliwości niż w Poznaniu, co może się wydawać zaskakujące.

***Jak wiele miejsca w pani życiu zajmują najbliższe osoby? Są azylem czy może bardziej oparciem w życiu pełnym zdarzeń i obowiązków?***

Odgrywają rolę fundamentalną. Rodzinę i przyjaciół cenię ponad wszystko, a przyjaźnię się, by tak to określić – rodzinnie. Może dlatego, że jestem jedynaczką, ktoś, z kim się zaprzyjaźnię, staje się dla mnie członkiem rodziny. Niezwykłą rolę w moim życiu odegrał mąż, Andrzej, który jest w moim przekonaniu jednym z najwybitniejszych polskich filozofów. Uczestniczyłam bardzo aktywnie w jego życiu filozoficznym, jeżdżąc na konferencje naukowe po całym świecie. Na tych spotkaniach wybitnych myślicieli bywałam pewnie częściej niż niejeden polski filozof. To mnie nie tylko fascynowało, lecz także kształtowało. „Filozofowanie" nie jest częstą postawą w środowisku prawniczym. Postrzegam siebie jako dość odosobniony przypadek. To mankament środowiska, że zamiast głębokiego dyskursu, swoistego filozofowania ponad prawem, mamy świat czystej techniki prawniczej. Ubolewam nad tym, bo – jak powiedział kiedyś Bronisław Wildstein – „zamieniamy się w świat prawników, a nie prawa". Prawo jest przecież regulacją wynikającą z umowy społecznej, którą zawierają ludzie. Powinniśmy najpierw sięgnąć do człowieka, dopiero potem budować normy, będące wyrazem kultury, tradycji czy historii, a nie czystą literą prawa. Patrząc na przepis, musimy widzieć człowieka w zmieniającym się świecie. I pamiętać, że są reguły pozwalające chronić każdą jednostkę. Wolność nie jest czymś bezwzględnym, bo naszą wolność ogranicza wolność innych ludzi. Budowanie świata ograniczających się wolności jest w czasach, gdy człowiek nastawia się niemal wyłącznie na szukanie własnego szczęścia, ogromnym problemem. Niestety normy prawa zaczęliśmy często postrzegać jako byt niezależny, wirtualny sam w sobie.

> Cieszę się, że otwartość moich synów, ich swoboda w rozumieniu świata, znajomość języków uzupełniają się z konserwatywnym światopoglądem

***A wracając do pani najbliższych...***

Jestem bardzo dumna z moich dwóch synów, dwóch wspaniałych synowych, które traktuję jak córki, no i oczywiście z pięciorga wnuków. Zapomniałabym o ukochanej suni Afrze. Przepięknym rhodesianie śpiewającym, dosłownie, walce Straussa do akordeonowego akompaniamentu mojego męża.

***Słyszałem, że najstarsza wnuczka Flavia jest pani prawdziwym „oczkiem w głowie".***

Kocham wszystkie moje wnuki. Trzech wspaniałych chłopaków i dwie urocze dziewczynki. Choć w tej chwili najbardziej związana jestem z najstarszą, ośmioletnią Flavią, która gra na skrzypcach, jest również bardzo utalentowana plastycznie. Podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia muzykowała wspólnie z moim mężem, grając kolędy do fortepianowego akompaniamentu, które razem śpiewaliśmy. Jeden z moich synów mieszka teraz i pracuje w Niemczech. Jego dzieci wychowują się w wielokulturowym świecie. Tak samo było z naszymi dziećmi. Cieszę się, że otwartość moich synów, ich swoboda w rozumieniu świata, znajomość języków uzupełniają się z konserwatywnym światopoglądem. Ten konserwatyzm nie przeszkadza im w otwarciu się na drugiego człowieka.



eprasa.pl f264cc2d81



Fot. Artur Ceyrowski

# Nie zabierajcie nam domu

*Dzika reprywatyzacja to nie tylko Warszawa czy Kraków. Podobne procesy zachodzą w całej Polsce, także w Gdańsku. Ujawniamy kulisy transakcji, w której położoną w niezwykle atrakcyjnym miejscu działkę i kamienicę oddano za bezcen. W tle tej sprawy pojawiają się niejasne działania urzędników prezydenta Pawła Adamowicza, mataczenia pracowników gdańskiej spółdzielni mieszkaniowej i prywatna warszawska firma, którą założono zaledwie trzy miesiące przed dobiciem niezwykłego targu*



ARTUR CEYROWSKI

**400** tys. zł – tyle zapłacono w październiku 2015 r. za kamienicę położoną w gdańskiej Oliwie, nieopodal granicy z Sopotem. Za równowartość średniej wielkości mieszkania kupionego na rynku wtórnym Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Budowlani" oddała w prywatne ręce działkę, a na niej kamienicę „o wartościach kulturowych" dla Gdańska. Kamienicę razem z 12 lokalami, z których część zamieszkiwały rodziny żyjące tu od kilkudziesięciu lat!

Dziś kulisy tej transakcji są badane przez prokuraturę, a wątpliwości potęguje m.in. zachowanie urzędników prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, którzy się upierają, że nie byli i nie są stroną w tej sprawie. A jednak to miasto oferowało mieszkańcom sprzedanej kamienicy lokale zastępcze, o których chciało rozmawiać m.in. w kancelarii pełnomocnika nowego właściciela nieruchomości. Zadbano też o to, aby pokazać dobrą wolę włodarza grodu nad Motławą, który zaopiekował się lokatorami kamienicy. Wykorzystano do tego byłych dziennikarzy „Gazety Wyborczej", którzy przygotowali reportaż pokazujący, jak wiele miasto zrobiło dla mieszkańców Grunwaldzkiej 597.

Działka, na której posadowiona jest kamienica, znajduje się w doskonałej lokalizacji, tuż przy ul. Grunwaldzkiej, na głównym ciągu komunikacyjnym Trójmiasta.



eprasa.pl f264cc2d81

Nieopodal są dwa duże ośrodki akademickie, Uniwersytet Gdański oraz AWFiS, a także nowoczesna hala sportowo-widowiskowa Ergo Arena i legendarna hala Olivia. W najbliższej okolicy znajdziemy jeszcze kilka niezwykle prestiżowych, supernowoczesnych budynków biurowych, takich jak Olivia Center, Alchemia czy Arkońska Business Park. Kilka minut spaceru jednym z dwóch położonych w pobliżu parków i jesteśmy na plaży. Miejsce z marzeń.

Tak musieli pomyśleć przedstawiciele warszawskiej firmy, której we wrześniu 2016 r. ponownie sprzedano działkę i kamienicę, tym razem za 2,25 mln zł. Po upływie niecałego roku od pierwszej transakcji wartość obu nieruchomości wzrosła niemal sześciokrotnie. Nowi właściciele swoją firmę, którą założyli trzy miesiące przed dobiciem targu, nazwali Dream Place (ang. miejsce marzeń). Warszawska spółka jest obecnie właścicielem nieruchomości. To w jej rękach jest przyszłość mieszkańców kamienicy, których w tej sprawie wszyscy traktują jak przeszkodę na drodze do robienia interesów.

Podobne historie słyszeliśmy przy okazji dzikiej reprywatyzacji już dziesiątki razy. Bez znaczenia były drogi prowadzące do osiągnięcia celu. W bogaceniu się na ludzkiej krzywdzie pomóc mogły tajemnicze spadki, skupowane za bezcen roszczenia, dziwni kuratorzy i reaktywacje firm istniejących przed wojną. Nade wszystko potrzebny był jednak ogrom cwaniactwa i nieuczciwości. To wszystko wyznaczyło mapę polskiej, dzikiej reprywatyzacji w Warszawie, Krakowie i w wielu innych wielkich miastach. Czy podobnie jest w Gdańsku?

## „MOŻNA SKRZYWDZIĆ NIEWINNYCH LUDZI"

Dziś przedstawiciele spółdzielni „Budowlani" niechętnie odpowiadają na szczegółowe pytania o kulisy transakcji. W zamian za to przesyłają „oświadczenie", w którym tłumaczą niektóre posunięcia. Choć kilku bardzo ważnych kwestii nie wyjaśniają wcale, to atakują dziennikarzy zajmujących się tematem i wystawiają nie najlepszą opinię lokatorom sprzedanej kamienicy.

„Dziennikarstwo to zawód, który wymaga bardzo dużej odpowiedzialności i staranności" – pouczają media przedstawiciele spółdzielni. „Nie może być tak, że dziennikarz pisze taki artykuł i nawet nie zapyta się drugiej strony o komentarz" – piszą w swoim oświadczeniu. Niestety, kiedy prosi się „Budowlanych" o szczegółowy komentarz dotyczący sprzedaży kamienicy, nie są skorzy do udzielania odpowiedzi.

Tymczasem wątpliwości jest mnóstwo. Przede wszystkim, jak to możliwe, że kamienicę usytuowaną w doskonałej lokalizacji sprzedano – razem z działką – za 400 tys. zł? Na jakiej podstawie ustalono cenę nieruchomości? Czy ktokolwiek próbował zaoferować mieszkańcom możliwość wykupu mieszkań? I wreszcie, czy w ogóle ktoś na poważnie zainteresował się losem ludzi, którzy żyją w tym miejscu od ponad 40 lat?

„Budowlani", jeśli wierzyć w ich oświadczenie, próbowali się pozbyć działki od 2008 r., prowadząc negocjację z urzędem miasta w sprawie sprzedaży. Bezskutecznie. Ostatnie pismo w tej sprawie wysłano do gdańskiego magistratu w październiku 2015 r., chwilę przed oddaniem działki i kamienicy w prywatne ręce za bezcen.

„Nie jest żadną tajemnicą, że do 2015 r. w budynku Grunwaldzka 597 była najbardziej znana melina w Oliwie. Sąsiedztwo to dla spółdzielni było bardzo uciążliwe" – informują „Budowlani". Dodają też, że byli gotowi na daleko idące ustępstwa, ale miasto chciało przejąć działkę nieodpłatnie. Spróbowano się pozbyć „kłopotliwej" działki i nieruchomości w ofercie publicznej, dając ogłoszenie do lokalnych gazet. Według przedstawicieli spółdzielni nie było chętnych, głównie z powodu ograniczeń architektonicznych, bo budynek objęty jest ochroną konserwatorską.

A jednak w dość krótkim czasie, bo w tym samym miesiącu, w którym według spółdzielni „pertraktowano" jeszcze z miastem, nabywca się znalazł. Kupił i zrobił kapitalny interes. Czy to możliwe, że ktoś mu w tym pomógł? Obecnie bada to Prokuratura Okręgowa w Gdańsku, gdzie sprawdzane są dwa wątki. Jeden z nich dotyczy sprzedaży kamienicy za kwotę zupełnie nieprzystającą do realnej wartości nieruchomości.

– Pierwszy wątek dotyczy podejrzenia popełnienia czynu z art. 296 § 1 k.k., to jest wyrządzenia znacznej szkody majątkowej Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Budowlani" poprzez nadużycie uprawnień przez członków jej zarządu, poprzez zbycie w dniu 15.10.2015 r. za kwotę 400 tys. zł prawa użytkowania wieczystego gruntu położonego przy ul. Grunwaldzkiej 597 oraz prawa własności stanowiącego odrębną nieruchomość budynku mieszkalnego



Mieszkańcy zgromadzili ogromną dokumentację, od lat toczą nierówną walkę z prawnikami i urzędnikami

Fot. Artur Ceyrowski



eprasa.pl f264cc2d81

położonego na tym gruncie – tłumaczy prokurator Grażyna Wawryniuk z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku.

– Drugi wątek dotyczy podejrzenia popełnienia czynu z art. 231 § 1 k.k., to jest przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków przez funkcjonariusza publicznego poprzez wyprowadzenie z zasobów komunalnych gminy miasta Gdańsk lokali mieszkalnych usytuowanych w wyżej wskazanym budynku na szkodę interesu prywatnego osób w nim zamieszkujących, jak i interesu publicznego – wyjaśnia prokurator.

Czy i tu mamy do czynienia z przestępstwem? Czy urzędnicy prezydenta Adamowicza mogli się przyczynić do popełnienia przestępstwa? To ważne pytania, które wymagają precyzyjnych odpowiedzi.

## DO KOGO NALEŻAŁA KAMIENICA?

Kamienica przy Grunwaldzkiej 597 została zbudowana przed wojną i wraz z gruntem stanowiła własność skarbu państwa. Umową notarialną z 4 maja 1970 r. na rzecz „Budowlanych" ustanowiono wieczyste użytkowanie nieruchomości gruntowej, na której znajdowała się wspomniana kamienica. Celem tej umowy miało być postawienie w tym miejscu domów wielomieszkaniowych. W umowie nie wskazano jednak, że wraz z ustanowieniem użytkowania wieczystego nieruchomości przechodzi na użytkownika wieczystego własność istniejących w chwili zawarcia umowy budynków.

Według senator Lidii Staroń, która zaangażowała się w tę sprawę, pomagając mieszkańcom nieruchomości, władze Gdańska nie zrobiły nic, aby zapobiec przejęciu budynku przez prywatne podmioty, chociaż miały świadomość, że kamienica jest własnością miasta, bo przez kilkanaście lat pobierały czynsz od lokatorów Grunwaldzkiej 597. Mimo to nie uregulowano formalnie stanu prawnego nieruchomości ani nie ujawniono w księdze wieczystej gminy jako właściciela budynku. Nie stało się tak nawet wówczas, kiedy prezes spółdzielni „Budowlani" informował, że zamierza sprzedać kamienicę, chociaż spółdzielnia nie była jej właścicielem.







Fot. Artur Ceyrowski (x2)

Na działce trwają prace budowlane, tuż obok kamienicy przy Grunwaldzkiej 597 powstaje prywatny dom studencki

Urzędnicy prezydenta Adamowicza tłumaczą dziś, że na mocy zmian ustawowych spółdzielnia zyskała prawo do zbywania nieruchomości bez udziału gminy. Zdaniem senator Staroń władze Gdańska powinny wykazać, że kamienica jest własnością wspólnoty samorządowej, a zapisy w ewidencji gruntów i budynków powinny zostać skorygowane.

Ponadto wbrew temu, co twierdzą przedstawiciele spółdzielni, mieszkańcy kamienicy od lat 90. podejmowali próby wykupu zajmowanych przez nich lokali komunalnych. Bezskutecznie. Z dokonanych przez prokuraturę ustaleń wiadomo też, że nikt nie poinformował ich o planowanej sprzedaży nieruchomości. Większość z nich płaciła regularnie czynsze za swoje mieszkania. Co więcej, płacili miastu jeszcze kilka miesięcy po tym, kiedy „Budowlani" sprzedali kamienicę.

O zmianie właściciela zostali poinformowani za pomocą kartki przyklejonej wewnątrz kamienicy. Tę informację przyjęli z przerażeniem. Próbował ich uspokajać nowy właściciel, który zapewniał, że budynek przejdzie gruntowny remont. Nic takiego nie nastąpiło, a po pewnym czasie kontakt z nowym zarządcą budynku się urwał. Okazało się, że kamienicę i działkę sprzedano po raz kolejny.

To wówczas do mieszkańców przyszedł pełnomocnik firmy Dream Place, którym jest mecenas Michał Komorowski. Ten sam, którego większość Polaków kojarzy jako obrońcę Marcina P., znanego twórcy piramidy finansowej Amber Gold.

W tym samym czasie wewnątrz kamienicy zawisło ogłoszenie tej treści: „Uwaga! Mieszkańcy budynku Grunwaldzka 597. Zgodnie z aktem notarialnym [...] i poleceniem Prezydenta Miasta Gdańska [...] w dniu 25-03-2016 r. od godz. 09.00 będziemy przekazywać poszczególne lokale nowemu właścicielowi". Jednocześnie lokatorzy otrzymali wypowiedzenie umowy.

Mieszkańcy próbowali się spotkać z urzędnikami prezydenta Adamowicza, jednak w urzędzie nikt nie znalazł dla nich czasu. Urzędnicy odwiedzili ich natomiast kilka razy w ich mieszkaniach. Jeden z lokatorów kamienicy opisał nam te wizyty i składane wówczas propozycje przeprowadzenia się do mieszkań socjalnych.

– Urzędniczka powiedziała nam wprost, że „to jest oferta ważna tylko dziś". Jeśli jej nie weźmiemy, to przepadnie i nie będzie już aktualna. Ale jak ja mam podjąć taką decyzję w ciągu kilku minut, skoro jestem związany ze swoim domem od ponad 30 lat, a moja żona mieszka tu od 40 lat? – pytał retorycznie pan Krzysztof.

Do najemców trafiło również pismo podpisane przez kierowniczkę referatu lokalowego, w którym urząd miejski



eprasa.pl f264cc2d81

w Gdańsku prosił ich o „pilne skontaktowanie się z pełnomocnikiem nowego właściciela budynku", tj. mecenasem Michałem Komorowskim.

Według senator Lidii Staroń jest oczywiste, że budynek przy ul. Grunwaldzkiej 597, co najmniej do chwili zawarcia przez spółdzielnię umowy z pierwszym nabywcą, był własnością gminy miasta Gdańsk i może być własnością gminy w dalszym ciągu. To właśnie musi ustalić prokuratura. Zdaniem senator na taki stan rzeczy wskazuje przede wszystkim kilka działań, które podejmują władze miasta.

– W przeciwnym razie trudno byłoby zrozumieć, dlaczego obecnie prezydent Gdańska proponuje mieszkańcom możliwość przekwaterowania do innych lokali – zamiennych – z zasobu lokali komunalnych, i to bez oczekiwania spełnienia innych, dodatkowych warunków, np. odnośnie do wysokości dochodu gospodarstwa domowego i sytuacji rodzinnej, co jest standardową procedurą podczas ubiegania się o lokal tego typu – mówi senator Staroń.

Gmina nie ma obowiązku dostarczania lokali bez weryfikacji sytuacji majątkowej i rodzinnej tych, którzy się o taki lokal starają. Skąd więc ten niecodzienny pomysł, aby władze miasta robiły prezent spółce Dream Place? To jedno z wielu pytań, na które musi znaleźć odpowiedź prokuratura. Jeszcze ważniejsze jest zdaniem senator Staroń to, czy można było – w porozumieniu z władzami spółdzielni – wyprowadzić majątek miasta za bezcen.

Według Lidii Staroń nie ma wątpliwości, że gmina ułatwiła przejęcie budynku przy ul. Grunwaldzkiej przez pierwszego nabywcę. – Ta decyzja zapadła na najwyższych szczeblach, podjął ją zastępca prezydenta Pawła Adamowicza pismem o przekazaniu budynku. Nie była to sprawa załatwiana rutynowo, ale w trybie nadzwyczajnym – twierdzi senator.

Jednocześnie miasto podjęło kroki, aby pokazać swoją dobrą wolę. Zaprosiło nawet dziennikarzy, którzy mieli pokazywać, że Gdańsk dba o mieszkańców kamienicy i przekazuje im mieszkania. Faktycznie, niektórzy z nich zgodzili się na lokale zastępcze. Głównie ci, którzy zajmowali swoje mieszkania przez kilka miesięcy i nie byli w żaden sposób związani z tym miejscem. Część lokatorów jednak wciąż walczy o swoje, w budynku cały czas mieszka kilka rodzin, choć nowy właściciel kamienicy wyłączył im światło na klatce, a w odległości kilkudziesięciu centymetrów od ich okien prowadzone są prace budowlane.


Fot. Shutterstock

Urzędnicy prezydenta Pawła Adamowicza utrzymują, że miasto nie było ani nie jest stroną w sprawie

Najbardziej bulwersuje to, w jaki sposób miasto próbowało ułatwić nowemu nabywcy możliwość „pozbycia się" mieszkańców kamienicy, pośrednicząc w organizowaniu spotkań z pełnomocnikiem Dream Place. Jak to możliwe, że urzędnicy namawiali mieszkańców do załatwiania swoich formalności i zrzekania się prawa do najmu lokalu w biurze pełnomocnika nowego nabywcy nieruchomości?

Trudno się tego dowiedzieć, bo miasto twierdzi, że nie było stroną transakcji, a warszawska firma nie ma swojej strony internetowej, nie dysponuje nawet żadnym podanym publicznie numerem telefonu. Mimo licznych prób kontaktu z właścicielami nie otrzymaliśmy od nich żadnych odpowiedzi. Tymczasem na miejscu prace trwają, bo Dream Place otrzymał pozwolenie na budowę domu studenckiego (wraz z infrastrukturą towarzyszącą) na działce, na której znajduje się kamienica.

**Działkę okazyjnie sprzedam**

Ceny działek w Trójmieście wahają się w zależności od lokalizacji od ok. 170 zł do prawie 3,5 tys. zł m$^2$. Lokalizacja, w jakiej znajduje się kamienica przy Grunwaldzkiej 597, należy do tych najdroższych. Wśród ofert, jakie można znaleźć w agencjach nieruchomości, działkę położoną przy tej samej ulicy w Gdańsku-Oliwie, a więc kilkaset metrów od miejsca opisywanego w artykule, wystawiono na sprzedaż za 3 263 zł za m$^2$. Oferent zażądał za działkę o pow. 1,9 tys. m$^2$ – 6 mln 199 tys. zł. Stawki te pokazują, że kwota 400 tys. zł, za jaką sprzedano działkę przy Grunwaldzkiej 597 o powierzchni 1 155 m$^2$, była z pewnością wielokrotnie zaniżona.

## EPILOG

Mieszkańcy domów sąsiadujących z kamienicą przy Grunwaldzkiej 597 nie powtórzyli opinii o „melinie". Żadna z kilku osób, z którymi udało nam się porozmawiać, nie miała nigdy żadnego zatargu z mieszkańcami tego budynku. W kamienicy wciąż żyją trzy rodziny, które do niedawna miały ważne umowy najmu. Dziś ich sytuacja jest diametralnie odmienna i wiele wskazuje na to, że zgodnie ze stanem prawnym będą musiały wkrótce opuścić swoje domy.

– Aktualnie otrzymali wypowiedzenia z uwagi na to, że jest niezbędny remont budynku, w którym mieszkają. Były prowadzone z nimi negocjacje, część mieszkańców zdecydowała się na lokale od miasta, wcześniej mieli umowy podpisane z gminą – mówi mecenas Michał Komorowski. Pełnomocnik Dream Place dodaje też, że ze strony spółki, którą reprezentuje, wciąż jest wola współpracy. – Nie chcemy nikogo wyrzucać na bruk, jesteśmy otwarci, żeby załatwić to na drodze polubownej – dodaje.

Komorowski przypomina, że mieszkańcy kamienicy przy Grunwaldzkiej nie byli nigdy właścicielami zajmowanych lokali, tylko najemcami. On z pewnością doskonale wie, że zgodnie z ustawą o ochronie praw lokatorów miasto nie mogło ich wyrzucić. Nie mogła też spółdzielnia. Ale rozwiązanie się znalazło i ci, którzy chcieli zrobić dobry interes na nieruchomości położonej przy Grunwaldzkiej 597, znaleźli sposób, aby zarobić na atrakcyjnej działce. We wszystkim przeszkadzali w zasadzie tylko ci nieszczęśni lokatorzy, którzy żyją tu od 40 lat, tu wychowali swoje dzieci i tu bawili swoje wnuki. Ale i na to znaleziono sposób.

*Jeśli znają państwo podobne historie związane z reprywatyzacją, prosimy o kontakt z autorem tekstu: artur.ceyrowski@fratria.pl*



eprasa.pl f264cc2d81



Fot. Fratria

# Oferta dla Europy

W ataku establishmentu na Polskę chodzi o przykład, jaki dajemy innym. Oto w Unii widzą, że pojawił się drugi po Węgrzech kraj, który proponuje inną wizję UE, inny sposób w niej funkcjonowania: oparcie rozwoju nie na skrajnie liberalnych wartościach, lecz na powrocie do korzeni

***Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają w Strasburgu z Tomaszem Porębą, politykiem Prawa i Sprawiedliwości, posłem do Parlamentu Europejskiego***



eprasa.pl f264cc2d81

***Gdy w wyszukiwarkę internetową wpisze się „Tomasz Poręba", wyskakują przede wszystkim linki do Via Carpatia, międzynarodowej trasy Północ–Południe, mającej w finale połączyć Kłajpedę na Litwie z Salonikami w Grecji. Można odnieść wrażenie, że zajmuje się pan głównie tą inwestycją. Dlaczego to takie ważne?***

***Tomasz Poręba:*** Zajmuję się oczywiście wieloma sprawami, ale działanie na rzecz Via Carpatia jest faktycznie wyzwaniem mojego politycznego życia. To kluczowa sprawa dla mojego regionu, czyli Podkarpacia, interesu gospodarczego Polski, Europy Środkowej oraz Unii Europejskiej. Rozumiał to świetnie śp. prezydent Lech Kaczyński, z którego inicjatywy już w 2006 r. została podpisana deklaracja na rzecz budowy Via Carpatia przez szefów rządów krajów leżących na jej szlaku. Dlatego myślę, że gdy ta droga powstanie, a to tylko kwestia czasu, powinna nosić imię śp. prezydenta Kaczyńskiego.

***Jak konkretnie wyglądała walka o ten szlak?***

Zacznijmy od Polski. Lata rządów PO-PSL to faktyczna dyskryminacja Polski wschodniej w zakresie inwestycji infrastrukturalnych, skutkująca upośledzeniem komunikacyjnym. W ujęciu szerszym, europejskim, ta inwestycja przełamuje dominację projektów komunikacyjnych budowanych na osi Wschód–Zachód na rzecz sprawnego połączenia Północ–Południe. Będzie wreszcie możliwe szybkie i niedrogie przewiezienie ładunku z Grecji, przez Bułgarię, Rumunię, Węgry, Słowację, Polskę i Litwę. To pomysł na ożywienie, przyspieszenie rozwoju rubieży. Dzięki tej drodze kraje Południa przez odnogę Via Carpatia i trasę S17 Lublin–Warszawa uzyskają dostęp do polskich portów, co bez wątpienia przyspieszy ich rozwój.

***Trochę na kontrze do dominującej dotychczas linii Berlin–Moskwa?***

Najgorsze, że tę politykę wspierał przez lata rząd Platformy i PSL. Wiele takich decyzji nas dzisiaj osłabia. To trzeba zmienić, chociażby twardo walczyć o udrożnienie i ożywienie żeglugi na Odrze, która może być świetnym, konkurencyjnym dla Renu szlakiem transportowym. Wracając do Via Carpatia – oceniamy, że gdy ta droga powstanie, pojawią się w Polsce wschodniej nowe inwestycje, które dadzą pracę, a emigracja młodzieży, co jest tam najbardziej dotkliwe, zmniejszy się o 20–25 proc. Cały region dostanie zastrzyk rozwojowy.

***Dlaczego tak późno?***

Muszą panowie zapytać Donalda Tuska. W latach 2009–2014 walczyliśmy, by tej trasy nie wygumkowano z planów unijnych. Co więcej, głosami europosłów PO, którzy przyprowadzili na głosowanie swoich kolegów z Niemiec i Francji, odrzucono w Parlamencie Europejskim petycję w sprawie Via Carpatia. Dla mnie to był szok. Ale nadal robiłem swoje i tłumaczyłem w PE oraz KE, dlaczego ten szlak jest tak ważny. Bo ówczesny polski rząd nie był tym zainteresowany.

My mówiliśmy, oni nie słyszeli. Dla nich liczyła się wyłącznie Polska zachodnia, tam szły największe inwestycje, wschodnią pomijano. Ale uparta praca dała efekty. Ostatecznie mój raport dotyczący dostępności komunikacyjnej Europy Wschodniej i wagi Via Carpatia poparło w PE ponad 500 europosłów, a prace naprawdę ruszyły po zdobyciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość.

> W mojej ocenie ponad 80 proc. wyborczych obietnic zostało spełnione lub jest obecnie realizowane. W tym te, które były opisywane jako „propagandowe" czy „niewiarygodne"

***Kiedy cała trasa będzie gotowa?***

Na terenie Polski trwają intensywne prace między Rzeszowem a Lublinem. Cywilizacyjną decyzją jest także przekazanie przez rząd PiS środków na budowę odcinka Rzeszów–granica państwa ze Słowacją w Barwinku. To się jeszcze do niedawna nikomu nie śniło. Biorąc pod uwagę również duże przyspieszenie budowy tej drogi w Rumunii, na Węgrzech i Słowacji, można powiedzieć, że to kwestia kilku lat, kiedy towary z południa Europy będą transportowane dzięki Via Carpatia do polskich portów.

***To ciekawa uwaga – można odnieść wrażenie, że to pierwsza od lat ekipa rządząca, która poważnie potraktowała swoje obietnice wyborcze, ale też taka, która była w stanie je wdrożyć.***

W mojej ocenie ponad 80 proc. wyborczych obietnic zostało spełnione lub jest obecnie realizowane. W tym te, które były opisywane jako „propagandowe" czy „niewiarygodne", czyli program 500+, uszczelnienie VAT, ochrona dzieci w ubogich rodzinach przed nieuzasadnionym odbieraniem przez sądy, przywrócenie wieku emerytalnego, skończenie z przywilejami emerytalnymi byłych esbeków. Ludzie zobaczyli, że jeśli coś mówimy, to robimy. Tu w mojej opinii widać źródła popularności Prawa i Sprawiedliwości w społeczeństwie.

***Sama opozycja wydaje się zdziwiona konsekwentnym i skutecznym wdrażaniem programu wyborczego przez PiS.***

To zdziwienie jest jeszcze głębsze, niż panowie wskazują. Opozycja wydaje się w ogóle zdziwiona, że my mieliśmy tak precyzyjnie przygotowany program rządzenia, co pozwoliło nam szybko się zabrać do konkretów. To wielka zasługa Jarosława Kaczyńskiego, który osobiście nad tym pracował, pilnował, by program był aktualizowany, przypominał wszystkim, że to ważne. W efekcie ludzie opozycji w większości spraw nie są w stanie z nami merytorycznie porozmawiać.



eprasa.pl f264cc2d81

Bo co mają pokazać? Co powiedzieć? Dlatego wybrali krzyk.

***Ulicę i zagranicę?***

Ten pierwszy element każdy widzi. Ostatnio posuwają się już do fizycznych ataków na biura Prawa i Sprawiedliwości i jakoś na Zachodzie nie słyszymy głosów oburzenia. Co do drugiego elementu, to z perspektywy Parlamentu Europejskiego obraz bywa jeszcze bardziej przerażający. Chodzą i proszą o interwencję w Polsce, o nałożenie sankcji, o ukaranie Polaków, bo źle wybrali. Posłów opozycji interesuje tylko to, by dokopać Polsce. I mówię to z pełną odpowiedzialnością.

***Jak to konkretnie wygląda?***

Poseł Rafał Trzaskowski – co upubliczniłem na Twitterze – uczestniczył w pisaniu rezolucji przeciw Polsce. Część europosłów PO głosowała ostatnio za sankcjami. Pani Róża Thun kłamie o Polsce w niemieckiej telewizji. Z tego, co wiemy, niektórzy komisarze starają się unikać komisarz Elżbiety Bieńkowskiej, bo nie można z nią normalnie porozmawiać. Zawsze kończy się na próbach zwerbowania do jakiejś akcji przeciw obecnemu rządowi. A wszystko koordynuje Tusk, który już dawno wyszedł z roli bezstronnego przewodniczącego Rady Europejskiej.

Niestety często podobną rolę odgrywają niektórzy polscy dziennikarze, w większym stopniu pełniący funkcję rzeczników opozycji w Brukseli niż osób relacjonujących prace KE czy PE. Zdarza się, że na konferencjach prasowych dopytują, dlaczego reakcja na politykę rządu w Polsce jest tak słaba. Zresztą każdy może sprawdzić, co niektórzy piszą, będąc – co mnie nie mieści się w głowie – polskimi korespondentami niemieckich mediów. Zatem gdy mówimy o opozycji inspirującej ataki na Polskę, musimy też pamiętać o części mediów, organizacjach pozarządowych, suto opłacanych, by na wszelkie sposoby psuć naszemu krajowi opinię.

***Mimo wszystko dziwi, że wiele osób na Zachodzie tak łatwo przyjmuje te oskarżenia za fakty. Dlaczego tak mało interesuje ich to, jak pełen patologii był nasz wymiar sprawiedliwości, jak wielki monopol medialny miały poprzednie rządy, jak bardzo Polacy wspierają te wszystkie reformy?***

Przede wszystkim musimy stać na gruncie unijnego prawa, a to jasno mówi, że to sprawy rozstrzygane wewnętrznie przez każde państwo. Po drugie, reformy te w niczym nie naruszają praworządności, bo np. reforma sądów zawiera rozwiązania powszechnie stosowane we Francji, w Niemczech, we Włoszech. Tam to politycy wprost wybierają sędziów na najważniejsze stanowiska i kontrolują wymiar sprawiedliwości. Tak reformuje wymiar sprawiedliwości we Francji Emmanuel Macron. Albo kwestia ordynacji wyborczej – czy naprawdę po kompromitacji z roku 2014, kiedy doszło do wypaczenia wyniku wyborów, mamy zostawić wszystko tak jak było? Czy uczynienie procesu wyborczego bardziej transparentnym to dziś w Unii Europejskiej jakaś przewina?

***No właśnie – powtarzamy pytanie – dlaczego to tak łatwo jest przyjmowane?***

Muszą mieć panowie świadomość, że mamy do czynienia z ogromną dysproporcją sił propagandowych między partią rządzącą a opozycją. Podam przykład. Oto w styczniu 2016 r. w czasie sporu o Trybunał Konstytucyjny rusza potężna kampania przeciw Polsce. Mnożą się zarzuty o próby siłowego przejęcia tej instytucji.

W ogóle – ale to w ogóle – nie ma dyskusji np. o faktach, o tym, że za Platformy 14 na 15 sędziów TK było z wyboru jednej partii; że PO próbowała wybrać sędziów na zapas, czując zbliżającą się porażkę. Chcemy dotrzeć z tymi informacjami do posłów parlamentu i zachodnich mediów. Organizujemy kampanię odkłamującą. Decydujemy się nawet opublikować płatne artykuły w najbardziej topowych gazetach na Zachodzie. I wiedzą panowie, jak jest? Spotykamy się z odmową.

***Jak to?***

Odpowiedź brzmi, że nie mogą opublikować naszego ogłoszenia, bo to niezgodne z ich linią redakcyjną. Płatnych ogłoszeń! Naprawdę chwilami jesteśmy wobec tej zmasowanej akcji dezinformacyjnej bezbronni.

***A polska dyplomacja?***

To jest klucz, aby poważnie zacząć walczyć z zakłamanym wizerunkiem naszego kraju. W każdej europejskiej i innych ważnych dla Polski placówkach na świecie muszą być ambasador i jego ludzie, którym się po prostu będzie chciało. Niestety np. przez ostatnie dwa lata w Brukseli nasz poprzedni ambasador nic nie zrobił, by bronić prawdy o zmianach w Polsce. Był zupełnie bierny, niezdolny wystawić głowę. A na końcu odszedł w niesławie jako podejrzany o współpracę z SB. Liczę na to, że nowy będzie bardziej aktywny. W mojej opinii ktoś na takim stanowisku, w takim momencie, nie powinien w ogóle wychodzić z unijnych budynków, powinien przekonywać, tłumaczyć, dostarczać wiedzy, korygować przekaz. Po prostu działać na rzecz Polski.

***Jest jakiś przykład, który mógłby posłużyć za wzór?***

Tak, dobrze znany. To Węgry. Kiedy Budapeszt był pod pręgierzem, ich ambasador w Brukseli niemal nie wychodził z gabinetów w KE i PE. Inna jakość.

***Chciano z nim jednak rozmawiać. Z naszym może by nie chciano, bo nie jesteście w Europejskiej Partii Ludowej?***

Rozmawiano by. Jeśli ambasador poprosi o spotkanie z komisarzem, szefem grupy parlamentarnej czy posłem, na pewno zostanie przyjęty, wysłuchany. Tego typu działań nie można zaniedbywać. Dyplomacja węgierska naprawdę budzi podziw sposobem działania; tym, z jaką energią i skutecznością broni interesów narodowych.

***Skąd u nas wziąć takich ludzi? Skąd oni ich wzięli? To przecież też kraj postkomunistyczny.***



eprasa.pl f264cc2d81

Postawili na nowych, młodych ludzi. Musimy zrobić to samo, musimy tworzyć nowe kadry. Musimy zaryzykować, bo inaczej nic z tego nie będzie. Musimy wysyłać na najważniejsze placówki osoby, którym będzie się chciało pracować i bić o wizerunek Polski. Osobiście wolę może na początku mniej doświadczonego, ale aktywnego dyplomatę niż starego wygę, który często udaje, że coś robi, a w sercu czeka na wywrotkę dobrej zmiany.

***Dyplomaci tłumaczyli nam kiedyś, że to zadanie posłów do Parlamentu Europejskiego.***

Na pewno nasze także, ale tu musi być połączenie wysiłków. Dziś w niemal każdej właściwie gazecie europejskiej – niemieckiej, francuskiej, włoskiej i hiszpańskiej – obraz Polski jest przedstawiany w sposób zafałszowany, karykaturalny. Rola tamtejszych placówek jest bezcenna.

***To akurat wydaje się również dowodem na duży kryzys wolności słowa. Jeden z przedstawicieli prasy niemieckiej opowiedział nam kiedyś, że raz nadał dość pozytywną depeszę o Polsce. Reakcja była natychmiastowa – oni wiedzą lepiej, że nad Wisłą dzieje się źle. Kazali poprawić. Wszystko to brzmi jednak dość pesymistycznie?***

Liczę na to, że ta sytuacja będzie się jednak zmieniać. Mamy kilka instrumentów – od Polskiej Fundacji Narodowej, przez Instytut Pamięci Narodowej, po polską dyplomację – które muszą działać sprawnie, które mogą sporo osiągnąć. Ale też musimy mieć świadomość, że wielu w Komisji, Radzie czy Parlamencie, rzekomo troszczących się o demokrację w Polsce, w rzeczywistości ma inny cel: zmianę władzy w naszym kraju.

Myślę, że słuchając np. Guya Verhofstadta, szefa EPP Manfreda Webera czy kiedyś Martina Schulza, nikt nie ma wątpliwości, że ich głównym celem jest wspieranie opozycji, która ledwie w Polsce zipie. To ludzie ideologiczne zacietrzewieni, niezdolni do racjonalnego, uczciwego osądu spraw w kraju.

***Skąd to zacietrzewienie? Ideologia czy ekonomia? Bo przecież wielu straciło miliardowe zyski.***

Tego nie można rozdzielić, to się splata. Na pewno to spór lewicy z konserwatystami. Na pewno francuskie i niemieckie firmy uważają, że demokracja na peryferiach równa się prawo do bezkarnego transferowania nieopodatkowanych zysków z państw takich jak Polska. Na pewno jest tu silne oczekiwanie, żeby posiedzenia Rady Europejskiej wyglądały tak jak wtedy, gdy przyjeżdżał na nie jako premier Donald Tusk – wszystko, co położono na stole, było klepane.

> Musimy tworzyć nowe kadry. Musimy zaryzykować, bo inaczej nic z tego nie będzie. Musimy wysyłać na najważniejsze placówki osoby, którym będzie się chciało pracować i bić o wizerunek Polski

Ale jeśli miałbym wskazać jeden najważniejszy powód tego wściekłego ataku establishmentu europejskiego na Polskę, to jest to przykład, jaki dajemy innym. Oto widzą, że pojawił się drugi po Węgrzech kraj, który proponuje inną ścieżkę, inną wizję UE, inny sposób w niej funkcjonowania: oparcie rozwoju nie na skrajnie liberalnych wartościach, lecz na powrocie do korzeni.

***Pojawia się jakaś alternatywa?***

Dokładnie. W Brukseli widoczna jest obawa, że te postawy będą zaraźliwe. A przecież ten projekt, z ducha lewicowo-liberalny, miał być bezalternatywny, jedyny możliwy. Miało nie być liderów innego typu, a tu nagle pojawiają się Viktor Orbán z Jarosławem Kaczyńskim i przedstawiają inną ofertę. Ba! Grupa Wyszehradzka jednak się integruje, różniąc oczywiście w wielu sprawach, ale w innych działając ramię w ramię. Nasi liderzy mówią mądrze, ciekawie, budzą zainteresowanie sfrustrowanych społeczeństw na Zachodzie. Tego się boją unijne elitki – zaraźliwego przykładu. To jest prawdziwe źródło ataku na Polskę.

Nie ma jednak wyjścia: trzeba robić swoje i konsekwentnie wskazywać alternatywę, bo jeśli dalszy rozwój UE będzie szedł w tym kierunku, to projekt ten zakończy życie szybciej, niż nam się może wydawać.

***W Polsce pojawiły się pogłoski, że rząd może przyjąć jednak imigrantów narzuconych przez Unię w ramach relokacji. W pana opinii to możliwe? Coś pan o tym wie?***

Nic mi o tym nie wiadomo. Po pierwsze, powinniśmy absolutnie trzymać się zasady, że pomagamy na miejscu i jesteśmy w tym autentyczni, bo nie znam takiego drugiego rządu w Europe, który z takim finansowym zaangażowaniem włączył się w pomoc ofiarom wojny w Afryce. Po drugie, przyjęliśmy tysiące osób po wojnie Rosji z Ukrainą, a wcześniej z Czeczenią. Trzeba to cały czas w Brukseli powtarzać.

***Kończąc rozmowę – jak pan opisuje cel obecnego polskiego rządu swoim zagranicznym rozmówcom?***

Mówię, że Polacy nie chcą niczego innego niż to, czego pragną także ich obywatele – sprawnego, uczciwego państwa; że obecny spór z Polską to tak naprawdę bój o to, czy o polityce danego kraju będzie decydował demokratycznie wybrany rząd, czy nominowany urzędnik w Brukseli; czy będziemy mieć suwerenne prawo do decydowania, czy oddamy je np. Fransowi Timmermansowi. I że Polska chce być nowoczesnym krajem w UE, który bez kompleksów będzie walczył o swoje interesy.

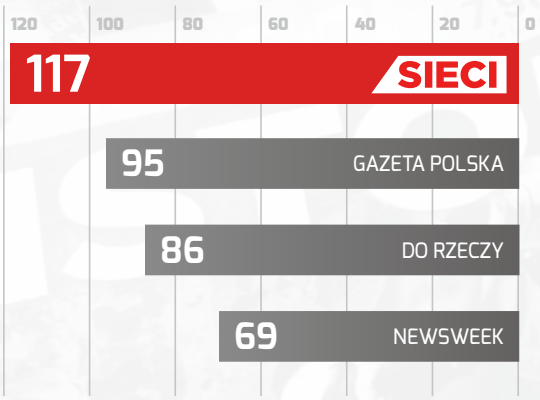


eprasa.pl f264cc2d81

# NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZY TYGODNIK W POLSCE




## Najbardziej opiniotwórcze tygodniki i dwutygodniki




ŹRÓDŁO:
INSTYTUT MONITOROWANIA MEDIÓW, DANE ZA GRUDZIEŃ 2017

Autopromocja

eprasa.pl f264cc2d81



# To dzięki Bogu jestem w Nowoczesnej

Gdy Barbara Nowacka mówiła o zlepku komórek, widziałam miny posłów Nowoczesnej, kilku z nich wstało i wyszło z sali. Dla nas to było za dużo. Moim zdaniem to była po prostu prowokacja. Po jej słowach coś we mnie pękło

***z Kornelią Wróblewską, posłanką Nowoczesnej, rozmawia Dorota Łosiewicz***

***Chętnie publikuje pani zdjęcia z momentu karmienia Tosi piersią w Sejmie. Spotkała się już pani z krytyką?***

***Kornelia Wróblewska:*** W Sejmie nie. Wręcz przeciwnie, słyszę wspierające głosy, a nawet gratulacje od parlamentarzystów różnych opcji oraz od pracowników Sejmu. Czuję, że wszyscy mi kibicują. Widzieli, jak przychodziłam do pracy, będąc w ciąży. Wiedzieli, że zamierzam wrócić do pracy, gdy córka się urodzi. Teraz widzą mnie z Tosią, co jest naturalną konsekwencją moich słów. Natomiast internet jest bezlitosny. Wylało się na mnie z powodu takiej decyzji oraz z powodu publicznego karmienia piersią morze hejtu. Wiele osób pisało, że z dzieckiem trzeba siedzieć w domu, bo potrzebuje spokoju, że przychodzenie z córką do pracy naraża jej zdrowie. Ludzie pisali też, że karmienie piersią jest sytuacją tak intymną, że powinno się odbywać wyłącznie w zaciszu czterech ścian. Ja się z tym nie zgadzam. Nie wyobrażam sobie inaczej. Karmienie piersią – choć dla mamy bywa trudne i nieprzyjemne – jest potrzebne dziecku i nie zamierzam z niego rezygnować. Nie chcę pozbawiać tego mojej córki, a przecież muszę wykonywać mandat posła. Nie mam urlopu macierzyńskiego ani wychowawczego.

Fot. Julia Szewczyk



eprasa.pl f264cc2d81


Fot. Shutterstock

***Nie ma w Sejmie pokoju, w którym karmiąc, mogłaby pani czuć się bardziej komfortowo?***

Jest takie miejsce, ale osoba, która je projektowała, musiała nie mieć dzieci. Można tam dojść wyłącznie schodami, nie ma żadnej windy ani podjazdu. Jak więc tam dotrzeć z wózkiem? Inna droga prowadzi na zewnątrz budynku, więc zimą musiałabym Tosię ubrać i rozebrać kilka razy, żeby ją nakarmić. Nie mówiąc już o tym, że to jest po prostu mały człowiek, który może zechcieć być przystawiony do piersi w każdej chwili. Karmienia nie da się zaplanować co do minuty. W związku z tym bieg z przeszkodami do odległego pokoju to sport ekstremalny. Podejrzewam, że nikt nigdy z niego nie korzystał. Na szczęście inne drogi w Sejmie są przystosowane dla wózków. Dzięki ułatwieniom dla niepełnosprawnych łatwiej mają też mamy z małymi dziećmi.

***A jak jest np. z przewijakami?***

W łazienkach ich nie ma. Sejm jest jednak dość przyjazny dla mam. Gdy się okazało, że jestem w ciąży, napisałam do marszałka o dostosowanie pokoju w hotelu sejmowym do potrzeb mamy z dzieckiem. Został mi przydzielony pokój pracy posłów. Tam wstawiono łóżeczko, komodę z przewijakiem, można sobie zrobić herbatę, jest też łazienka. My tu na szczęście nie mieszkamy, przebywamy tylko w ciągu dnia, więc o kąpiel nie muszę się już martwić.

***Kto pani pomaga przy córce, gdy jest posiedzenie?***

Jest ze mną mama męża. Mieszka w Warszawie, jest zakochana w Tosi i bardzo nam pomaga.

***Tosia jest pani drugim dzieckiem. Syn ma już 11 lat. Widzi pani w sobie jakieś zmiany w podejściu do macierzyństwa?***

Jest ich wiele. Przy pierwszym dziecku bałam się wszystkiego. Bałam się myć, ubierać, karmić. Martwiłam się, że gdy płacze, to pewnie znaczy, iż coś mu dolega. Przy Tosi już się nie boję. Od samego początku wiem, co robić. Wiem też, że dziecko czasem płacze, bo jest głodne, czasem trzeba je przewinąć, czasem pomasować po brzuszku. Tosia uwielbia rozmawiać, więc ją kładę na łóżku i z nią rozmawiam, a ona się z tego cieszy i radośnie gaworzy. Jestem dużo spokojniejsza niż za pierwszym razem, pewnie też bardziej dojrzała, bo gdy urodził się syn, miałam 25 lat. A mój macierzyński spokój przekłada się na córkę, która też jest bardzo spokojnym dzieckiem, dużo śpi i można przy niej odpocząć, ale też popracować.

***Chciała pani zostać mamą po raz drugi?***

Zawsze marzyłam, że będę miała czwórkę dzieci. Niestety gdy mój syn miał półtora roku, moje małżeństwo się rozpadło. Długo nie było nikogo, z kim mogłabym sobie ułożyć życie od nowa. Byłam pewna, że nie będę już miała więcej dzieci. Wejście do polityki spowodowało, że poznałam swojego drugiego męża, tatę Tosi.

> Mój mąż nazywa się Jarosław Kaczyński. I z jego nazwiskiem wiąże się wiele zabawnych sytuacji

***Żeby było zabawniej – Jarosława Kaczyńskiego.***

Tak faktycznie nazywa się mój mąż. I z jego nazwiskiem wiąże się wiele zabawnych sytuacji. Musiałam np. zrezygnować z marzenia, które nosiłam w sobie od dziecka – że gdy będę miała córkę, dam jej na imię Maria. Mąż spojrzał na mnie i powiedział: „Kochanie, masz już Jarosława Kaczyńskiego, oszczędźmy córce przykrości i nie narażajmy się na złośliwe komentarze, że celowo nazwaliśmy tak dziecko". No i musiałam zrezygnować z Marysi. Jeśli chodzi o mojego męża, to od początku wiedziałam, że to jest „to", że chcemy być razem. Zauroczył nie tylko mnie, lecz również mojego syna Stasia. Zajmuje się nim jak rodzony ojciec. Mimo to bardzo chciał mieć także swoje dziecko. Poza tym Staś marzył o siostrze. Odkąd skończył trzy lata, prosił mnie o siostrzyczkę. Obaj więc mnie intensywnie namawiali na dziecko. Podjęliśmy zatem decyzję, że będziemy się starać o maleństwo. To było w październiku, a już w marcu okazało się, że jestem w ciąży. Potwierdził ją dopiero trzeci test. Wtedy zaprosiłam panów na uroczysty obiad do restauracji, kupiłam śliczne niemowlęce kapciuszki i im powiedziałam. Wszyscy byliśmy bardzo szczęśliwi. Tę drugą ciążę przeżywałam zupełnie inaczej niż pierwszą. Także dlatego, że na świecie było już dziecko, które czekało na to drugie. Staś zamiast ze mną, najpierw witał się z brzuchem – Tosią. Ja byłam druga. Teraz syn bardzo mi pomaga, nosi siostrę, pomaga ją kąpać, raz już nawet ją przewijał, dużo do niej mówi, gra specjalnie dla niej na pianinie.

***Pochodzi pani z wielodzietnej rodziny. Mówi pani, że od zawsze marzyła o czwórce dzieci. To mi się jakoś kłóci z wizerunkiem kobiety Nowoczesnej.***

W ogóle. U nas wszystkie panie, które mają rodziny, mają też dzieci, i to po kilkoro. Nie wyobrażamy sobie ich nie mieć. Dla nas to jest bardzo ważne. Jak zaszłam w ciążę, koleżanki z Nowoczesnej mówiły, że mi zazdroszczą, i gdyby mogły, to też chciałyby jeszcze mieć dzieci.

***Mówi pani jednak jak konserwatystka.***



eprasa.pl f264cc2d81



Może po prostu źle pojmujemy nowoczesność Nowoczesnej. To, co połączyło bardzo różnych ludzi z bardzo różnych środowisk, to była nowoczesna gospodarka. Chcieliśmy, żeby prężnie się rozwijała, żeby kraj się rozwijał i żeby wszystkim żyło się lepiej. To ta myśl ściągnęła ludzi na Torwar, a nie światopogląd. Nowoczesna łączy ludzi o bardzo różnych światopoglądach, co było widać podczas ostatnich, głośnych głosowań. Są wśród nas zarówno światopoglądowi konserwatyści, jak i liberaliści, o mocno lewicowych poglądach. Nie jesteśmy wyemancypowanymi feministkami, skoncentrowanymi wyłącznie na karierze. Gdy leżałam w czasie ciąży w szpitalu (a to zdarzyło się aż trzy razy), spotkałam dziewczynę, która urodziła córeczkę, mając 32 lata. Trochę się tym martwiła. Uspokajałam ją, że to dobry wiek, że to nie jest za późno itd. I wtedy się okazało, iż ona martwi się tym, że to za wcześnie. W jej korporacji koleżanki rodzą pierwsze dzieci, mając 39–42 lata. Gdy się dowiedziały, że jest w ciąży, potraktowały ją jak idiotkę. U nas w partii czegoś takiego nie ma. Posiadania dzieci nie można po prostu wiązać z żadnym światopoglądem.

***Nie wiem, czy feministki by się z panią zgodziły. Często słyszymy od nich, że mąż, dziecko, rodzina to zniewolenie, uciemiężenie etc.***

Ja nie jestem feministką. To, że wspieram wiele feministycznych projektów, nie oznacza, iż pod każdym bym się podpisała. Oczywiście działam na rzecz kobiet, pomagam kobietom, jestem po ich stronie. Po rozwodzie zostałam sama, było mi bardzo ciężko. Musiałam godzić pracę z wychowaniem dziecka. Wtedy też pisałam doktorat. Nie wróciłam do mamy i nie powiedziałam: „Mamo, uciekam z Warszawy, mąż mnie zostawił, nie mam z czego żyć". Poradziłam sobie. Feminizmu nie można jednak sprowadzać wyłącznie do wolności i braku dzieci.

***Mówi pani, że połączyła was gospodarka, ale polityki nie da się uwolnić od światopoglądu. Widać to choćby po ostatnich głosowaniach nad projektami zmieniającymi zapisy dotyczące aborcji.***

Dziś widzę, że w polityce nie można uciec od światopoglądu. Nawet jeśli samemu nie wprowadza się danego tematu pod obrady, to i tak trzeba za każdym razem zająć stanowisko. Do tej pory w kwestiach światopoglądowych nie było dyscypliny partyjnej. Skutkiem tego jest ostatnie głosowanie, w którym w jednym przypadku opowiadałam się za odrzuceniem projektu, a w drugim nie wzięłam udziału w głosowaniu. Po tym doświadczeniu uważam, że na etapie decydowania o przyszłości projektów obywatelskich ta dyscyplina powinna być, bo to jest wyłącznie głosowanie techniczne. Być może powinno być to zapisane w regulaminie Sejmu, że wszystkie projekty obywatelskie z automatu trafiają do komisji pod debatę. Bo debata faktycznie jest potrzebna, a pierwsze czytanie to nie jest moment, w którym światopogląd ma jakieś znaczenie. On się liczy dopiero przy ostatecznym głosowaniu, gdy rozstrzygamy wejście projektu w życie. I tak zachowałam się podczas tych ostatnich głosowań. Jakby były ostateczne, a nie techniczne... I w tym sensie to był mój błąd. Tymczasem projekty obywatelskie powinny być poddane debacie i powinnam zagłosować tak, aby oba znalazły się w komisji. Ale na razie nie ma w regulaminie tej obligatoryjności w stosunku do projektów obywatelskich. I w naszym klubie nie było dyscypliny w głosowaniu.

***To chyba jednak nie zmieniłoby pani podejścia do życia, na które wpływ mieli m.in. Tosia i Staś.***

Być może moja postawa ma związek z tym, że przed chwilą nosiłam w łonie dziecko, ale podobnie myślałam w 2016 r. Wtedy, znając moje poglądy na życie, poproszono mnie, żebym zagłosowała tak, by projekt liberalizujący ustawę aborcyjną mógł trafić do komisji. I tak zagłosowałam. Gdyby projekt nie przepadł w komisji, tylko wrócił do Sejmu, wówczas nie mogłabym go poprzeć.

***Ale przecież brała pani udział w czarnych marszach.***

Tak, ale to nie było związane z liberalizacją prawa aborcyjnego. Ja tam byłam przeciwko zaostrzeniu prawa, przeciwko karaniu kobiet za to, że nie mogą być bohaterkami, rodząc dzieci bez względu na sytuację i okoliczności. Jestem za kompromisem, który istnieje teraz. Jestem za lepszą edukacją seksualną, za darmową antykoncepcją, zniosłabym receptę na pigułkę „dzień po" (choć sama raczej bym jej nie zastosowała). Jednak to coś zupełnie innego niż usuwanie płodu do 12. tygodnia na życzenie. Dla mnie to trudne do przyjęcia.

***Powiedziała pani, że nie da sobie wmówić, iż trzymiesięczny płód to nie jest dziecko.***

I nadal tak uważam. Dla mnie to jest po prostu dziecko. Gdy Barbara Nowacka mówiła o zlepku komórek, widziałam miny posłów Nowoczesnej, kilku z nich wstało i wyszło z sali. Dla nas to było za dużo. Moim zdaniem to była po prostu prowokacja. Ja do ostatniej chwili się zastanawiałam, jak zagłosować, ale



eprasa.pl f264cc2d81

po jej słowach coś pękło. Nie tylko we mnie, lecz także w innych posłach, którzy gotowi byli poprzeć kilka punktów projektu „Ratujmy kobiety". Niektóre były zupełnie nie do przyjęcia, jak ten, że 15-latka może dokonać aborcji bez wiedzy i zgody opiekuna prawnego. Gdy Barbara Nowacka wygłosiła swoją przemowę, niektórym odechciało się jednak łamania siebie dla osoby, która z premedytacją mówi takie rzeczy.

***Wyszła więc pani z sali i nie wzięła udziału w głosowaniu, a przypomnijmy, że projekt nie przeszedł do dalszych prac, bo zabrakło dziewięciu głosów. Spotkała się pani z ostrą krytyką. Pani biuro poselskie zostało wysmarowane fekaliami.***

Zgłosiliśmy to na policję. Bo dziś kał na szybie, jutro wybita szyba, a pojutrze fizyczna napaść na mnie czy pracowników biura. Ten incydent to także wynik tego, że obywatele niezbyt szczegółowo śledzą debatę publiczną. Byłam ostatnio na wschodzie Polski, rozmawiałam z wyborcami. Niektórzy z nich nawet nie wiedzieli, że były dwa różne projekty związane z aborcją – jeden liberalizujący, a drugi zaostrzający przepisy. Usłyszałam w terenie, że wystąpiłam przeciwko kobietom, głosując za zaostrzeniem prawa aborcyjnego, każąc kobietom rodzić niepełnosprawne dzieci. Musiałam tłumaczyć, że głosowałam za odrzuceniem projektu zaostrzającego przepisy i nie głosowałam w przypadku projektu liberalizującego ustawę. Ja po prostu chcę zachowania dotychczasowego kompromisu.

***Czyli chce pani, by można było zabijać nienarodzone dzieci, np. z zespołem Downa.***

Gdy byłam w ciąży, lekarz proponował mi badania genetyczne. Skorzystałam z podstawowych, ale nie zdecydowałam się na te, które mogłyby wykazać zespół Downa. Nie było sensu. I tak nie usunęłabym ciąży, gdyby Tosia była chora. To była wspólna decyzja z mężem. Nie uważam jednak, że kobiety należy zmuszać do heroizmu. Wiem, jak to jest wychowywać niepełnosprawne dziecko. Wiele lat pomagałam rodzinie z takim dzieckiem, współpracowałam ze środowiskami osób niepełnosprawnych. Wiem, jak trudno jest takim ludziom. Jeśli chcemy zaostrzyć prawo aborcyjne, powinniśmy to zrobić tylko wówczas, gdy państwo będzie gotowe wspierać obywateli w każdej sytuacji, a nasze państwo ma takie ambicje, ale tego nie robi. Mój projekt nowelizacji ustawy o pomocy społecznej leży od półtora roku w sejmowej zamrażarce. A jest on odpowiedzią na potrzeby osób niepełnosprawnych i ich opiekunów. Rodzice, którzy rezygnują z pracy, decydując się na opiekę nad niepełnosprawnym dzieckiem, dostają od państwa 520 zł. Nie da się za te pieniądze w żaden sposób wyżyć. Jeśli to się nie zmieni, nie można mówić o nakazie rodzenia niepełnosprawnych dzieci.

> Nie jestem feministką. To, że wspieram wiele feministycznych projektów, nie oznacza, iż pod każdym bym się podpisała

***A rządowy projekt „Za życiem" to nie jest krok w dobrym kierunku?***

To iskierka nadziei, że może coś dalej się wydarzy. Natomiast w moim odczuciu płacenie matce za urodzenie martwego dziecka jest niesmaczne. I to w sytuacji gdy w zamrażarce leży projekt pomagający tym żyjącym. Inaczej na problem spojrzy ktoś, kto dobrze sobie radzi, z rodziny, w której na opiekę nad dzieckiem nie brakuje pieniędzy, a inaczej kobieta, która została sama, zostawił ją mąż i nie ma z czego żyć.

***Ale pani relatywizuje, a życie jest wartością bezwzględną.***

I ja jestem za życiem, ale niech najpierw państwo zapewni chorym dzieciom prawo do godnego życia, a potem wprowadzi obowiązek ich rodzenia. Niech wejdą w życie przepisy wprowadzające rzetelną edukację i informację w tym zakresie, darmową antykoncepcję i wsparcie psychologiczne oraz socjalne. Wtedy będziemy mogli rozpocząć debatę nad zaostrzeniem prawa aborcyjnego. Koniec końców i tak każdy odpowie sam przed sobą czy przed Bogiem – jeśli jest osobą wierzącą – z tego, co zrobił w swoim życiu.

***Jak w ogóle trafiła pani do Nowoczesnej? Może jak poseł Gryglas, przez przypadek?***

Ja bym tu raczej doszukiwała się działania wyższej siły. Wcześniej zajmowałam się dziennikarstwem. Robiłam programy popularnonaukowe dla różnych telewizji. I miałam tego dość. Planowałam zmianę. I powiedziałam do siebie: „Panie Boże, nie wiem, co będą od jutra robiła, ale do mediów nie wracam". Następnego dnia dostałam telefon od starego znajomego, który zapytał, gdzie pracuję i czy nie chciałabym czegoś zmienić. A ja chciałam. I tak się dowiedziałam, że powstaje nowa partia, i usłyszałam pytanie, czy nie chciałabym pomóc. Najpierw zareagowałam niechęcią. Powiedziałam, że nie lubię polityki, ale potem przekonał mnie, że zajmując się tematyką społeczną, mogłabym przygotować program polityki społecznej. Intensywnie współpracowałam z Joanną Schmidt. Później zaproponowano mi kandydowanie. Spróbowałam. Weszłam do Sejmu. Podczas kampanii inny znajomy podesłał mi do pomocy adwokata. I tak w moim życiu pojawił się mój obecny mąż.

***Mówi pani, że to z Bożą pomocą trafiła pani do Nowoczesnej. A nie pasowałaby pani bardziej do PiS?***

Miałam propozycję przystąpienia do tej partii jeszcze w 2015 r., ale choć światopoglądowo mnie z nią kojarzą, z wielu powodów to nie jest moja bajka. Dzisiaj wiem, że tak po prostu miało być. Mam wspaniałego męża, cudowną córeczkę i zawodowo robię to, co kocham. Nawet gdyby więc miało się skończyć na jednej kadencji, to i tak miało sens.



eprasa.pl f264cc2d81



*Długo się bronił. Dziś już zdecydowanie więcej go na ekranie.* ***Grzegorz Damięcki*** *udowadnia, że znakomity aktor odnajdzie się w każdej konwencji, podkręci niejedną fabułę. I po pięćdziesiątce rozkocha w sobie widzów*

# Podatek od popularności

Fot. Piętka Mieszko/AKPA



eprasa.pl f264cc2d81



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Kadr z filmu „Podatek od miłości" (2018)

Fot. Paka Robert

Na dużym ekranie walczą dziś o niego zdeterminowane, silne kobiety. W bawiącej się formułą romantycznej komedii „Podatek od miłości" – w której zadebiutował w pierwszoplanowej roli amanta – zabiega o niego Klara, blondynka w hitchcockowskim stylu grana przez Aleksandrę Domańską. W brawurowym gatunkowo i aktorsko „Ataku paniki" jego bohater konfrontuje się zaś z dwoma kobiecymi gejzerami.

Jest jeszcze film w stylu kina moralnego niepokoju. Na studyjne ekrany trafia właśnie „60 kilo niczego" – głośny, półgodzinny obraz Piotra Domalewskiego (reżysera „Cichej nocy"). Grzegorza Damięckiego oglądamy tu w zupełnie innych – niż romansowe czy obyczajowe – realiach, ale pojawia się też element wspólny dla tworzonych przez niego na ekranie postaci: wyobcowanie.

## CZAS NA PRZEŁOM

I kierownik odkrywkowej kopalni kruszców z „60 kilo niczego", i coach z „Podatku od miłości", i pan młody z „Ataku paniki" to w mniejszym lub większym stopniu autsajderzy z założenia ustawiający się z boku. Trochę, jak sam aktor, który dopiero w okolicach pięćdziesiątki (ur. w listopadzie 1967 r.) postanowił się pokazać szerszej publiczności. Ponad ćwierć wieku po ukończeniu warszawskiej PWST i rozpoczęciu współpracy ze stołecznym Teatrem Ateneum; po licznych premierach na deskach macierzystej sceny i w Teatrze TV, po doświadczeniach m.in. z planu „Lity Schindlera" i filmów Jana Jakuba Kolskiego („Pornografii", „Jasminum", „Daleko od okna") oraz zagranej pięć lat temu roli majora Zwonariewa vel „Bociana" w serialowym „Czasie honoru". Zdecydował się na przełom.

W ciągu trzech ostatnich lat mogliśmy go również zobaczyć w kostiumowym serialu TVP „Bodo", w głośnych odcinkowych produkcjach: HBO – „Pakt" i „Wataha" – oraz w zrealizowanym przez Canal+ „Belfrze", a także w kinowych filmach: wielowątkowej komedii „Po prostu przyjaźń", a potem we wspomnianych: „Ataku paniki", „Podatku od miłości" i „60 kilo niczego". Teraz zaś powstaje szpiegowski serial „Nielegalni" (Canal+) w reżyserii Leszka Dawida, w którym aktor gra główną rolę.

## ZWODZENIE WIDZA

W serialach, na które się zdecydował, zwrócił na siebie uwagę postaciami dwuznacznymi. Grał mężczyzn czarujących, którzy w każdej chwili mogli się okazać ludźmi zepsutymi i bezwzględnymi. W „Pakcie" był zamieszany w przerażającą intrygę, w „Belfrze" jako trzęsący lokalną społecznością biznesmen długo tuszował romans z nastoletnią ofiarą. Zwiódł też niejednego widza „Watahy".

O Marianie z „Podatku od miłości" mówi: „Jest on w dość niebezpiecznym wieku dla mężczyzny, gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką. Intuicja wtedy często zawodzi i przychodzą do głowy różne szalone pomysły. Marian czeka na coś spektakularnego, coś, co odmieni jego życie. Jednocześnie nie widzi tego, co ma najbliżej. Sam przez lata czekałem na przełomowy moment w życiu, dlatego przygotowując się do roli, korzystałem z własnych doświadczeń. Coś, czego wypatrywałem na horyzoncie, wydarzyło się blisko mnie".

## ROLE WYMAZANE

Budując postać Mariana, jak na aktora teatralnego przystało, starał się zrozumieć bohatera, tło jego wyborów. Tak o tym opowiada: „Jestem miłośnikiem kina, w którym roi się od herosów, którzy dają prawdziwe oparcie innym. Robert Redford, Harrison Ford czy Al Pacino grali wiele takich ról. Myślałem o nich, pracując nad tą rolą. Zadawałem reżyserowi mnóstwo pytań dotyczących Mariana, co Bartek [reżyser Bartłomiej Ignaciuk – przyp. red.] cierpliwie znosił. Chciałem poznać wady i słabości mojego bohatera, pokazać, że z pozoru smutny człowiek, który na niewiele w życiu liczy, może rozkwitnąć. Dużo przy tym rysowałem, jak to ja".

Aktor przyznaje, że gdy intensywnie myśli o postaci, „maże po scenariuszach". „A to naszkicuję oko, a to twarz i często wtedy mi coś przychodzi do głowy" – zdradza. Przy czym z każdą kolejną stroną „Podatku..." rysowany przez niego Marian był pogodniejszy. W końcu, jak zapewnia, uśmiechał się od ucha do ucha.

## RODZINNE GRY

Grzegorz Damięcki to dotąd najbardziej tajemnicza postać w znanym aktorskim klanie. Syn Damiana i Barbary Borys-Damięckiej, bratanek Macieja i kuzyn Mateusza oraz Matyldy, mąż scenografki Dominiki Laskowskiej, tata trójki dzieci: nastoletnich Antka i Oli oraz niespełna dwuletniej Janeczki, przez lata był o wiele mniej popularny niż sporo młodsi kuzyni. Aktor w dawnym stylu, w pełni oddany teatrowi, nieustannie rozwijający warsztat i siebie, zdecydował się w końcu wyjść także do ekranowego widza. Teraz dzięki filmowi często jest zajęty, ale stara się znaleźć czas również dla pielęgnowanych od lat pasji: jego kolekcja płyt winylowych liczy ponoć kilka tysięcy egzemplarzy.



eprasa.pl f264cc2d81



Kazimierz Mańkowski z siostrami. Świat ziemiański długo wydawał się niezmienny

# „Moment wieczny" na Podolu

*Od wywodu przodków niegdyś rozpoczynała się każda historia, taki poczet był jedynym zakotwiczeniem w mule przeszłości*



WOJCIECH STANISŁAWSKI

Co jakiś czas odżywa marzenie, które przed ponad ćwierć wiekiem nazwał wielki Danilo Kiš w „Encyklopedii umarłych", a ćwierć wieku przed nim Borges, a przedtem jeszcze Proust: marzenie o totalności, o opisaniu wszystkiego, co składa się na doświadczenie pojedynczego ludzkiego życia: smaków, spotkań, refleksji, barw. To marzenie w oczywisty sposób niemożliwe do spełnienia, popychające do metafizyki i demaskujące mrzonki transhumanistów. A przecież wciąż powraca.

Tamta wizja Kiša, która po raz pierwszy drukiem ukazała się w Polsce jeszcze w podziemiu, podniosła poprzeczkę wysoko: „Suche dane, które odnajduję w moim zeszycie takimi, jak je zanotowałam – wspomina narratorka – tam, w kilku akapitach [Encyklopedii umarłych], zagęszczone są do tego stopnia, że przed oczyma czytelnika pojawia się nagle, jakby za sprawą magii, skąpana w słońcu okolica, wielka zmienność obrazów. Oto niosą trzyletniego chłopca w spiekocie słonecznego dnia górskimi ścieżkami, niosą do dziadka ze strony matki, a w tle, na drugim i trzecim planie – nie wiem, jak to określić – widać żołnierzy, poborców podatkowych, żandarmów, słychać daleki grzmot armat i ochrypłe ujadanie psów. Zwięźle



eprasa.pl f264cc2d81

przedstawiono przebieg I wojny światowej: dudnią pociągi w pobliżu jakiegoś miasteczka, gra orkiestra dęta, bulgoce woda w otworze manierki, pęka szkło, powiewają w rękach chusteczki...".

Wszystko to są osobne paragrafy, każdy okres jest podany w formie swoistej poetyckiej kwintesencji i metafory, nie zawsze chronologicznie, ale w dziwnej symbiozie czasów: przeszłego, teraźniejszego i przyszłego. Bo jak inaczej wytłumaczyć zawarty w tym tekście, w bogato ilustrowanej księdze jego pierwszych pięciu lat spędzonych u dziadka w Komogovinie, żałosny komentarz, który, jeśli dobrze pamiętam, brzmi: „Będą to najlepsze lata jego życia"? Są tu zagęszczone obrazy dzieciństwa, sprowadzające się, można powiedzieć, do znaków ideograficznych: nazwiska nauczycieli, kolegów, „najlepsze lata" chłopca na tle zmieniających się pór roku; jego rozradowana twarz w strugach deszczu, kąpiel w rzece, zjeżdżanie na sankach z zasypanego śniegiem pagórka, łowienie pstrągów, a zaraz potem – lub jednocześnie, jeżeli to możliwe – powrót żołnierzy z europejskich pól bitewnych, manierka w ręku chłopca, „maska gazowa z rozbitym szkłem obok nasypu".

„Kronikę domową Mańkowskich", która ukazała się przed dwoma miesiącami nakładem związanej z rodziną fundacji, można oczywiście czytać jako ważną pozycję z dziedziny współczesnej genealogii. Od wywodu przodków niegdyś rozpoczynała się każda historia, taki poczet był jedynym zakotwiczeniem w mule przeszłości.Celtyccy bardowie i stare kobiety, siedzące na kanapce pod portretem w złotych ramach mieli to samo zadanie: wyliczać rodowody, wiernie pamiętać, kto rodzi się z kogo, jak są rozpięte sieci pokrewieństwa i powinowactwa. Z czasem genealogia osunęła się do grona „nauk pomocniczych historii", zaliczanych i zapominanych bez żalu, dziś czasem na chwilę odzyskuje autonomię, jeśli – a tak się stało w „Kronice domowej..." – odtwarza klimaty, Zeitgeist, sposoby zarabiania, zabawy, odtwarzania i umacniania pamięci rodu.



Marszałkowie szlachty (portret zbiorowy)

Fot. Ze zbiorów Andrzeja E. Mańkowskiego (x4)

Można czytać tę kronikę jako „brakujące ogniwo", jako opowieść o trzech pokoleniach rodu, który trochę wbrew dynamice osadnictwa ziemskiego I Rzeczypospolitej zaczął budować fortuny na Podolu pod koniec XVIII w. i funkcjonował tam aż do czasu podwójnego kataklizmu Wielkiej Wojny i rewolucji, kiedy to wyparty, wrócił do wielkopolskiego matecznika, próbując jeszcze czasem szczęścia w Kongresówce. „Wieczna forma", „polska forma", majątek idealny, jak w Soplicowie, tylko na lepszych glebach, z dnieprowym jarem w tle, z chórem włościan, podłaźniczką u powały, miodem, linem w śmietanie i sklepem Szafnagla w Berdyczowie, który, znany nam z esejów Stempowskiego, tu okazuje się nad podziw realny jako miejsce zakupu cynamonu, gwoździ i nankinów?

Nie do końca. Nie da się „Kroniki..." czytać w tak złotym świetle, pozostaje ona gorzką opowieścią podwójną, o polskim wieku XIX, insurekcyjnym, a potem już tylko opozycyjnym oraz o polskim wycofywaniu się z Kresów, o byciu wypieranym, nawet jeśli niektóre przyczółki trwały przez wiek z okładem. To opowieść o wieku XIX, wielkim, antyrosyjskim, nieprzestającym marzyć o odrodzeniu Rzeczypospolitej w przedrozbiorowych granicach, czego dowodem choćby sławetny „adres szlachty podolskiej" z 1 października 1862 r., w którym marszałkowie powiatowi (wśród nich Walery Mańkowski w uprzejmych słowach postulowali ni mniej, ni więcej, jak włączenie guberni, które reprezentowali, w obręb administracyjny Królestwa Polskiego, za co czekał ich rok w Twierdzy Pietropawłowskiej).

Ale skoro tak, trzeba by w takim razie czytać tę kronikę z dwiema co najmniej lekturami uzupełniającymi w ręku, z „Pożogą" Zofii Kossak (a pewnie i z „Dziejami rezydencji..." Romana Aftanazego), lecz i z trylogią Daniela Beauvais o relacjach w trójkącie

Orły carskie z rosyjskich papierów stemplowych






eprasa.pl f264cc2d81

ziemiaństwo polskie–władze carskie–miejscowy (ruski) lud. Bo nie da się ukryć, że z władzami zaborczymi ostatecznie się ułożono w imię trwania ładu ziemskiego i własnej dziedziny, że ściągano Kozaków do wsi w dniach niepokojów społecznych w roku 1905, a 12 lat później na próżno wyglądano podobnych posiłków, nie rozumiejąc, że dawny ład ostatecznie się skończył. „Większość mieszkańców dworów, uwięziona w swym pojmowaniu stosunków społecznych jako z natury patriarchalnych, przejawiała zadziwiającą zdolność zapominania o najostrzejszych przejawach konfliktu" – podsumowuje tamten czas na Podolu jeden ze współczesnych historyków ziemiaństwa.

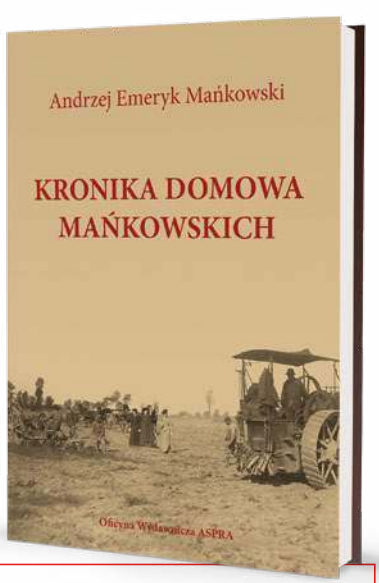
A można i ostrzej, można czytać „Kronikę..." i z „Płomieniami" Stanisława Brzozowskiego w ręku – gdzieś, w tyle głowy, mając i „Ferdydurke", i antyziemiańskie parodie Magdaleny Samozwaniec, i publicystykę wszystkich PPS-owców, sumiastowąsych posłów chłopskich, Ossowieckich. Bo rzeczywiście ten zapis półtora wieku na Kresach może irytować, i to na dwóch poziomach: mniejsza już, że ziemiaństwo okazuje się nieprzystawalne do nowych wyzwań niezależnie od tego, ile założyłoby cukrowni, ile położyło „rels" (powracają te rosyjskie „relsy" we wszystkich bodaj cytowanych listach) – dostawczych wąskotorówek – i najęło do swoich wsi felczerów, by strzygli kołtuny, rwali zęby i odbierali porody. Nowoczesność, kapitalizm, samostanowienie narodów nadchodziło i żadne najmowanie agronomów, żadne podsypywanie buraków saletrą nic nie mogło zdziałać na czas, który nadchodził, było jak odkurzanie miotełką z piór wulkanicznego pyłu, co rano grubszą warstwą osiadającego na klombie.

Prędzej już jednak można by im darować to niezrozumienie skali przemian, to „melioryzowanie" połowiczne i poczciwe, bo w końcu nikt nie potrafi sobie wyobrazić końca swojej epoki i skali nadchodzących przemian, socyaliści nie byli bardziej przewidujący niż „mamelucy" zorientowani na Petersburg czy Wiedeń. Co może budzić szczery gniew, ba, pasję, którą Brzozowski przelał na strony „Płomieni" (i nigdy, przy wszystkich swych zwrotach, jej nie odwołał), to uderzające samozadowolenie tej warstwy, samozadowolenie na krawędzi samozachwytu – i celebrowanie swego stylu życia, rozkoszowanie się nim, wieczna przechadzka niczym u brzegu gigantycznego lustra biegnącego przez gazon, staw, park, aż hen, do jaru.

> Można czytać „Kronikę..." i z „Płomieniami" Stanisława Brzozowskiego w ręku – w tyle głowy mając i „Ferdydurke", i antyziemiańskie parodie Magdaleny Samozwaniec

Z pokolenia na pokolenie panienki jeżdżą stępa, noszą przydomki „Wisienka" lub „Maga" i „jaśnieją niezwykłym blaskiem swej urody", dobrodziej odprawia uroczystą mszę z okazji diamentowych godów, z Paryża sprowadza się dagerotypy, na drzeworytach sztorcowych widnieją fasady pałacyku myśliwskiego w manierze neoklasycznej czy secesyjnej, po polowaniu wylicza się starannie „57 zajęcy i jednego lisa", fotografuje się w siodle i przegląda roczniki ilustrowane. Żadnego niezadowolenia, dyskomfortu bodaj, że życie płynie tak sielsko, co najwyżej w obawie nieurodzaju, żadnej zmarszczki – a jeśli, to skrzętnie wymazane z kronik. Wspomniany marszałek Walery przez półtora roku słał żonie, Tekli z Łaźnińskich, listy z Twierdzy Pietropawłowskiej – co dzień bez mała, i choć, jak sam nieraz wyznaje: „Już nie miałem pisać do ciebie, bo rzeczywiście nie mam ci co donieść", donosi niezmordowanie: że sezon na bale, że kuranty zbyt głośno biją, że udała się partyjka w loteryjkę lub domino, że Kronsztad z wieży widać, ale niewyraźnie, że można by w areszcie kury zaprowadzić, bo świeże jaja są tu rzeczą nadzwyczaj rzadką... Za oknem Petersburg, w Kongresówce kona powstanie, w Paryżu knuty z jedwabiu, przemysł, socjalizmy – ale pan Walenty troszczy się jeno o to, by przez Dannenbergową przesłać żonie mantylę! – nigdy chyba gniew Michała Kaniowskiego nie rezonował we mnie tak silnie.

Niesłusznie, a przynajmniej – niepotrzebnie. Wszystko to już czarnoziem, zaorany, przesiany. Przeszło 700 zgromadzonych zdjęć i reprodukcji, grubo licząc – cztery tysiące cytatów z kazań, korespondencji, kronik, epigramów, za pomocą których opowiedziane są dzieje dwudziestu kilku osób – wszystko to zebrane w ramifikacjach i odnogach drzewa genealogicznego tworzy nową jakość, inną niż prosty, bodaj i szczegółowy „szkic biograficzny" ograniczany zdrowym rozsądkiem, wymogami redakcji, formatem noty. Każdy z dagerotypów i wypisów, potraktowany osobno, miałby status mikroźródła, nużącego nieco przypisu objaśniającego nam przebieg zaślubin, pożaru, kontraktu. Zestawione razem są trochę jak wypisy z papierów rodzinnych w „Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada" Miłosza: błyski „momentu wiecznego", znaki istnienia.




Andrzej Emeryk Mańkowski, „Kronika domowa Mańkowskich", Oficyna Wydawnicza Aspra



eprasa.pl f264cc2d81



*Przemysław Skrzydelski*

# Mróz

W spektaklu Grzegorza Wiśniewskiego nienawiść pożera, wykoślawia wszystkich. To „Plac Bohaterów" tak samo ostry jak u Krystiana Lupy, choć w inny sposób.

Wiśniewski decydując się ten dramat Bernharda, zadekretował swą niezależność w naszym teatrze. Nie minęły przecież trzy lata, jak Lupa pokazał ten tytuł w Litewskim Narodowym Teatrze. O przedstawieniu szybko zrobiło się głośno, kilka razy gościliśmy je w Polsce, „Plac..." wraz z wrocławską „Wycinką" okazały się dla Lupy powrotem zarówno do austriackiego pisarza, jak i – co istotniejsze – do wspaniałego teatru.

Tymczasem w łódzkim Jaraczu Wiśniewski stawia nam wymagania inne. Ten jeden z najtrudniejszych dramatów Bernharda, rozliczeniowy wobec austriackiego społeczeństwa unurzanego w nazizmie, reżyser zamienia w sterylne laboratorium, w którym przyglądamy się członkom rodziny Szusterów niczym obiektom medycznego badania. Realizm zostaje tu niemal wyrugowany, przestrzeń zawężona, słowa przecedzone. Dla Wiśniewskiego liczą się przerysowane postaci, jak z koszmaru, i wyraźne znaki sceniczne, np. dziura pośrodku podłogi w salonie, która przypomina, że wielki nieobecny prof. Józef Szuster popełnił samobójstwo, skacząc z okna. A to przecież o nim cały czas mowa, o jego niezgodzie na świat. O jego osobowości opowiada fenomenalna Barbara Marszałek jako gospodyni Zittel.




Thomas Bernhard, „Plac Bohaterów", reż. Grzegorz Wiśniewski, Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi (Duża scena), premiera: 17 grudnia 2017

Gdy zaś na scenie pojawia się jego brat, Robert grany przez Bronisława Wrocławskiego, historia zyskuje kolejny początek. Dowiadujemy się, dlaczego Józef odebrał sobie życie i dlaczego Robert nie potrafi tego zrobić, mimo że sam jest żywym trupem – Wrocławski chodzi o lasce, ubrany w ekstrawagancki czarny płaszcz, pod którym można dostrzec gorset ortopedyczny. Właściwie wszyscy są tu martwi i pożerani przez nienawiść do świata, jakoś usprawiedliwioną, choć u Bernharda ta nienawiść odradza się w każdym zdaniu na nowo, coraz mocniej, wydaje się nawet zbyt deklaratywna. Nieco to przeszkadza Wrocławskiemu, ale i tak wybitny aktor trafia z przekazem perfekcyjnie. Szkoda jednak, że trzecia scena dramatu została tak skrócona (i nie ma tu kilku postaci), lecz może w tak potężnej dawce frazy Bernharda byłyby już nie do zniesienia?

Wiśniewski zmienia również zakończenie, sugerując, że przed śmiercią nie ma tu ucieczki. Przed tym zimnym spektaklem też nie ma ucieczki. Wraca, męczy, kłuje – jak sopel nagle przyłożony gdzieś z tyłu głowy.

# Sekret sonetów



*Adam Ciesielski*

Szekspir inspiruje od wieków. Jego sonety z muzyką polskich i brytyjskich kompozytorów współczesnych wydał rewelacyjny sekstet wokalny ProMODERN.

Strofy poezji miłosnej Williama Szekspira po polsku (1995) i po angielsku (1999) z własną muzyką nagrał Stanisław Soyka. W 2004 r. wyszła płyta Elżbiety Wojnowskiej z tłumaczeniami w kompozytorskiej i wykonawczej oprawie Włodka Pawlika. W 2013 r. wydaniu przekładów Stanisława Barańczaka towarzyszył kompakt, na którym 46 wybranych spośród 154 sonetów zostawionych przez mistrza ze Stratfordu czytał Marek Kondrat, a całości dopełniała muzyka Grzegorza Turnaua.

Do tych realizacji można dołączyć kolejną: album „Shakespired" zespołu ProMODERN. To sekstet zdolny wykonywać najbardziej wymagający repertuar współczesny. Grupa działa od 2012 r. W roku 2015 jej debiutancki krążek „Where Are You. Pieces from Warsaw" zdobył dwa Fryderyki i świetne recenzje, także za granicą. Najnowszy projekt wróży kolejne trofea.




ProMODERN, „Shakespired", wyd. Warner

Wykonawcy śpiewający w języku oryginału zaprosili do współpracy polskich kompozytorów – od Krzesimira Dębskiego, Krzysztofa Herdzina, Pawła Łukaszewskiego, Tomasza Opałki, Włodka Pawlika, po przedstawicieli młodszego pokolenia. Do tego doszła propozycja Brytyjczyka Philipa Lawsona, wokalisty i kompozytora, laureata Grammy. Zróżnicowany krąg twórców złożył się na kalejdoskop interpretacji. Odcienie uczuć ukrytych między wierszami Szekspira oddają zarówno utwory w duchu renesansu, jak i pieśni, piosenki, poematy dźwiękowe, harmonie bliskie jazzowi oraz ujęcia awangardowe. Co sonet, to nowe, zaskakujące odkrycie.



43/1217/F

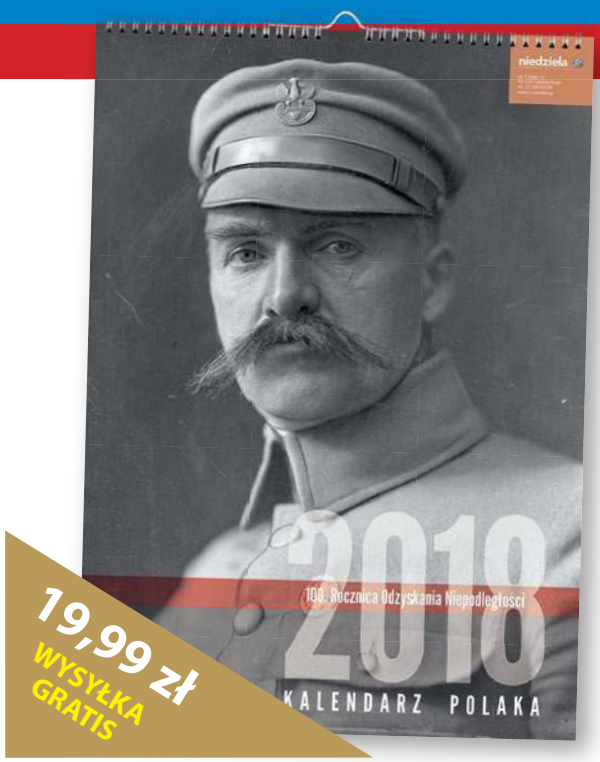
eprasa.pl f264cc2d81

# TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

## KALENDARZ POLAKA 2018

# ŚWIĘTUJMY 100. ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

W 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości oddajemy do rąk Czytelników kalendarz ukazujący ostatni etap trudnej drogi naszych przodków do upragnionej wolnej Ojczyzny. Początkowe 4 karty naszego kalendarza dotyczą akcji I Kompanii Kadrowej po wybuchu I wojny światowej w 1914 r., Legionów Polskich oraz Armii Polskiej we Francji, zwanej Błękitną, a kolejne idą po śladach wydarzeń roku jubileuszu – 1918 – od 1 stycznia aż po koniec grudnia. Dla większości Polaków to wydarzenia raczej słabo znane, zatem lepszej okazji do ich poznania niż 100. rocznica już nie będzie. Przedstawione w kalendarzu fakty z historii są, rzecz jasna, tylko krótkim przypomnieniem najważniejszych zdarzeń bezpośrednio poprzedzających odzyskanie przez Polskę niepodległości. W walkę o wolność Rzeczypospolitej było zaangażowanych wielu Polaków.
W pokoleniu, które wywalczyło niepodległość, kluczową rolę odegrali Józef Piłsudski – spadkobierca tradycji insurekcyjnej oraz Roman Dmowski – lider Narodowej Demokracji. W 1918 r. Piłsudski i Dmowski zjednoczyli siły, aby wskrzesić Polskę na gruzach zaborczych monarchii. **S. B.**




19,99 zł
WYSYŁKA GRATIS

Kalendarz Polaka może stanowić cenną pomoc dla nauczycieli czy animatorów kultury w kraju i na emigracji – jako podpowiedź doboru treści na akademie rocznicowe z okazji 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Treść kalendarza to autorska synteza drogi do niepodległości w 1918 r.

## KALENDARZ KATOLIKA PATRIOTY 2018




20 zł
WYSYŁKA GRATIS

**| 40 lat od wyboru św. Jana Pawła II na Stolicę Piotrową |**
**50 lat od śmierci św. Ojca Pio |**
**100. rocznica odzyskania Niepodległości |**

Kalendarz katolika patrioty to nie tylko codzienne odniesienie do liturgii, świętych i błogosławionych. To również – a może przede wszystkim – zapoznanie się z najważniejszymi faktami m.in. z okresu 20-lecia międzywojennego z racji 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, odświeżenie wydarzeń związanych ze św. Janem Pawłem II (40 lat od powołania go na Stolicę Piotrową) oraz ze św. Ojcem Pio (50 lat od jego śmierci). Znajdą w nim Państwo także dużo dobrego humoru, wiele ciekawostek oraz polskie przepisy kulinarne. Życzymy udanego Roku Pańskiego 2018 – koniecznie z tym kalendarzem.

**J. M.**

**W KOMPLECIE Z KALENDARZEM:**



Włodzimierz Rędzioch
„Święty Jan Paweł II Droga na ołtarze”

„Santo subito” – film DVD






Obrazek koronacyjny z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej

**Zamówienia: Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”, ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa**
**www.ksiegarnia.niedziela.pl**
telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52,** pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

eprasa.pl f264cc2d81

# Baśń o ludzkiej naturze

*„Syn Królowej Śniegu" to bez wątpienia jedna z ważniejszych kinowych produkcji ubiegłego roku. Trudna i wymagająca opowieść odkrywająca przed widzem najczarniejsze zakamarki ludzkiej duszy. Choć z pozoru film może się jawić jako współczesna baśń, tak naprawdę jest świadectwem naszych czasów, poruszającym kwestie społeczne i problemy pogrążonego w hedonizmie świata*

Film w reżyserii Roberta Wichrowskiego może budzić skrajne emocje. Z jednej strony nawiązuje do poważnych problemów, z którymi boryka się nasze społeczeństwo, z drugiej szokuje brutalnością otaczającej nas rzeczywistości i bezduszności współczesnego człowieka.

Akcja „Syna Królowej Śniegu" rozgrywa się w dwóch równoległych światach. Pierwszym jest świat baśni Hansa Christiana Andersena, w który wprowadza młodego bohatera, kilkuletniego Marcina, emerytowany pisarz grany przez legendę polskiego kina, Franciszka Pieczkę. W jego towarzyszkę życia wciela się natomiast Anna Seniuk, którą od lat podziwiamy na polskiej scenie teatralnej i filmowej. Świat baśni zderza się z brutalną szarą rzeczywistością małomiasteczkowego życia, pełnego ubóstwa i niezrealizowanych marzeń, w którym brak prawdziwych uczuć, takich jak rodzicielska miłość czy empatia.

Uosobieniem tego małomiasteczkowego, wyzutego z pozytywnych emocji życia jest matka młodego bohatera – Anna. W tej roli widzimy Michalinę Olszańską znaną z filmu „Miasto 44" czy serialu „Barwy szczęścia". Aktorka doskonale przedstawiła postać wyrodnej matki, która na pierwszym miejscu w życiu stawia przede wszystkim własną przyjemność, a w pogoni za własną satysfakcją odtrąca względy kochających ją osób i zaniedbuje dorastającego, chorego synka – owoc „zakazanego seksu". Pozytywną postacią w życiu rodziny wydaje się Kamil (Rafał Fudalej) zabiegający o uwagę filmowej Ani, która bardziej niż z nim i synem woli spędzać czas w nocnych klubach. To właśnie Kamil daje nadzieję na chwile normalności w ich życiu. Obok czasu spędzanego w bajkowym ogrodzie emerytowanego pisarza to właśnie chwile z Kamilem zapewniają chłopcu namiastkę życia rodzinnego. Czy młodemu mężczyźnie uda się więc zdobyć serce królowej śniegu i dać chłopcu rodzicielską miłość, której nigdy nie zaznał? A jeżeli tak, to czy czeka nas typowy dla baśni happy end?

To właśnie ów baśniowy charakter opowieści sprawia, że do końca pozostaje ona nieoczywista i zaskakująca. Istotną rolę w życiu chłopca odgrywa bowiem postać grana przez Pieczkę. Mimo różnicy wieku, jaka dzieli pisarza i małego Marcina, łączy ich wiele – nie tylko zamiłowanie do baśni, lecz i „wspólny mianownik dusz, jeżeli chodzi o wrażliwość na otaczający świat", jak to określił sam Franciszek Pieczka. Wspólne momenty bohaterów, które zarówno rozpoczynają, jak i kończą film, zamykają przedstawiony świat w konwencji onirycznej, zawieszając go pomiędzy smutną rzeczywistością a kolorową krainą baśni, w którą obaj uciekają.

Obok wspaniałej narracji, zdjęć i montażu ogromną rolę w filmie Wichrowskiego odgrywa muzyka, która potęguje emocje widza, rekompensując w ten sposób celowo szorstką i naturalistyczną grę aktorską. Jej twórca Piotr Mikołajczak umiejętnie żongluje nastrojami, prowadząc widza między scenami.

Uważny widz zauważy pewne, zdawałoby się, logiczne niedociągnięcia w obrazie rzeczywistości przedstawionej w filmie, zarzucając nieprzystosowanie do polskich realiów. To jednak zabieg celowy, pokazujący uniwersalizm opowieści. Historia, która na ekranie dzieje się w małej wielkopolskiej miejscowości i w Poznaniu, mogłaby – niestety – rozegrać się w każdym innym mieście w Polsce czy w Europie. Scenariusz, choć przecież wymyślony, wyraźnie czerpie inspiracje z historii, które się wydarzyły. I nie chodzi może o ich dosłowność, lecz o pewną społeczną nadbudowę.

Akcja przez większą część filmu toczy się powoli. Tempa nabiera w zasadzie dopiero pod koniec, kiedy świat baśni i teatru miesza się zupełnie z rzeczywistością. Nagły zwrot akcji może zaskoczyć niejednego widza, wywołując łzy wzruszenia czy delikatne ciarki emocji, po które przecież przychodzimy do kina. Pewne jest jedno, niezależnie od tego, czy obraz nam się spodoba, czy nie: nie pozostaniemy na niego obojętni. Nie dziwi to, że patronat nad filmem objęła i jego mecenasem została Kasa Stefczyka – organizacja, która od lat łączy misję uwrażliwiania społecznego Polaków z realną pomocą wszystkim potrzebującym. „Stefczyk" wie, że czasami lepsza od lekarstw jest profilaktyka, a „Syn Królowej Śniegu" to solidna szczepionka na wirusa znieczulicy.




***Kajetan Kutnowski***



eprasa.pl f264cc2d81

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

# Kalafiory Gombrowicza

To pierwszy od dawna spektakl Teatru Telewizji pochwalony przez „Gazetę Wyborczą". Dowodząca, że TVP stawia na historyczną i estetyczną linię PiS, „GW" musiała się tym razem życzliwie pochylić nad „Biesiadą u hrabiny Kotłubaj", adaptacją przedwojennego opowiadania Witolda Gombrowicza.

Dlaczego musiała? W recenzji Remigiusza Grzeli Gombrowicz jest zachwalany jako ktoś, kto trafnie pokazuje Polaków. „Aktualne?" – pyta apodyktycznie recenzent. Wszak Janusz Palikot zrobił z tego pisarza patrona swojej dzisiejszej walki z tradycyjną polskością. W ujęciu jego i „Wyborczej" to ktoś w rodzaju wieszcza. Choć sam wyśmiewał bezlitośnie taki stosunek do czyjejkolwiek twórczości.

W kurczowym trzymaniu się tej domniemanej aktualności apologeci nie wychwytują nawet paradoksów tego widowiska. „Biesiada" to typowy dla ówczesnej jego twórczości okrutny bibelot. Przypowiastka o tym, jak można wyrażać swój status poprzez jedzenie. Trójka starych arystokratów demonstruje ten swój status przed człowiekiem z niższym warstw (porte parole autora) podczas „postnej" kolacji, pełnej pochłanianych orgiastycznie kalafiorów.

Ta przypowieść z jednej strony portretuje arystokrację. Z drugiej podejmuje tematykę, która wisiała nad całą twórczością Gombrowicza: twarzy i masek. Remigiusz Grzela jest zachwycony, że oto polska arystokracja licytuje się opowieściami o wyjątkowości i geniuszu Polaków. I tylko mnie coś nie pasuje, bo arystokraci byli zawsze najbardziej kosmopolityczni, zerkający na świat bardziej niż inne warstwy.

Rzecz w tym, że Jan Bończa-Szabłowski w skądinąd zgrabnej adaptacji połączył „Biesiadę" z kawałkami innych utworów Gombrowicza. Na przykład z „Pamiętnikiem Stefana Czarneckiego", w którym jest portretowany całkiem odmienny typ bohatera. To stamtąd pochodzi także końcowy monolog kucharza Filipa. O geniuszu Polaków nie rozprawiali goście u hrabiny. Może to wymieszanie wszystkiego ze wszystkim nie razi. Ale warte jest wychwycenia zamiast mechanicznych zachwytów.

Z „Biesiady" są za to paradoksy klasowego społeczeństwa. Arystokraci tańczą tango do muzyki Jerzego Satanowskiego, podczas gdy ośmioletni syn parobka umiera przed pałacem. Ale w internecie spotkałem się z głosami, że to widowisko nieprzystające do naszych problemów, dziś puste.

Nie zgadzam się z tak doraźnym nastawieniem. Ale też przestrzegam przed używaniem Gombrowicza jako tarana dla współczesnych tez, takich czy innych. Wierzę, że dyrektor Mateusz Matyszkowicz i szefowa Teatru TV Ewa Millies-Lacroix zafundowali nam „Biesiadę", bo warto się namyślać – nad przeszłością, nad ludzką naturą. Zafundowali też debatę o samym Gombrowiczu prowadzoną przez Krzysztofa Kłopotowskiego i Jakuba Moroza. Prof. Dariusz Gawin i reżyser „Biesiady" Robert Gliński próbowali nam objaśnić, co jest u tego pisarza niedoraźne.

Oczywiście teatralny wymiar tej „prawie makabreski" to oddzielny smak zdarzenia. Zobaczyć 90-letnią Barbarę Krafftównę, 80-letniego Bohdana Łazukę i 79-letnią Annę Polony razem to wielka okazja poznania dawnego aktorstwa. Krafftówny z jej niekonwencjonalną urodą i głosem nie przyjęłaby chyba dzisiejsza Akademia Teatralna. A to ona przybliżała Polakom dzięki tym swoim warunkom „teatr niedosłowny", także Gombrowiczowski. Ja zaś się dodatkowo cieszę, że „młodzi" Piotr Adamczyk i Grzegorz Małecki umieli się tak świetnie do tamtego dawnego aktorstwa dostroić.



Fot. Jan Bogacz TVP

***Piotr Zaremba***

# Raport Kornata

**Wojciech Stanisławski**

*Ironia pobrzmiewająca we frazie-pytaniu Jana Krzysztofa Kelusa „Kto naprawdę wygrał w końcu tę ostatnią wojnę?" nie zwietrzała niestety ani trochę. Nie dość, że wojny nie wygraliśmy, to prawda o wymiarach polskiej tragedii lat 1939–1945 pozostaje powszechnie zapoznana*

Książkę wydaną jesienią przez Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami można czytać jako raport otwarcia tej instytucji, pokazujący, jak wygląda pamięć o II wojnie (jej przyczynach, przebiegu, skutkach i ofiarach) w Polsce i za granicą i na ile możemy (czy możemy?) ją zmienić. Zestawienie nowych interpretacji obecnych w niemieckiej, rosyjskiej i „zachodniej" refleksji nad II wojną światową, dokonane w otwierającym publikację eseju prof. Marka Kornata, podnosi dyskusję o ładnych kilka poziomów nad zwyczajowe, nużące lamenty i połajanki publicystów, a to skarżących się, że w opracowaniach wydawanych na Zachodzie coraz częściej pojawiają się „naziści" miast „Niemców", a to skwapliwie wyliczających, że w Polsce „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata" jest kilkaset razy więcej niż w całej Skandynawii, więc po co w ogóle podnosić sprawę jakiegoś Jedwabnego...

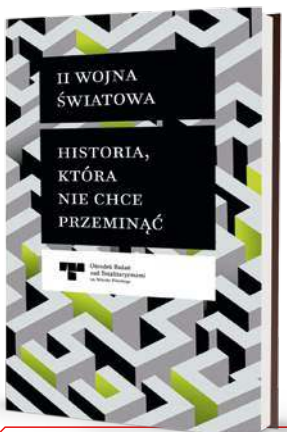
Proszę mnie dobrze zrozumieć: zarówno problem „podstawiania nazistów za Niemców", jak i ustawiania narracji o polskich zasługach i winach w taki sposób, że akty szmalcownictwa dominują opowieść o wojnie na ziemiach polskich, a przy okazji przesłaniają istnienie Sprawiedliwych, jest arcypoważny – i o nim w poważnej części traktuje omawiana książka. Problem w tym, że nazbyt często kwestie te są omawiane tonem dubeltowo emocjonalnym, zarazem triumfalistycznym i drgającym od poczucia niezawinionej krzywdy: oto megalomania w czystej postaci.



Na tle podobnych skarg zwięzły „raport Kornata" (nie wątpię, że tytułowy szkic z czasem określany będzie właśnie w ten sposób), w którego ramach zostały omówione zarówno dokonania ściśle naukowe, jak i wypowiedzi oraz inicjatywy, skłaniające się na „politykę historyczną" państw ościennych i Warszawy, imponuje dyscypliną. Przekonanie o Polsce jako „kraju bez Quislingów, Petaine'ów" – często ucukrowane, sprowadzone do ogniskowej śpiewki i jako takie skutecznie podważane przez entuzjastów „myślenia krytycznego", antybohaterszczyzny lub pospolitej przekory, pozostało w tym tytule Ośrodka obronione – ale za sprawą tytanicznej pracy, której wymagała metahistoryczna refleksja nad setkami monografii, podręczników i przemówień opublikowanych w ciągu ostatnich kilkunastu lat w Berlinie, Moskwie, Paryżu, Gdańsku – i w Warszawie.

Źle wyglądają sprawy w Niemczech, gdzie co najmniej od czasu przemówienia prezydenta Richarda von Weizsäckera z 1985 r. trwa przesuwanie odpowiedzialności za wybuch II wojny światowej z narodu niemieckiego na „grupę zbrodniarzy politycznych", czego dalekosiężnym skutkiem okazuje się nie tylko wspomniane wyżej sadzanie na ławie winowajców garstki

przywódców NSDAP, lecz wręcz, paradoksalne z naszego punktu widzenia, postrzeganie Niemców z połowy XX w. jako „ofiar nazistów". Niemal równie istotne okazuje się jednak podkreślanie współodpowiedzialności za Holokaust i inne zbrodnie narodów podbitych (w tym Polaków), skupienie uwagi na doświadczeniach „wysiedlonych" i innych bezspornych prywacjach, które dotknęły Niemców podczas wojny (naloty) i po jej zakończeniu, wreszcie – absolutyzacja Zagłady zacierająca pamięć o innych ofiarach.




Wojciech Kozłowski, Tomasz Stefanek, Leszek Zaborowski (red.), „II wojna światowa. Historia, która nie chce przeminąć", Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego, Warszawa 2017

Nie lepiej się dzieje w Rosji, gdzie postępuje „rusyfikacja sowieckiej przeszłości", gdzie Wielka Wojna Ojczyźniana nadal jest postrzegana jako doświadczenie integrujące i jednoznacznie pozytywne, gdzie nie tylko brak miejsca na pamięć o Katyniu czy myśl o współodpowiedzialności ZSRS za wybuch wojny, lecz i 17 września postrzegany bywa jako akt sprawiedliwego połączenia z macierzą odwiecznie rosyjskich ziem, Polska zaś ubierana jest coraz częściej w znaną z propagandy komunistycznej rolę „aliantki Hitlera", która zaborem Zaolzia przypieczętowała swą winę i wydała na siebie wyrok.

O podobnych rewelacjach słyszymy jednak nieraz. Prawdziwym chłodem wieje dopiero, gdy słyszymy o opiniach obecnych na Zachodzie, gdzie – przy oczywistym pluralizmie głosów – żywa jest niechęć do tezy o jakiejkolwiek odpowiedzialności Moskwy za wybuch II wojny. Narracja rosyjska cieszy się sympatią, w jej cieniu z kolei trwa w najlepsze przekonanie o Polsce jako państwie od wieków skłóconym ze wschodnim sąsiadem. „Z tą Polską zawsze są kłopoty" – nie apokryficzne, jak można by sądzić, lecz całkiem realne westchnienie Roosevelta z Jałty nadal odbija się echem, w najlepsze utrzymują się pretensje do Warszawy, która nie zgodziła się na zawiązanie wielkiej koalicji antyhitlerowskiej i przemarsz Armii Czerwonej przez swoje terytorium, w tle zaś trwa w najlepsze niechęć do II RP. „A ten ich cały Konopniki / to pewnie jest watażka dziki, / tak jak Pilsuki, co zdradziecko / zaatakował powstający / Kraj Rad, młodziutki, prawie dziecko!" – jak parafrazował ten splot ignorancji i salonowego radykalizmu Janusz Szpotański w niezapomnianym poemacie.

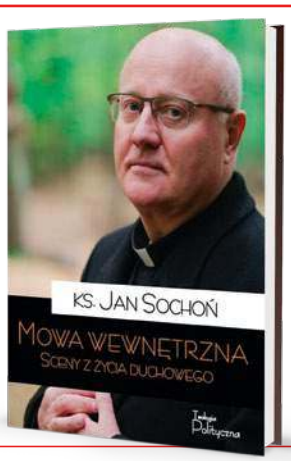
Lektura „raportu Kornata" uświadamia, jak groźną nieodpowiedzialnością, trochę na kształt uwielbianego przez pacyfistów „jednostronnego rozbrojenia", bywa do dziś nierzadkie negowanie potrzeby prowadzenia przez państwo „polityki historycznej". Zarazem za sprawą szczególnej symetrii, wrażliwsza część odbiorców „Historii, która nie chce przeminąć" posmakuje odczucia, które było dane pod koniec lat 30. kilku politykom, strategom i „katastrofistom" w Warszawie i w Wilnie, od Walerego Sławka po Mariana Zdziechowskiego i Władysława Sebyłę: nikt nam nie pomoże, jesteśmy sami, sami.

# Notes metafizyczny

Od lat czytamy wiersze ks. Sochonia, jego szkice teologiczne i uwagi o Heideggerze, ale zbiorek „Mowa wewnętrzna" jest czymś szczególnym. Może dlatego, że jest tak bardzo niewymuszony? Nie da się go zaliczyć do żadnej z kategorii, którym przydzielono osobną półkę w księgarniach katolickich: nie jest to zbiór pobożnych refleksji, budujących zapisków z podróży, kazań, wspomnień o ludziach czy bodaj recenzji. Wszystko w tym tomiku przydarza się niejako mimochodem: poszukiwanie Boga, obrazek z PRL-owskiej jeszcze przeszłości, wspomnienie o bliskim zmarłym.

Wydaje się, jakby poecie i filozofowi udało się po latach zdobyć na lekkość, którą w podstawowym wymiarze zna każdy, kto opanował sztukę prowadzenia samochodu czy jazdy na nartach. Siedząc przed telewizorem, podziwiamy podobną dezynwolturę u wirtuozów łyżwiarstwa wyczynowego. Teraz zaś mamy okazję jej doświadczyć, siedząc sam na sam ze zbiorkiem, którego autor nie usiłuje nam niczego udowodnić, niczym zabłysnąć.

W XX-wiecznej literaturze wiele podejmowano prób pochwycenia monologu wewnętrznego, tej gry skojarzeń, przeskoków, olśnień i nawracających motywów. Owszem, zawdzięczamy tym wysiłkom „Ulissesa" – lecz i dziesiątki dzieł niewydarzonych. „Mowa wewnętrzna" to zapis myśli uporządkowany tylko na tyle, by nie osypały się w nieczytelny dla innych zbiór zdań; nie byłbym zaskoczony, gdyby okazało się, że powstawał w trzymanym przy łóżku notesie. Te wrażenia i refleksje są uporządkowane nie dzięki redaktorskim komentarzom, lecz na mocy wewnętrznej polaryzacji: trochę tak, jak się dzieje z opiłkami układającymi się za sprawą potężnego magnesu.




Ks. Jan Sochoń, „Mowa wewnętrzna. Sceny z życia duchowego", Teologia Polityczna 2017



eprasa.pl f264cc2d81





# Bulgocząca magma

Kino

„Atak paniki" był wielkim przegranym ostatniego festiwalu w Gdyni. Debiutant Paweł Maślona zasłużył na nagrodę dla najlepszego reżysera. Jego tragikomedia to brawurowo wyreżyserowana rzecz, która może być porównywana z takimi perłami jak „Magnolia" Andersona czy „Dzikie historie" Szifróna.

Maślona kontynuuje wątek poruszony w świetnej krótkometrażowej „Magmie". Na ile tłumione lęki niszczą nas od środka? Co się stanie, jeśli eksplodują z siłą Etny? Panika u Maślony bulgocze w głębi nie tylko każdego bohatera, lecz także całego społeczeństwa.

Autorka kryminałów (wzruszająca Magdalena Popławska) spotyka się na „randce" z mężem. Z wakacji w Egipcie wraca małżeństwo w średnim wieku (przezabawni Dorota Segda i Artur Żmijewski), nastolatki palą pierwszy raz w życiu ukradzioną trawkę, młoda dziewczyna (rozdygotana Aleksandra Pisula) pracuje w internetowym serwisie erotycznym, naładowana new age'em panna młoda (Julia Wyszyńska) czeka na pana młodego, uzależniony od gier komputerowych kelner (Bartłomiej Kotschedoff) natyka się na telefonicznego stalkera. Każdy bohater będzie musiał na swój sposób uporać się z paniką.

Maślona bez efekciarstwa i bardzo pewną ręką prowadzi widza do głośnego finału. Świetnie radzi sobie w grze gatunkowej, wydobywając z aktorów ich mało znane oblicza. Naładowane sytuacyjnym humorem sceny mieszają się z emocjonalnym filmem obyczajowym. Gładko przechodzą w thriller i kino socjologiczne. Maślona jest współautorem eklektycznego i zjawiskowego „Demona" Wrony. Potrafi równocześnie bawić i przerażać.

Na gorąco po seansie w Gdyni napisałem, że Maślona zagwarantował widzom szaloną jazdę bez trzymanki. „Atak paniki" jest jednak znacznie głębszy. Ostatnie słowa w filmie brzmią: „Nic już nie ma". W podobnie skonstruowanych „11 minutach" Jerzego Skolimowskiego słyszymy, że „niczego już nie naprawisz". Oba filmy kończą się eksplozją. U Skolimowskiego ma ona wymiar osobisty. U Maślony uniwersalny. To siła jego szalonej wizji.

**„ATAK PANIKI", REŻ. PAWEŁ MAŚLONA, DYSTR. AKSON**

## Mały wielki film

Zanim Piotr Domalewski podbił polskie kino „Cichą nocą", nakręcił krótkometrażowy „60 kilo niczego". Ten przejmujący moralitet dotyka tego, co było głównym motywem nagrodzonego Złotymi Lwami debiutu fabularnego. W „Cichej nocy" to Polacy byli gastarbeiterami na Zachodzie. Tutaj są pracodawcami. Domalewski opowiada o jednym dniu w odkrywkowej kopalni kruszców, w której wydarza się wypadek z udziałem nielegalnie pracującego Ukraińca. Kierownik (Grzegorz Damięcki) zostaje postawiony przed wyborem: bronić zdemoralizowanego, ale dającego mu chleb systemu czy ocalić własne człowieczeństwo. Domalewski w zaledwie pół godziny stawia fundamentalne pytania o granicę między upodleniem a moralnością, ubierając wszystko w atrakcyjne szaty kina sensacyjnego. Reżyser ma szczególny dar do prowadzenia aktorów. Tym razem mocno błyszczy Andrzej Grabowski w epizodycznej roli demonicznego dyrektora kopalni. Małe wielkie kino.




Kino

**„60 KILO NICZEGO", REŻ. PIOTR DOMALEWSKI, DYSTR. M2FILMS**



*Skala ocen:* rewelacja | dobry | pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl f264cc2d81

**Łukasz Adamski**
publicysta, krytyk filmowy



# Polski cwaniaczek


Internet

Był nominowany do Grammy. Znał Jana Pawła II. Ma zdjęcia z Wałęsą, Bushem i Trumpem. Jan Lewandowski był gwiazdą. Wylądował w więzieniu z poderżniętym gardłem. No ale w Ameryce każdy zasługuje na drugą szansę.

Taką właśnie Jan Lewan dostał. Netflix, ekranizując jego biografię z gwiazdą Jackiem Blackiem w głównej roli, przypomniał o karierze polskiego imigranta. „The Polka King" to dobrze znana opowieść o pucybucie, który dzięki cwaniactwu, bezczelności i odrobinie szczęścia wspiął się na szczyt. Potem z niego zleciał. Widzieliśmy to w kinie wiele razy. W tym filmie dotyczy to naszego rodaka. Niestety.

Jeżeli się zastanawialiście, skąd się biorą wszystkie polish jokes, dlaczego mamy stereotypowy wizerunek cwaniaka i złodzieja, ale za to również kochającego papieża Polaka, to obejrzyjcie ten tytuł. Jan Lewan jest zresztą – o zgrozo! – filmem zachwycony.

„The Polka King" przez chwilę wszedł do amerykańskiego show-biznesu. Organizował też pielgrzymki do Watykanu, paradował w polskim godle z cekinami i grywał w kasynie Donalda Trumpa. Jednocześnie zbudował piramidę finansową, dzięki której oszukał w latach 90. ponad 400 osób. Gdy pojawiał się życiowy problem, po prostu dawał łapówki.

„The Polka King" mógł być zabawną komedią o przybyszu z „najzabawniejszego komunistycznego baraku", próbującym sięgnąć po amerykański sen. Nieprawdziwy, ale znany z mitycznego wizerunku USA funkcjonującego w PRL. Sen oparty na przekonaniu, że pierwszy milion trzeba ukraść. Niestety polskość bohatera kończy się na jego „januszowatości" i silnym akcencie. Historia szwindla nie wychodzi poza banał, Black gra zaś na autopilocie znanym choćby z „Berniego" Richarda Linklatera.

Szkoda zmarnowanego potencjału. Dla Amerykanów to kolejna komedyjka z nieznanym wschodnioeuropejskim folkiem w tle, która szybko zostanie zapomniana. Może Polacy zrobiliby z biografii Lewana moralitet? Dobrze, że dziś możemy się chwalić innym Lewandowskim.

**„THE POLKA KING", REŻ. MAYA FORBES, DOSTĘPNY NA NETFLIX.COM**

## Zła CIA

DVD




American Assassin" wpisuje się w retro modę lat 90. Nie jest to jednak poziom „Niezniszczalnych". Sensu jest tutaj tyle, ile w filmach z Chuckiem Norrisem, które były oglądalne wyłącznie z powodu urokliwego infantylizmu połączonego z bezwstydnym eksploatowaniem męskiego testosteronu. Niestety ten film nie ma uroku kina z wszechmocnym Chuckiem.

Jest tutaj wiele bicia, pościgów i potu spływającego po wyprężonych muskułach. Akcja przenosi się nawet do Warszawy, gdzie terroryści handlują plutonem w żukach (sic!). Wróg oczywiście czai się nie tyle wśród Arabów (to rasizm!), ile wewnątrz CIA. Wszystkiemu i tak są winni ci źli Amerykanie. Winni są na pewno coraz bardziej żenującej poprawności politycznej, która w filmach o wojnie z islamskim terroryzmem robi wszystko, by nie obrazić islamu. Bełkotliwy obraz, któremu nie pomaga nawet ikona – Michael Keaton.

**„AMERICAN ASSASSIN", REŻ. MICHAEL CUESTA, DYSTR. MONOLITH**

***Skala ocen:*** dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie



eprasa.pl f264cc2d81



*Między 21 grudnia 2001 r. a 11 stycznia 2018 r. ideowa historia Platformy Obywatelskiej zatoczyła półkole, obracając partię w jej własne przeciwieństwo*

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl f264cc2d81

# Kolonizacja Platformy



JAN ROKITA

16 lat temu klub poselski PO, będący wtedy najwyższą władzą partyjną, uchwalił po długiej debacie Deklarację Ideową – jeden z najbardziej nieszablonowych manifestów partyjnych, jakie powstały w wolnej Polsce. Była w nim mowa o tym, że wbrew potocznemu mniemaniu możliwa jest taka polityka, w której „honor ceniony jest bardziej niż spryt". A za najważniejsze zadanie wchodzącego wtedy w XXI w. pokolenia Polaków uznawano „świadome przeniesienie w przyszłość naszej narodowej i rodzinnej tradycji". To, co do dziś zwraca szczególną uwagę w treści deklaracji, to mocno wyrażona „wspólna wiara" członków Platformy w „trwałość norm Dekalogu jako fundamentu cywilizacji zachodniej". Wiara, z której bierze się m.in. postulat ochrony życia („tak jak czyni to obowiązujące dziś w Polsce ustawodawstwo"), postawienia granic badaniom genetycznym, a także zakaz eutanazji. Według posłów PO prawdziwą misją polityki jest „ciągłe wytyczanie granic, których przekroczenie przez człowieka lub grupę ludzi wystawia całą wspólnotę na niebezpieczeństwo".

Była to (rzec by można) deklaracja roztropnej wersji liberalizmu, wedle której to polityka odpowiada za ustanawianie granic wolności. A jeśli z tej powinności polityka się nie wywiązuje, to cała wspólnota staje wobec niebezpieczeństwa anomii i rozkładu. Z perspektywy czasu można tylko zauważyć, że twórcy PO już 16 lat temu byli świadomi ryzyka, jakie dla Polski niesie lewicowa ideologia „emancypacji" z „opresyjnych" norm religii, kultury i ludzkiego wstydu.

## ROZPRAWA Z KONSERWATYSTAMI

Teraz, 11 stycznia 2018 r., niezbyt liczni politycy, którzy zachowali jeszcze tamten punkt widzenia, są za to karnie relegowani z PO. Trudno bowiem uniknąć wrażenia, że to właśnie respekt dla wizji polityki z tamtej deklaracji stał się powodem partyjnej relegacji Joanny Fabisiak, Marka Biernackiego i Jacka Tomczaka. Tak jak wszyscy członkowie obecnego klubu poselskiego PO otrzymali oni z góry dyscyplinarny nakaz głosowania przeciw projektowi zakazu tzw. aborcji eugenicznej oraz za projektem proklamującym swobodę przerywania ciąży na żądanie. To oczywiste, że taki nakaz definitywnie wywracał do góry nogami wszystko, co niegdyś zostało zawarte w ideowej deklaracji partii. Zatem w zgodzie z wyznawaną religią nie podporządkowali się mu. Skądinąd w ciągu całego 16-lecia, pomiędzy rokiem 2001 a 2018, w Platformie mocno ukształtował się obyczaj zachowywania respektu – niezależnie od aktualnych koniunktur i interesów partyjnych – dla tego typu decyzji i ich konfesyjnych motywacji. Co najwyżej z biegiem lat patrzono w PO z pewną podejrzliwością na tzw. partyjnych konserwatystów, których faktyczna odrębność, co najmniej od czasu odejścia z partii Jarosława Gowina, była coraz bardziej iluzoryczna i sprowadzała się do swoistej koncesji na głosowanie „zgodne z sumieniem" wtedy, gdy w grę wchodziła pryncypialna motywacja religijna. Teraz ta właśnie koncesja została cofnięta.

Dlaczego? Sam lider partii Grzegorz Schetyna przedstawia argumentację redukującą cały problem do kwestii taktyki partyjnej. W radiowej Trójce mówi, że w głosowaniu nad oboma projektami w żadnym razie nie chodziło o „kwestie światopoglądowe", ale o „decyzję techniczną". Za ową „technicznością" decyzji miałoby przemawiać to, że w inkryminowanym głosowaniu szło nie o ostateczne uchwalenie nowego prawa, tylko o dopuszczenie projektu feministek do dalszych debat i prac sejmowych, tak aby wyborcy podpisujący się masowo pod inicjatywami obywatelskimi nie mieli wrażenia, iż ich wola i podpisy są w parlamencie lekceważone.

Argument Schetyny byłby jednak możliwy do obrony tylko wtedy, gdyby owo motywowane szacunkiem do wyborców stanowisko partia przyjęła w przypadku obu jednocześnie głosowanych inicjatyw obywatelskich: tej za pełną swobodą aborcyjną i tej za zakazem aborcji eugenicznej. Tak właśnie zręcznie uczyniło ścisłe kierownictwo rządu i PiS, uchylając się na początkowym etapie prac parlamentarnych od jednoznacznej odpowiedzialności za podjęcie decyzji w którąkolwiek stronę. Klub PO postąpił jednak całkiem inaczej: już na samym początku prac sejmowych, w pełnej dyscyplinie rozpoczął walkę z projektem konfesyjnym. Zresztą w tym samym wywiadzie radiowym, w którym Schetyna objaśniał istotę tarapatów, w jakie partia popadła po wieczornych głosowaniach, zaprzeczył własnemu opisowi owych głosowań jako „technicznych". Mocno bowiem poparł projekt feministyczny jako „interesujący i do rozmowy", a kategorycznie odrzucił projekt konfesyjny jako „absolutnie nie do zaakceptowania".

Jak na dłoni widać więc, że w tych głosowaniach szefowi PO nie szło wcale o jakąś „kwestię techniczną", ale o mocny



264cc2d81

i wyraźny wybór ideowy, który miał zaowocować satysfakcją i poparciem dla PO w środowiskach lewicowo-feministycznych oraz sprzeciwem i konfliktem partii z konserwatystami, katolikami i episkopatem. Ten zamiar się nie powiódł i stąd złość oraz odwet szefa PO, jaki w ekspresowym trybie wziął on na trojgu kontestatorów.

## NA LEWO, MARSZ!

Tak jednoznaczne pragnienie Platformy „wkupienia się w łaski" radykalnych feministek jest zjawiskiem w tej partii nowym i wartym analizy. W ciągu wielu lat swoich rządów nad partią Donald Tusk, zgodnie z typowym dlań stylem i temperamentem, próbował politycznego flirtu z feministkami oraz „lewicą obyczajową", nigdy jednak nie popierając otwarcie ich żądań. Wymyślona przezeń strategia walki z PiS jako głównej ideologii partyjnej wymuszała zresztą pewien rodzaj „dyplomacji uśmiechów" wobec feministek, zgodnie z pragmatyczną maksymą, że wróg mojego wroga nie powinien być w żadnym razie moim wrogiem. Ale w 2013 r. ówczesny szef PO, występując na feministycznym Kongresie Kobiet, z wyjątkową otwartością i – jak mówił – „bez bicia przyznał, iż nie jest zwolennikiem liberalizacji ustawy aborcyjnej i nie będzie się w tę sprawę angażował", za co został wytupany i wybuczany przez zgromadzone aktywistki.

> Tak jednoznaczne pragnienie Platformy wkupienia się w łaski radykalnych feministek jest zjawiskiem w tej partii nowym

Tego samego roku czołowa działaczka feministyczna Agnieszka Holland publicznie nazwała PO „partią oszustów, na którą nigdy więcej nie będzie głosować", a powodem stała się co prawda nie postawa Tuska w materii przerywania ciąży, ale powiązanej z nią ideologicznie kwestii jednopłciowych małżeństw. Rok później wobec tego samego gremium Tusk starał się być trochę bardziej uległy i o wiele bardziej czarujący. Nie wskazując konkretnie żadnego ze znanych żądań feministek, zapewniał je, że są silne, „w większości spraw" (nie wiadomo których) mają rację, a w nim samym „mają sojusznika". Słuchacze tamtego wystąpienia mogli odnieść wrażenie, że PO jednak wspiera swobodę aborcyjną i małżeństwa jednopłciowe, ale to było tylko wrażenie, w żadnej mierze niepoparte deklaracjami, ani tym bardziej politycznymi czynami.

Kiedy w ostrym i przewlekłym konflikcie z Tuskiem Schetyna w końcu został jego następcą, przyjął wobec feministek i całej „obyczajowej lewicy" postawę jeszcze bardziej zdystansowaną. Miał po temu powód, i to bynajmniej nie religijny ani światopoglądowy. Na PO i jego w niej przywództwo napierał rosnący w siłę ruch uliczno-gazetowo-artystycznej opozycji, w której dominowały przemieszane hasła antypisowskie i antyreligijne. Broniąc swej politycznej suwerenności w obliczu tego naporu, Schetyna próbował wyznaczyć Platformie na powrót bardziej umiarkowany kurs ideowy. W 2016 r. w programie TVN ubolewał: „W ostatnim czasie staliśmy się dla Kościoła takim czarnym ludem". I dodawał (ku autentycznej zgrozie aktorów, redaktorów i feministek): „Musimy wrócić do rozmowy z Kościołem, to kwestia powrotu do źródeł". Po dwóch latach trudno nie odnieść wrażenia, że tamten plan swoistego pokoju Bożego pomiędzy Platformą a katolikami spalił na panewce. A tak drastycznych posunięć antyreligijnych jak wyrzucenie z partii trojga znanych posłów, przy tym cenionych w Kościele działaczy katolickich, nigdy dotąd jeszcze PO nie podjęła.

## TAKTYKA BRANIA POD PARASOL

Wygląda więc na to, że o ile Schetyna nieco okrzepł i umocnił się w walce z grożącym mu ruchem jednolitofrontowym i może w miarę bezpiecznie rozstawiać własnych ludzi jako kandydatów w wyborach samorządowych, o tyle ceną za to jest zgoda na kolonizację Platformy przez ideologię owego ruchu. Schetyna zdaje się sądzić, że bez choćby jakiego takiego przyzwolenia ze strony czarnych parasolek oraz zaciekłych w walce z religią redaktorów „Gazety Wyborczej" nie uda mu się wybić ze swoją partią na pozycję realnej alternatywy dla PiS. A z kolei, jeśli to mu się nie uda, to za sprawą Tuska i licznych swoich wrogów wewnątrz PO będzie musiał wcześniej czy później pożegnać się z przywództwem w partii. Dzisiaj nie grozi mu to, jak jeszcze rok temu, że Platforma zostanie od dołu przejęta przez jakiś KOD albo inny hybrydowy twór polityczny budowany do upowszechnienia oporu wobec rządów PiS. KOD już nie ma, a uliczna ruchawka antyrządowa powoli zaczyna dogasać. Tym samym w opozycji powraca czas na zwykłe partie, a tu Platforma znów nie ma żadnych rywali.

Problemem Schetyny jest zatem teraz zebranie pod parasolem PO wszystkich, którzy najbardziej zawzięcie zwalczają PiS, tak aby żadna istotna antypisowska inicjatywa nie pojawiła się za jego plecami, jako jakieś nowe dlań zagrożenie. Taktyka przejęcia sfrustrowanego Ryszarda Petru, który chciałby osłabić własną partię, gdyż przegrał w niej rywalizację o władzę, płynie także z takiej właśnie logiki. Ale najwyższą ceną, jaką Schetyna zaczyna płacić za ową taktykę brania pod swój parasol wszystkich wrogów PiS, będzie nieuchronne skolonizowanie PO przez obcą jej dotąd ideologię lewicowego feminizmu. W warunkach wygasających powoli namiętności wokół sądów, szkół i trybunałów paliwem dla najbardziej antypisowskich aktywistów staje się walka z „niewolą kobiet" i „nowym średniowieczem".

Po 11 stycznia 2018 r. Platforma Schetyny próbuje równać szereg i stanąć do walki także na tym froncie. Nie jest jasne, czy będzie jednak zdolna na nim wytrwać. Znacznie bardziej prawdopodobne, że – jak przepowiada jej ostatnio były prezydent Bronisław Komorowski – pogrąży się w ten sposób w wewnętrznym zamęcie.



eprasa.pl f264cc2d81

# Pusta noc

Kiedy w lutym 1995 r. zmarł mój ojciec, jego trup leżał w kostnicy z czerwonej cegły, znajdującej się przy kościele. Kwadrans przed pogrzebem jeden z braci ojca, rolnik z Kaszub, podszedł do otwartej trumny i ze łzami w oczach mocno pocałował trupa w usta. Dla mnie, stojącego obok, było to zdarzenie tyleż wstrząsające, ile naturalne, ludzkie i... dotkliwie piękne. Oto przy dźwiękach żałobnych pieśni wyśpiewywanych przez stare kobiety miłość odciskała swoją pieczęć na człowieku, który przeszedł przez bramę śmierci. W tym prostym geście łączyły się pamięć wspólnego dzieciństwa, smutek spowodowany perspektywą rozłąki i obietnica utrzymania braterskiej więzi. Stryj żegnał brata, który nie przestał istnieć, tylko wyruszył w daleką podróż.

*Żyjemy w epoce, która wyizolowała estetykę z kontekstu prawdy i dobra*

Miałem poczucie, że osoba mojego ojca wciąż będzie obecna w życiu stryja. Otoczona wspomnieniami i modlitwami będzie wpływać na jego codzienne decyzje, kształtować system wartości i rozwijać eschatologiczną wrażliwość. Ale pocałunek w kostnicy był też znakiem wiary, zapowiedzią braterskiego spotkania, do którego dojdzie w zaświatach. Łzy cieknące po surowym obliczu stryja wyrażały jedynie żal, że jego brat wyruszył do miejsca, o którym tak mało wiemy, z którego nie wysyła się listów, tylko czeka się cierpliwie na dzień ostateczny.

Czy gest stryja rzeczywiście był piękny? Scholastycy, którzy piękno, prawdę i dobro traktowali jako całość, nie mieliby co do tego wątpliwości. My żyjemy jednak w epoce, która wyizolowała estetykę z jej właściwego kontekstu. Czy pocałunek starego mężczyzny złożony na ciele trupa jest estetyczny? Oczywiście, że nie. To jeden z tych obrazów, które mogą budzić zachwyt wyłącznie ze względu na swoją egzystencjalną, moralną czy duchową głębię. Głębię, którą świadomie i metodycznie usuwamy z własnego życia.




Kilka lat po śmierci ojca opowiedziałem o zdarzeniu w kostnicy swoim znajomym. Reakcje były jednoznaczne: „Ale przecież to niehigieniczne... Trup wydziela zarazki, które mogą się rozprzestrzeniać, powodować choroby... Ten człowiek zachował się skrajnie nieodpowiedzialnie!”. Faktycznie. Biorąc pod uwagę dzisiejsze standardy, stryj postąpił skandalicznie. Zresztą nie tylko on. Cała polska tradycja pogrzebowa jest z higieną na bakier. Kto to widział, żeby myciem i ubieraniem zmarłego zajmowała się jego najbliższa rodzina? Kiedy umrze któryś z domowników, trzeba zadzwonić po fachowców. Oni już wszystko załatwią. Zabiorą ciało do chłodni i zorganizują pogrzeb. Są punktualni i dyskretni. Świadczą usługi wysokiej jakości i mają konkurencyjne ceny. Od chwili zgłoszenia zgonu nawet pies trupa nie powącha, nie mówiąc o bliskich rasy ludzkiej. No i podczas pogrzebu nikt rąk nie ubrudzi, bo specjaliści otoczą dół kordonem, żeby żadna gruda ziemi nie spadła na trumnę.

Albo obyczaj pustej nocy... Zmarły leży we własnym domu, a mieszkańcy wsi schodzą się, żeby zapalić mu gromnicę i pomodlić się o pokój jego duszy. Skandal tym większy, że część sąsiadów przyprowadza dzieci. Nie dość, że maluchy mogą się zarazić, to jeszcze muszą patrzeć na trupa, co naraża je na senne koszmary... Zwolennicy higienizmu, którzy pragną całkowicie wykluczyć z naszego życia funeralne misteria, potrafią być przekonujący. Czy jednak ich lęk przed zarazą nie jest (po)nowoczesną formą zabobonu? Choć uczestniczyłem w wielu pogrzebach, nie pamiętam ani jednego przypadku zarażenia się „morowym powietrzem”. Wiem natomiast, że rytuał pustej nocy ukazywał śmierć jako integralną część ludzkiego losu, dawał nadzieję na wieczność, uczył szacunku dla doświadczeń zmarłego, scalał przeszłość z teraźniejszością i jednoczył wspólnotę. Może byłem nietypowym dzieckiem, ale po wizycie u sąsiadów żegnających kogoś bliskiego nie miewałem koszmarów. Zamiast wampirów śnili mi się aniołowie, którzy prowadzą zmarłego na drugą stronę. W głąb tajemnicy życia.

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

***Wojciech Wencel***



eprasa.pl f264cc2d81

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

# Po nas choćby potop

Kiedy o. Ludwik Wiśniewski krzyczy na łamach „Tygodnika Powszechnego": „Oskarżam", to albo jest to przejaw publicystycznych ambicji i autopromocji, albo kryje się za tym inny powód. Przebrzmiało już słynne „J'accuse" Emila Zoli i jego pismo „L'Aurore". Ale jest za to „Tygodnik Powszechny", na wskroś liberalny, od lat wyobcowany ze społeczeństwa, w nazwie wciąż katolicki. Dla nas to pismo „szczególnej troski", a dla Jana Pawła II, począwszy od upadku systemu komunistycznego w Polsce, to było ogromne rozczarowanie, gdyż – jak pisał do red. Jerzego Turowicza: „W tym trudnym momencie Kościół w »Tygodniku...« nie znalazł wsparcia i obrony, nie czuł się dość miłowany". Tak było. „Tygodnik..." wspomagał lewicę laicką, ugrupowania liberalne i postkomunę w ich atakach na Kościół, episkopat i na papieża. I tak już im pozostało, choć bądźmy sprawiedliwi, potrafi umiejętnie dobierać wygodne cytaty ze słów papieża Franciszka.



*Przyznam, że dawno nie czytałem takich bzdur jak w artykule o. Wiśniewskiego i jest mi z tego powodu przykro*

Dziś o. Ludwik Wiśniewski na stronie tytułowej tygodnika histerycznie rozpacza i oskarża, nie tylko księży biskupów. Rozpacza, bo „umiera w Polsce chrześcijaństwo", a naszą religijność „rozsadza wrogość". Za polskie „piekło" oskarża Jarosława Kaczyńskiego, jego partię, o. dyrektora Tadeusza Rydzyka, Radio Maryja, Telewizję Trwam, „Nasz Dziennik", czyli media, które „sączą od lat truciznę". I – o zgrozo – twierdzi, że za ten „jad" odpowiedzialni są także liczni biskupi. Dodajmy – ci, którzy ośmielili się krytykować „Tygodnik Powszechny". Jak kiedyś abp Józef Michalik, który powtarzał: katolik ma obowiązek głosować na katolika, muzułmanin na muzułmanina, mason na masona itd.

Miesięcznice smoleńskie dla o. Wiśniewskiego to profanacja Kościoła („pogaństwo"). Marsz Niepodległości to przejaw nienawiści na ulicach. Modlący się na Jasnej Górze kibice to obraz nacjonalizmu i antysemityzmu. Profetycznie ostrzega: „Rządzący Polską po rozprawieniu się z instytucjami stojącymi na straży praworządności i wolności obywatelskiej będą się teraz rozprawiać ze zdrajcami i wrogami, tak aby Polska była czysta, sprawiedliwa i katolicka".

Do o. Ludwika Wiśniewskiego OP (Ordo Praedicatorum – zakon kaznodziejów) pasuje bardziej nieoficjalna nazwa tego zgromadzenia – „Ogromnie Pyszni". Dosadniej zaś o twórcach „Tygodnika Powszechnego" pisał w swoich pamiętnikach Stefan Kisielewski: „Ci idioci uważają się niemal za Książąt Kościoła".

Przyznam, że dawno nie czytałem takich bzdur jak w artykule o. Wiśniewskiego, i jest mi z tego powodu przykro. Wszak zakon kaznodziejów miał piękną historię, a poza tym to przecież część naszego Kościoła powszechnego.

Co tak rozsierdziło o. Wiśniewskiego, aby krzyczeć „Oskarżam"? Tylko jedna i jedyna rzecz – nasz, czyli większości Polaków i obecnego rządu, stosunek do uchodźców i migrantów ze świata muzułmańskiego. „Polska polityka wobec uchodźców jest haniebna" – stwierdza, bo neguje Ewangelię i całe chrześcijaństwo. Ponadto „rządzący [...] potrafili ulepić potwora, przestraszyć dwie trzecie Polaków, dobrze wiedząc, że to może przynieść wyborcze zwycięstwo". Darujmy sobie więcej tego typu kuriozalnych cytatów. Trudno jednak w tym tekście nie zauważyć nawiązania do ostatniego wystąpienia kard. Kazimierza Nycza, upominającego nas podczas niedzielnej mszy z okazji Światowego Dnia Uchodźcy, że spotkanie z uchodźcą jest okazją dla każdego chrześcijanina do spotkania z Chrystusem. A z muzułmańskim emigrantem wyposażonym w maczetę? Rok temu zaś zachęcał do przyjmowania emigrantów w ramach tzw. korytarzy humanitarnych. Słowa kard. Nycza doczekały się mocnej riposty poseł Krystyny Pawłowicz: „Proszę nas proislamsko nie agitować". Także inne słowa – abp. Stanisława Gądeckiego o tym, że „bezpieczeństwo uchodźcy jest ważniejsze niż bezpieczeństwo narodowe" – muszą głęboko zastanawiać. Skąd ten bezwzględny upór, z jakim niektórzy polscy i europejscy politycy oraz niektórzy polscy katoliccy księża chcą wymusić na Polsce przyjmowanie muzułmanów? Obraz ginącego chrześcijaństwa na zachodzie Europy nic im nie mówi. Fakty prześladowania chrześcijan przez islam także. Nie dociera do nich, że Polska udziela emigrantom pomocy na miejscu, w ich krajach. I że jest to pomoc wymierna oraz bardzo konkretna. Nic im nie mówi ordo caritatis, zasada o rozumności i ładzie chrześcijańskim w miłowaniu bliźnich. Pod obłudnym pretekstem chrześcijańskiego miłosierdzia chcą nam zgotować ten sam los, co państwom, które otworzyły się na wojowniczy islam. Po nas choćby potop?



eprasa.pl f264cc2d81

# Liberalne państwo policyjne



DARIUSZ KARŁOWICZ

Według „Le Monde" również w tym roku na ulicach Francji spłonęło ponad 1 tys. samochodów. I co? Ano nic! Sylwestrowe ekscesy stały się normą. We Francji rozruchy, w Berlinie strefa bezpieczeństwa, w Londynie nożownicy. Słowem: Europa się bawi. Przeglądałem media. Gdyby nie koszmarny film pokazujący tłuszczę znęcającą się nad policjantką w Champigny, to tegoroczny sylwester przeszedłby pewnie bez echa. Tysiąc samochodów? Cóż, sylwester jak sylwester. Czy można się dziwić, że nikt nie pisze o naruszeniu „wspólnych europejskich wartości"? Bez sarkazmu! Jak na ostatnie lata, tym razem było naprawdę nieźle. Skoro – Bogu dzięki – nikt nie wjechał w tłum, nie wybuchły bomby, skoro na placach nie doszło do zbiorowych gwałtów, a na koncertach nie strzelano z broni automatycznej, to czy można się dziwić, że w relacjach z tej dziwnej wojny domowej (tak, niestety domowej!) czytamy, że „na zachodzie bez zmian"?

A jednak zmiany są bardzo wyraźne. W tej sprawie fakty są nieubłagane. Przestępczość rośnie, a poczucie bezpieczeństwa spada. Władza, która nie gwarantuje bezpieczeństwa, abdykuje. Pytanie kto ją zastąpi?

Poważnie rozpatrywane są dwie możliwości. Przed jedną przestrzega prawica, przed drugą alarmują liberałowie i sprzymierzona z nimi lewica. Z oczu schodzi trzecia – co ciekawe, jedyna, która stanowi nie tylko możliwość, lecz staje się faktem.

Ta pierwsza to Europa w cieniu minaretu – skutek opisywanej przez Houellebecqa uległości. Perspektywę ma stanowić przyjęta w imię świętego spokoju islamizacja kontynentu pozbawionego już nie tylko woli walki, lecz i woli życia. Głęboka zmiana w obszarze kultury? Tak, ale również polityki, która nawet jeśli nie przyjęłaby formy państwa wyznaniowego, to z pewnością weszłaby w świat obcy europejskim tradycjom wolności (zwłaszcza w ich liberalno-demokratycznej formie).

Możliwość druga to Europa antymuzułmańskich radykałów, którzy wykorzystując społeczną frustrację, „wreszcie robią porządek". Obawy nie wydają się na wyrost. Odwołujący się do nagromadzonych przez lata pokładów wściekłości na państwo, które odmawia uznania bezpieczeństwa za swój cel zasadniczy, „mocni ludzie" mają dziś w ręku mocne argumenty. Trudno wątpić, że również w tym scenariuszu bezpieczeństwo oferowano by w zamian za prawa i wolności.

A scenariusz trzeci? I tu mamy do czynienia z ograniczeniem wolności w imię przywrócenia porządku. Różnica polega na tym, że zmiana dokonuje się w imię obrony liberalnych ideałów. Mówię o czymś, co można nazwać rodzajem demokratyczno-liberalnego państwa policyjnego. Chodzi o ustrój stanowiący rodzaj permanentnego stanu wyjątkowego – system, który stabilizowany jest przez zdolność wytwarzania zagrożeń uzasadniających trwanie formy na pozór tymczasowej.

Tym trzecim scenariuszem warto się zająć nie tylko dlatego, że mówi się o nim najmniej. Koncentracja na zagrożeniach terrorystycznych i rosnącej potędze antyimigranckiej prawicy sprawia, że tracimy z oczu zmiany prowadzące do wcale nie muzułmańskiego i nie prawicowego zamachu na prawa oraz wolności. Mówimy nie o prognozach, ale o faktach, które stają się rzeczywistością ustrojowych rozwiązań starej Europy.

Przykładów nie brakuje. Czym innym, jeśli nie cenzurą wprowadzoną w imię wyższej konieczności, są niemieckie regulacje dotyczące internetu? Ale skoro zaczęliśmy od Francji, to się jej trzymajmy.

W połowie zeszłego roku przestał obowiązywać wprowadzony po zamachach w 2015 r. stan wyjątkowy. Trwał długo i nie były to przelewki. W ramach wyjątkowych uprawnień urzędnicy zyskiwali bardzo szerokie możliwości: rewizje, kontrola osobista, nakładanie aresztów domowych czy zakaz zgromadzeń bez wyroku sądu. A wszystko na podstawie „podejrzenia o istniejącym zagrożeniu dla bezpieczeństwa publicznego".

Dużo mówiono o zakończeniu stanu wyjątkowego, nieco mniej o tym, że w jego miejsce parlament przyjął rozwiązania, które prawa Republiki dostosowują do realiów „ciągłego zagrożenia terrorystycznego". Pod wieloma względami Francuzi mają dziś stan wyjątkowy bez stanu wyjątkowego. Wiele uprawnień nadzwyczajnych stało się normą. I – co ciekawe – niemal wszyscy są zadowoleni. Ustawę przyjęto większością głosów. Parlament Europejski, Komisja Wenecka, obrońcy praw człowieka? Nikt nie bije na alarm. Oto prawdziwy sukces.

Jak go osiągnąć? To proste. Najpierw w imię europejskich wartości prowadzi się politykę, która skutecznie zmniejsza bezpieczeństwo, a potem w imię obrony tych wartości ogranicza możliwość korzystania z ich dobrodziejstw. Oto, co w praktyce znaczy liberalny populizm. Żeby nie stracić władzy na rzecz wrogów liberalizmu, liberałowie sami doprowadzają do likwidacji liberalnego ładu. Władza zostaje we właściwych rękach, a wszystko odbywa się za aprobatą ogółu. Czy nie przypomina się Kołakowski z jego samozatruciem społeczeństwa otwartego? Czy nie kłania się i Platon opisujący drogę od demokracji do tyranii?

Napisałem „tyranii"! Czy nie posuwam się zbyt daleko? Tymczasem z pewnością tak, co przecież wcale nie znaczy, że to rzecz niemożliwa. Gdyby się znów starej Europie przydarzyła, to za pociechę starczyć jej musi, że tym razem za twarz wzięli ją zawołani zwolennicy wolności.



eprasa.pl f264cc2d81

# Nieprzejednany

*Marian Langiewicz już za życia był legendą zrywu roku 1863. Heroizm jego oddziałów stał się natchnieniem dla walczących w pozostałej części kraju*



ARTUR JAGNIEŻA

Powiew odrodzenia narodowego, jaki płynął z Warszawy, dość szybko dotarł do województwa sandomierskiego. 29 listopada 1860 r. w kościele Bernardynów w Radomiu odbyła się pierwsza msza patriotyczna. Podobne nabożeństwa odprawiono w Kielcach oraz Jędrzejowie. Prawie rok później, 14 września 1861 r., w uroczystościach odpustowych z okazji Podwyższenia Krzyża Świętego na Świętym Krzyżu wzięło udział niemal 30 tys. ludzi, w tym 300 duchownych. Odpust był optymalnym miejscem spotkania dla lokalnych działaczy niepodległościowych oraz okazją do ustalenia planów. Rok później, w październiku 1862 r., w Radomiu utworzono struktury państwa podziemnego dla woj. sandomierskiego. Istotnym wzmocnieniem konspiracji było przyłączenie się do niej duchowieństwa, co nastąpiło 29 października 1862 r. na zjeździe w Świętomarzu. Od tego momentu rozpoczęto rozbudowę struktur podziemia w terenie.

## PLAN KONTRA REALIA

Organizacja spiskowa w woj. sandomierskim była jak na warunki przełomu 1862/1863 względnie silna. Spiskowcy mieli struktury cywilne, m.in. w Bodzentynie, Klimontowie, Szydłowcu czy Zawichoście. Mimo to decyzja o wybuchu powstania już w styczniu była dla podziemia zaskoczeniem, bo organizacja licząca w skali województwa prawie 2,5 tys. osób była nieprzygotowana do podjęcia działań, a co najważniejsze – pozbawiona broni, nie licząc ok. 200 sztuk tej myśliwskiej i kos.

Rząd powstańczy zakładał ważną rolę strategiczną dla woj. sandomierskiego. W oparciu o Galicję planowano zbudowanie podstawy operacyjnej do działań insurekcyjnych, które pozwoliłyby na przeniesienie walk do centrum kraju dzięki pomocy z zagranicy, szczególnie w zakresie doposażenia w broń. Z tego względu na tak istotny teren skierowano mającego doświadczenie wojskowe Mariana Langiewicza, człowieka odpowiednio uformowanego w domu rodzinnym, którego ojciec poległ w powstaniu listopadowym. Nowy naczelnik woj. sandomierskiego studiował we Wrocławiu, w Pradze i Berlinie, pełnił służbę w armii pruskiej, brał udział w wyprawie neapolitańskiej Garibaldiego oraz prowadził wykłady w szkole wojskowej w Genui.

Początek działań Langiewicza stał pod znakiem wymuszonej improwizacji. Sandomierski naczelnik dopiero 9 stycznia 1863 r. pojawił się w Warszawie, gdzie – jak można domniemywać – otrzymał nominację od Zygmunta Padlewskiego. Kilka dni później, 13 stycznia, był już w Radomiu. W następnych dniach zdążył zwizytować Iłżę, Kielce oraz Suchedniów. Niestety nie osiągnął porozumienia o współpracy z naczelnikiem woj. krakowskiego Apolinarym Kurowskim, który będąc oddanym sprawie narodowej, okazał się wojskowym ignorantem o rozbudzonym ego. Co istotne natomiast, Langiewicz od początku był wspierany przez naczelnika organizacji cywilnej województwa, ks. Kacpra Kotkowskiego. Wizytacja pozwoliła naczelnikowi ocenić możliwości podległych mu sił. Trzeba wiedzieć, że naprzeciw organizacji spiskowej w obszarze województwa stały rosyjskie wojska liczące prawie 12 tys. żołnierzy, wspieranych przez cztery baterie artylerii. Siły te były rozmieszczone w 20 garnizonach, z których dwa największe, tj. Kielce i Radom, miały dla kontroli regionu znaczenie fundamentalne.

Znając swoje ograniczenia, strona powstańcza postanowiła uderzyć na małe garnizony, licząc na zaskoczenie Rosjan. Powstanie w woj. sandomierskim zaczęło się już w południe 22 stycznia, kiedy partia pod dowództwem Aleksandra i Jana Dawidowiczów napadła na kasę górniczą w Suchedniowie, zabierając 30 tys. rubli. W nocy 23 stycznia 1863 r. zaatakowano z powodzeniem garnizony rosyjskie w Bodzentynie oraz Jedlnej. Najważniejszy atak poprowadził Marian Langiewicz na Szydłowiec, ale odniósł połowiczny sukces, gdyż po nagłym uderzeniu przegonił garnizon rosyjski z miasta, aby nad ranem dać się zaskoczyć i wypchnąć z Szydłowca w wyniku kontrataku rosyjskiego. Chrzest wojenny można więc było uznać za remis.

Mimo to partia Langiewicza okrzepła, kierując się do Wąchocka, gdzie kontynuowano działania mające na celu propagowanie idei insurekcji wśród mieszkańców województwa; rozpoczęto budowę uporządkowanych struktur, wykuwano kosy dla nieuzbrojonej piechoty oraz sklecono baterię artylerii złożoną z pięciu armat. W tej materii nasz dowódca miał okazję współpracować z jednym z najlepszych wodzów pierwszego okresu walk, jakim był



eprasa.pl f264cc2d81

twardy partyzant Dionizy Czachowski. Stronie powstańczej sprzyjało też to, że Rosjanie w obawie przed kolejnymi atakami na małe garnizony opuścili je, dając spiskowcom niezbędną przestrzeń.

## TRUDNE ROZGRYWKI

Spokój nie trwał jednak długo, bo Warszawa żądała od lokalnych dowódców rosyjskich dowodzących garnizonami w Radomiu i Kielcach szybkiego rozbicia wojsk powstańczych. Z tego względu batalion Czachowskiego stoczył już 1 lutego 1863 r. batalię pod miejscowością Błota, a dzień później pod Bzinem. Także 2 lutego doszło do starcia pod Suchedniowem, w którego wyniku miasteczko zostało w dużej części spalone. Bitwa pod Wąchockiem 3 lutego 1863 r. to z kolei jedna z tych walk polsko-rosyjskich, przez które obydwie strony nie osiągnęły założonych celów. Rosjanie mocno nadwyrężyli batalion kosynierów, ale dzięki skutecznemu oporowi batalionu Czachowskiego oraz podjętemu z wyprzedzeniem przez Langiewicza odwrotowi powstańcy nie zostali rozbici.

Porażka pod Wąchockiem odbiła się negatywnie na innych działaniach w województwie. Strona polska w starciach, m.in. pod Opocznem i Słupczą, została pokonana. Jedynie Antoni Jeziorański przepędził kolumnę rosyjską pod Studzianną.

Mimo przeciwności działania korpusu Langiewicza w oczach polskiej opinii publicznej jawiły się jako skuteczne również z tego względu, że w innych częściach kraju partie powstańcze ponosiły porażki. Obraz przerysowanych sukcesów naczelnika woj. sandomierskiego był na tyle pozytywny, że wobec niepowodzenia opanowania Płocka to właśnie w jego obozie 4 lutego 1863 r. pojawili się przedstawiciele Rządu Narodowego. Ale też trudno odmówić Langiewiczowi żołnierskiego szczęścia, skoro mimo trudnych warunków trwał wspierany przez cywilne zaplecze państwa podziemnego w województwie.

Po porażce pod Wąchockiem Langiewicz skierował się do Łysogór, gdzie założył obóz przy klasztorze benedyktyńskim na Świętym Krzyżu. Tu 12 lutego 1863 r. stoczył bitwę. Wyrywając się z matni i ponosząc straty, stoczył kolejny, tym razem zwycięski, bój z carskim wojskiem pod Staszowem. Pozwoliło mu to udać się w kierunku Włoszczowy z planem połączenia się z partią naczelnika rawskiego, płk. Jeziorańskiego. Samo połączenie obu partii było zjawiskiem pozytywnym. Problemem okazały się kwestie ambicjonalne, bo Jeziorański niechętnie się podporządkował naczelnikowi woj. sandomierskiego, a ostatecznie o podporządkowaniu przeważyła nominacja Langiewicza przez Rząd Narodowy na stopień generała. Odzyskując swobodę, Langiewicz znów odbudował swoje oddziały.



Fot. Biblioteka Narodowa

Marsz na spotkanie z partią Jeziorańskiego spowodował, że Langiewicz opuścił woj. sandomierskie, przenosząc się na obszar woj. krakowskiego, gdzie 24 lutego 1863 r. stoczył jedną z największych i najkrwawszych batalii powstania: pod Małogoszczą. Walkę narzuciła strona rosyjska, zaskakując Polaków atakiem z trzech stron. Bitwa w obliczu rysującego się zagrożenia okrążeniem skończyła się porażką Polaków. W zmaganiach wyróżnił się Dionizy Czachowski, który osłaniał odwrót wojsk Langiewicza w oparciu o linię bagnistej rzeczki. Przegraną dopełniła utrata taboru 26 lutego 1863 r. Mimo to Rosjanie znowu nie osiągnęli swojego celu, jakim było zniszczenie zgrupowania polskiego.

Wykonując tym razem wymuszony odwrót, nasz bohater ruszył w kierunki Pieskowej Skały, gdzie 4 marca 1863 r. stoczył kolejną, tym razem nierozstrzygniętą, bitwę z kolumnami rosyjskimi. Kontynuując odwrót 5 marca, rozegrał też ciężką, ale zwycięską, batalię pod Skałą. W walce tej Langiewicz razem z Jeziorańskim prowadził atak żołnierzy, biegnąc prawie 1,2 tys. m pod ostrzałem rosyjskich kul.

Z powodu zaciskającej się pętli wojsko dowódcy ruszyło w kierunku Goszczy w celu założenia nowego obozu, który na bazie zasobów Galicji miał zgromadzić siły do dalszych walk. Nowy dyktator zebrał pod dowództwem



eprasa.pl f264cc2d81



Zatrzymanie Langiewicza przez austriacką policję.

Fot. Biblioteka Narodowa

oddział żuawów śmierci, batalion Czachowskiego oraz kosynierów.

## PUŁAPKA POLITYKI

W sposób niezamierzony właśnie w obozie w Goszczy rozpoczął się początek końca powstańczej epopei Langiewicza, a jego istotną przyczyną stała się polityka. W tym czasie przedstawiciele obozu białych, planując przystąpienie do zrywu, uzależniali swoją decyzję od uzyskania realnego wpływu na bieg wydarzeń, żądając odsunięcia przedstawicieli obozu czerwonych od władzy. W tak zarysowanym gambicie postanowiono wykorzystać popularną osobę Langiewicza, któremu planowano powierzyć dyktaturę. Projekt ten był iście makiaweliczny, gdyż władze podziemne w stolicy, nie chcąc narazić autorytetu Rządu Narodowego, nie miały możliwości przeciwdziałać całej intrydze. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała insurekcja w tym czasie, był wybuch bratobójczej wojny o władzę.

Langiewicz, nie mając doświadczenia politycznego ani realnego poparcia politycznego, nieroztropnie przyjął propozycję dyktatury, kierując się chyba przede wszystkim troską o sprawę narodową. Z uwagi na własne położenie wojskowe nie miał w praktyce żadnych szans na realne sprawowanie dyktatury, a do tego od początku stał się narzędziem w ręku intrygantów z obozu białych. Istotne jest i to, że ogłoszenie dyktatury Langiewicza nie mogło ujść uwadze strony rosyjskiej, która za priorytet w takiej sytuacji uznała zniszczenie jego wojsk.

Zmuszony opuścić obóz w Goszczy skierował się do Sosnówki, potem do Marchocic i Antolki, gdzie chciał z zaskoczenia zaatakować ścigających go Rosjan. Ponieważ plan się nie powiódł, ruszył dalej i skierował swe wojsko do majątku Aleksandra Wielopolskiego w Chrobrzu, gdzie postanowił uzupełnić braki żywnościowe partii. Niestety nie było mu dane odpocząć, bo Rosjanie konsekwentnie realizowali plan zniszczenia jego wojsk. Wymuszony 17 marca 1863 r. odwrót z Chrobrza osłaniali niezawodni żuawi śmierci Rochebrune'a oraz batalion kosynierów. Żuawi dokonali niemożliwego i mimo ataku carskiej kawalerii powstrzymali rosyjski atak, a następnie odrzucili Rosjan. Bitwa zakończyła się polskim sukcesem, gdyż korpus Langiewicza znowu wymknął się z matni, kierując się w stronę Grochowisk, gdzie dyktator zamierzał wzmocnić swoje oddziały i przede wszystkim dać im odpocząć. Nadzieję na poprawę sytuacji przyniosło dołączenie do sił niezmordowanego pułku Czachowskiego.

Ścigając oddziały carskie, Langiewicz stoczył 18 marca 1863 r. krwawą bitwę pod Grochowiskami. Powstańcy okrążeni wokół przeprawy na grobli, w obliczu intensywnego ostrzału artyleryjskiego, karabinowego i ataku rosyjskiego z kilku stron lasu, zostali pobici. Z kolei żuawi Rochebrune'a zmusili do odwrotu rosyjskich dragonów. Z tego powodu w całym kompleksie leśnym powstało wymieszanie oddziałów i batalia przeistoczyła się w serię pojedynków. W międzyczasie doszło do starcia idącego w stronę bitwy pułku Czachowskiego z przeczesującymi las oddziałami carskimi. Efektem było odłączenie się od dyktatora pułku Czachowskiego, co w następnych tygodniach zapewniło możliwość walk w woj. sandomierskim.

## SMUTNY FINAŁ

Sam Langiewicz po uporządkowaniu pozostałych oddziałów i przekazaniu dowództwa postanowił opuścić swoje wojska, aby poprzez granicę galicyjską udać się do Krakowa w celu rozpoczęcia sprawowania realnej władzy dyktatorskiej w skali kraju. Pomysł ten, może i słuszny politycznie, został odebrany jak najgorzej przez odziały, które poczuły się opuszczone przez naczelnego dowódcę. Jakby tego było mało, rozpoznany dyktator tuż po przekroczeniu granicy został zatrzymany przez austriacką policję i uwięziony. W tym momencie jego los dopełnił się i tak zakończyła się epopeja człowieka, którego czyn zbrojny w pierwszym okresie zrywu stał się nadzieją dla całego walczącego kraju.

Najlepszym podsumowaniem wysiłku Langiewicza wydaje się fragment jego wspomnień „Relacje o kampanii własnej 1863": „Prowadziliśmy wojnę w styczniu, lutym i marcu w nędznych ubiorach, podartym obuwiu, często w całodziennym głodzie, robiliśmy forsowne marsze, biliśmy się 17 razy w ośmiu tygodniach, biwakowaliśmy w błocie i śniegu, bez słomy i bez płaszczy, przy lichych ogniskach z mokrych gałęzi, prawie ciągle wśród przeważnego a okrutnego nieprzyjaciela, bez schronienia dla chorych i rannych (zostawszy rannym, musiałem na koniu lub na śniegu czekać 32 godziny za pierwszym opatrzeniem), zostawieni sami sobie, zasmuceni wiadomościami, że w innych częściach Polski powstanie jest jeszcze słabszym. A jednak ciągle powetowywaliśmy nasze straty, ciągle wzrastaliśmy w siłę moralną, coraz więcej zdobywaliśmy poszanowania na nieprzyjacielu".

W świetle tych słów jakikolwiek komentarz jest chyba zbyteczny.



eprasa.pl f264cc2d81

*Apel prymasa Józefa Glempa do aktorów o powrót na scenę zupełnie rozmijał się w stanie wojennym z powszechnym odbiorem społecznym. Co więcej, prymas był za swe wystąpienie atakowany i krytykowany. Paradoksalnie także przez samych twórców*

# Prymasa gra dla aktorów

Fot. EAST NEWS/WOJTEK LASKI



MILENA KINDZIUK

Piąta rocznica śmierci kard. Józefa Glempa, przypadająca 23 stycznia, stanowi okazję, by przypomnieć nieznane fakty z jego działalności. Należą do nich niewątpliwie okoliczności jego zaangażowania w mediacje między aktorami a władzami państwowymi w stanie wojennym.

## OTWARTE DRZWI KOŚCIOŁÓW

Chociaż idea protestu aktorów zrodziła się już 18 grudnia 1981 r., to za formalne rozpoczęcie strajku tego środowiska uznaje się 13 stycznia 1982 r. To wtedy twórcy zrezygnowali z występowania w teatrach, a zwłaszcza w radiu



eprasa.pl f264cc2d81

i telewizji, będących nośnikiem propagandy PRL. W geście sprzeciwu wobec polityki Jaruzelskiego i wobec osadzenia w więzieniach kolegów aktorów, wielu oddawało też swoje legitymacje partyjne i występowało z PZPR. Jak stwierdził później Andrzej Szczepkowski na jednym ze spotkań duszpasterstwa środowisk twórczych, „aktorzy przez lata byli narzędziami propagandy, jednak wydarzenia stanu wojennego sprawiły, że stali się świadomi swojej roli i bardziej niezależni".

Wtedy twórcy zbliżyli się do Kościoła, szukając w nim oparcia i zrozumienia. Zaczęli wystawiać swoje sztuki w świątyniach, zwłaszcza te o charakterze religijno-patriotycznym. „Mówiło się o tym, żeby pospieszyć aktorom z pomocą, umożliwiając im występy – w miarę możności wynagradzane – w kościołach, salach katechetycznych i seminariach duchownych" – zanotował w swoich „Zapiskach na szczęście nie więziennych" warszawski biskup Kazimierz Romaniuk.

Taką pomóc Kościół zaoferował, przekazując działaczom opozycji: „aktorom, reżyserom filmowym i teatralnym, kompozytorom i plastykom, a w końcu muzykom oraz poetom swoje budynki, struktury duszpasterskie i najlepszych kapłanów. Komunikacja między światem kultury a jego odbiorcami była wyśmienita" – pisze prof. Jan Żaryn w „Dziejach Kościoła katolickiego w Polsce". Działo się to zresztą w myśl działań ówczesnego duszpasterza środowisk twórczych ks. Wiesława Niewęgłowskiego, który dążył do nawiązania bliższych relacji między twórcami a Kościołem i który pomógł w przygotowaniu pierwszego spotkania tego środowiska z ówczesnym arcybiskupem warszawskim Józefem Glempem.

## SPOTKANIE BEZ PRECEDENSU

Miało do niego dojść 9 marca 1982 r. Dzień przed planowanym spotkaniem ks. Niewęgłowski przekazał prymasowi na piśmie konkretne sugestie, tłumacząc, że po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy zawieszono wszystkie związki i stowarzyszenia twórcze, nastąpiło „zerwanie łączności między rządem a środowiskami twórczymi. Stąd spotkanie Księdza Prymasa ze środowiskami twórczymi jest bez precedensu. Środowiska jednoznacznie opowiadają się tym samym, z kim są i na kogo liczą".

Duszpasterz środowisk twórczych zapewniał też Józefa Glempa, że przeszły one w ostatnich latach ewolucję, jeśli chodzi o stosunek do Kościoła, i że „nie jest to sprawa wynikła po 13 grudnia. Z pozycji życzliwego spoglądania na Kościół środowiska twórcze przeszły do identyfikacji z Kościołem. Upatrywanie w Kościele jedynego autorytetu jest novum". Dalej ks. Niewęgłowski wyjaśniał, że środowisko to jest „poddane ciężkiej próbie i odpowiedzialność Kościoła za nie jest tak wielka jak nigdy dotychczas w historii naszego narodu. Jest to i szansa dla tych ludzi, i szansa dla Kościoła" (pismo ks. Niewęgłowskiego do abp. Glempa pt. „Pro memoria" z 8 marca 1982 r.).

To pierwsze spotkanie z aktorami odbyło się 9 marca przy okazji przedstawienia sztuki Eliota „Mord w katedrze", granej w katedrze warszawskiej. Została wtedy nawiązana bardziej formalna współpraca. Prymas poparł życzenie, by kościoły umożliwiały twórcom ich występy.

## DELEGACJA DO PRYMASA

Sytuacja w środowisku aktorskim stawała się jednak coraz trudniejsza. W maju 1982 r. ukazał się komunikat NSZZ „Solidarność" do artystów scen polskich i filmu, który głosił, że „kolaborantem jest ten, kto użycza swego nazwiska, twarzy, głosu lub talentu dla celów propagandowych i usprawiedliwiania przemocy". I dodawał: „W naszym środowisku kolaborantem jest ten, kto realizuje lub występuje w spektaklach i filmach TV, słuchowiskach radiowych i audycjach".

Ta data wyznaczyła zatem pewną cezurę. Od tej chwili aktor, który decydował się na współpracę z mediami reżimowymi, spotykał się z odrzuceniem przez środowisko, a teatr generalnie zszedł do podziemia. Powstał też niezależny Teatr Domowy (artyści występowali w prywatnych mieszkaniach) powołany przez Ewę Dałkowską, Emiliana Kamińskiego, Andrzeja Piszczatowskiego i Macieja Szarego. Szybko jednak się okazało, że tego rodzaju dorywcza praca – czy to w mieszkaniach prywatnych, czy w kościołach lub salkach katechetycznych – w dłuższej perspektywie nie gwarantowała aktorom stałego źródła utrzymania. Po kilku miesiącach zaczęli się oni borykać z problemem braku środków do życia.

W tej sytuacji aktorzy ponownie zwrócili się o pomoc do Kościoła, tym razem już bezpośrednio do prymasa. Delegacja składająca się z czterech osób – Andrzeja Łapickiego, Gustawa Holoubka, Kazimierza Dejmka i Andrzeja Szczepkowskiego – udała się na audiencję do Józefa Glempa i wystosowała oficjalną prośbę, by to właśnie on zwrócił się publicznie do aktorów z prośbą o ich powrót do pracy. Ten zabieg miał udowodnić całemu społeczeństwu, że strajkujący artyści nadal są przeciwni reżimowi Jaruzelskiego, na scenę natomiast są gotowi wrócić tylko z uwagi na autorytet prymasa, który ich o to prosi, oraz na autorytet Kościoła.

## SŁYNNY APEL DO AKTORÓW

Glemp na tę prośbę przystał. Obiecał aktorom, że im pomoże i przy najbliższej okazji skieruje do nich apel o powrót na scenę i do mediów.

Do wystosowania takiego przekazu prymas wykorzystał jako pretekst zakończenie VII Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej 26 listopada 1982 r. Tego dnia w kościele Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Warszawie zostało wystawione przedstawienie „Modlitwa o zmierzchu". Po jego zakończeniu prymas spotkał się z aktorami i wygłosił przemówienie, kierując do nich słynny apel. „Cieszymy się, że twórcy są w kościołach. I że słowo, które słyszymy od nich w kościołach, będzie trwałym zwyczajem. Pozostaje jednak bardzo ważny problem na przyszłość: Bóg nie może się zamknąć tylko w kościołach, nie możemy na przyszłość zbytnio teatralizować kościołów, tak jak nie chcielibyśmy z naszych teatrów robić liturgicznych kaplic. Trzeba, żeby te instytucje miały w prawidłowym społeczeństwie właściwe sobie role. Żeby to, co jest twórcze, co jest inspirującą myślą chrześcijaństwa, mogło być



eprasa.pl f264cc2d81

wypowiadane tam, gdzie znajduje się twórca, bo ma on do tego prawo i Naród ma prawo tego oczekiwać" – powiedział kard. Józef Glemp.

Prymas solidaryzował się zarazem z konfliktami moralnymi środowiska. „Wiem, drodzy nasi Twórcy, że wśród Was jest bardzo wielu, którzy zdecydowali się nie w pełni wykorzystywać swoje możliwości, nie w pełni uzewnętrzniać swój talent. Była to decyzja sięgająca postaw moralnych, bardzo poważna sprawa sumienia, sprawa o wymiarach społecznych, bo cały Naród przeżywał głęboki konflikt" – podkreślał. I wskazał rozwiązanie: „Wielu pyta: co dalej? I nie byłoby moje słowo pasterskim, gdybym nie odpowiedział na owo pytanie. Po to jestem, żeby odpowiedzieć". Po czym skierował do twórców wyraźny, jednoznaczny komunikat: „Uważam, że ci nasi bracia, którzy w prostocie, po przemyśleniu aspektu moralnego odcięli się od wykonywania swoich czynności w określonych instytucjach, powinni teraz do nich wrócić. O to bym prosił, byśmy na Boże Narodzenie mogli się spotkać choćby przed ekranami telewizorów".

## „PROSZĘ WAS"

Najpewniej Józef Glemp zdawał sobie sprawę z możliwości dwuznacznej interpretacji i wymowy tych słów, wskazał bowiem intencję swego przekazu: „Jeżeli taką prośbę przedkładam, to niechaj nikt, kto mnie słucha czy kto mnie nagrywa, nie interpretuje tych słów jako namawianie do współpracy z reżimem – nie uważa tej wypowiedzi za łamanie charakterów. Niech takie słownictwo, proszę Was, nigdy nie będzie stosowane w odniesieniu do Kościoła, do wypowiedzi prymasa. Mówię to z najgłębszym przeświadczeniem moralnej odpowiedzialności".

Prymas za ten apel brał całą odpowiedzialność na siebie, tłumacząc ponadto, że z jednej strony współpraca z „instytucją złą" budzi konflikt moralny, z drugiej jednak – „instytucji zupełnie złych" w istocie nie ma. „Świat nie jest święty. Świat jest do uświęcenia. A świat czyniący źle zmieniają ludzie. Trzeba więc iść w świat. Bo taka jest postawa chrześcijańska: iść naprzód".

Prymas nie nakazywał, ale zachęcał i apelował, używając osobistych wyrażeń, takich jak: „proszę Was" czy „o to bym prosił". Zdawał sobie jednak sprawę ze złożoności sytuacji i z wagi swego apelu, dlatego na zakończenie dodał: „Tyle mojego duszpasterskiego słowa. Wybaczcie".

Wiedział też, na co się sam naraża. Świadomie jednak poświęcił swój autorytet, by wyświadczyć pomoc niemającym z czego żyć aktorom. Ostatecznie dzięki jego mediacji artyści przerwali strajk i z podniesionym czołem wrócili do pracy.

> Prymas świadomie poświęcał swój autorytet, by wyświadczyć pomoc niemającym z czego żyć aktorom

## NIEZROZUMIAŁE ECHO ŚWIATA

Słowa prymasa jednak w ówczesnych warunkach – w kontekście stanu wojennego, a także ataku Mieczysława Rakowskiego na aktorów i odwołania kilku dyrektorów warszawskich teatrów – w powszechnym odbiorze zostały potraktowane negatywnie. Niemal powszechnie podejrzewano Glempa o sojusz z władzą, wyrażano żal, że łamie aktorom charaktery. Co więcej – ten sposób myślenia, jak na ironię, przejawiali nawet sami aktorzy, nie wszyscy bowiem byli wtajemniczeni w plan wspomnianej grupy czterech artystów. „Mówiono nawet, że to była mała zdrada" – przyznawał jeden z aktorów (na łamach książki Małgorzaty Molędy-Zdziech pt. „Obecna nieobecność. Aktorski bojkot telewizji i radia w stanie wojennym"). To wtedy o prymasie zaczęto mówić ironicznie „towarzysz Glemp". Zwracał zresztą uwagę na złożoność tej sytuacji również duszpasterz środowisk twórczych ks. Niewęgłowski, który podkreślał, że słowa prymasa wzbudziły „duże poruszenie zarówno ludzi kultury, jak i społeczeństwa". Chociaż padały też głosy pozytywne. Jak pisze Małgorzata Molęda-Zdziech, jeden z aktorów przyznawał: „Moi koledzy byli u ks. Prymasa, prosząc go o wypowiedź. Ksiądz Prymas podjął to z myślą o nas".

Aktorzy szybko dali jednak odczuć prymasowi swą niechęć. „Wkrótce po apelu, jaki wystosowałem, udałem się do nich na spotkanie, na zaproszenie ks. Niewęgłowskiego" – wspominał kard. Glemp w rozmowie, jaką z nim na ten temat przeprowadziłam, przygotowując książkę „Ostatni taki Prymas". „Panował tam chłód. Pamiętam Krystynę Jandę, która tak na mnie patrzyła żałośnie. Część aktorów nie wiedziała, że ja tylko wypełniłem ich prośbę" – podkreślał.

Sam jednak przez całe lata publicznie nigdy nie wyjawił genezy swego wystąpienia, pozostając do bólu lojalnym wobec grupy inicjatywnej czterech aktorów. Nie usiłował się bronić przed niesprawiedliwymi atakami i formułowanymi zarzutami, nie wydał żadnego oświadczenia, nie wystosował komunikatu. To bardzo charakterystyczne dla niego: gdy w sumieniu był przekonany do swoich racji, to mu całkowicie wystarczało, by to zrobić; nie dbał natomiast o kształtowanie swego publicznego wizerunku. Oklaski traktował jak „echo świata", nie czekał na nie. Inną miarą mierzył świat. Taki był także w wielu innych sprawach, zwłaszcza w skomplikowanych czasach PRL. Dlatego był często nierozumiany przez współczesnych, ale jest coraz bardziej doceniany z perspektywy lat.

Taka jest jednak logika dziejów. „Każdego z takich jak ty świat nie może przyjąć od razu" – pisał Norwid. Pozostaje więc nadzieja, że wspomniany przez Norwida „późny wnuk" przyzna Glempowi rację i odda mu należne miejsce w historii.

*Dr Milena Kindziuk jest wykładowcą na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, autorką biografii kard. Józefa Glempa pt. „Ostatni taki Prymas"*



eprasa.pl f264cc2d81



Beata Kempa otwiera polskie centrum szkoleniowe dla kadry medycznej pracującej w obozie syryjskich uchodźców w Zaatari

Zdjęcia Andrzej Skwarczyński

# By mądrze nieść pomoc

*Beata Kempa, minister ds. pomocy humanitarnej, podczas ubiegłotygodniowej wizyty w Jordanii otworzyła polskie centrum szkoleniowe dla kadry medycznej w obozie syryjskich uchodźców w Zaatari. Prawdziwym owocem tej wyprawy jest jednak zdobyta wiedza, w oparciu o którą udzielana na miejscu polska pomoc będzie w najwyższym stopniu skuteczna, a korzyści z niej płynące nie będą krótkotrwałe*

Stanowisko koordynatora ds. polskiej pomocy humanitarnej na świecie w randze ministra zostało utworzone, po raz pierwszy w historii, 11 grudnia 2017 r., z dniem powołania rządu Mateusza Morawieckiego. Zadaniem Beaty Kempy jest zharmonizowanie działań polskich dobroczynnych organizacji pozarządowych z administracją państwową w celu maksymalizacji efektów wspólnej działalności.

„Środki przeznaczane przez Polskę na pomoc humanitarną na świecie stale rosną. W roku 2010 na ten cel przeznaczyliśmy 12,4 mln zł, a w 2017 r. kwota ta wzrosła do 148,2 mln zł. Ważną częścią tych funduszy były przekazane przez kancelarię premiera, za pośrednictwem UNICEF, w grudniu ubiegłego roku, 2 mln zł doraźnej pomocy celowej na zakup zimowych ubrań dla syryjskich dzieci przebywających w obozach dla uchodźców na terenie Jordanii" – powiedziała w trakcie wizyty Beata Kempa. „Polska chce pomagać i pomaga uchodźcom na miejscu, w krajach, do których uciekają przed wojną. W tym roku budżet na ten cel zakłada 117 mln zł, co nie znaczy, że kwota ta finalnie nie wzrośnie. Podobnie jak w 2017 r. na pomoc, głównie w postaci długoterminowych projektów, przeznaczymy tyle pieniędzy, ile będzie potrzeba".

Przez cztery dni wizyty w Jordanii kalendarz minister Kempy zakładał spotkania na wielu szczeblach – z szefem misji Unii Europejskiej Andreą Fontaną, Imadem Fakhourym, jordańskim ministrem ds. planowania i współpracy międzynarodowej, regionalnymi i krajowymi przedstawicielami UNICEF czy w końcu z władzami dwóch obozów dla syryjskich uchodźców, które polska delegacja odwiedziła. Cel wszystkich rozmów był wspólny – poznać potrzeby Syryjczyków zmuszonych do ucieczki z własnego kraju, by opierając się na tej wiedzy, móc już w Polsce organizować niezbędne wsparcie.



eprasa.pl f264cc2d81






Spotkanie z władzami obozu Zaatari



Obóz Al-Azrak

Trzeciego dnia minister Kempa udała się z wizytą do Zaatari, oddalonego od Ammanu ok. 80 km na północny wschód, położonego przy granicy z Syrią obozu dla uchodźców. Jest on największą i zarazem najstarszą tego rodzaju placówką w Jordanii. Od momentu utworzenia w 2012 r. przeszło przez niego ok. 461 tys. Syryjczyków. W szczytowym momencie przebywało tam nawet 120 tys. osób. Obecnie mieszka ok. 80 tys. ludzi, z czego ponad połowę stanowią dzieci, a tygodniowo rodzi się 80.

Wizytę w Zaatari Beata Kempa rozpoczęła, przecinając biało-czerwoną wstęgę i tym samym otwierając polskie centrum szkoleniowe dla pracującej w obozie kadry medycznej, którego utworzenie zostało sfinansowane ze środków MSZ.

Następnymi przystankami w obozie były: przychodnia dziecięca i szkoła podstawowa, w której na ręce jej dyrektora polska delegacja przekazała paczki z przyborami szkolnymi. Z kolei w ośrodku młodzieżowym Makani goście mieli okazję zapoznać się z przeprowadzanymi tam zajęciami – od gry w piłkę nożną przez akrobatykę po zajęcia plastyczne. Duże zainteresowanie wzbudziła szwalnia, w której młodzi ludzie pod okiem instruktorów szyli ubrania na potrzeby mieszkańców obozu, tym samym ucząc się zawodu i polepszając warunki bytowe jego mieszkańców.

Właściwie żadne zajęcia nie były koedukacyjne, lekcje w szkołach prowadzone są oddzielnie dla chłopców i dziewcząt. Podobnie jak animacje – w piłkę nożną grały akurat dziewczęta, a na sali gimnastycznej ćwiczyli wyłącznie młodzi mężczyźni. Mali chłopcy często proszą o zrobienie im zdjęć, chętnie pozują, a potem proszą o pokazanie wykonanych fotografii. Z kolei dziewczynki nie są już tak entuzjastycznie nastawione. Im starsze, tym częściej zasłaniają twarze.

„Widzę już dwie bardzo ważne rzeczy, w których moglibyśmy mieć swój udział jako państwo polskie, czyli pomoc medyczną, bo widać, że ona musi być prowadzona w zdecydowanie większym zakresie, a także pomoc w edukacji" – powiedziała minister Kempa. „Są tu ze mną lekarze z Wojskowego Instytutu Medycznego z Warszawy, zbierający informacje, które będą pomocne przy opracowaniu rekomendacji w zakresie pomocy medycznej. Z kolei wdrożenie programów szkoleń dla młodzieży będzie jednym z czynników, który pozwoli zapobiec utworzeniu się tzw. straconego pokolenia. Młodzi ludzie, zdobywając umiejętności, kwalifikacje, będą mogli pracować, zarabiać pieniądze na utrzymanie rodzin. Z mojej strony będziemy bardzo przychylnie patrzeć na projekty, które będą to umożliwiać. Chodzi o to, by tym ludziom mądrze pomagać".



eprasa.pl f264cc2d81



Minister Kempa przekazuje przybory szkolne dyrektorowi szkoły w Zaatari


Szwalnia w Zaatari


Obóz Zaatari


Przychodnia w Zaatari


Obóz Al-Azrak


Makani w Zaatari – dziewczynki grają w piłkę nożną

Ta wypowiedź spotkała się z bardzo ciepłym przyjęciem ze strony przedstawicieli UNICEF, którzy podkreślali, że właśnie takie działania zapobiegają depresji wśród młodzieży i osłabiają poczucie niemożliwości zmiany. W ich opinii większość Syryjczyków wróci do swojego kraju, gdy tylko pozwolą na to warunki, a zdobyte kwalifikacje ułatwią im zarówno podjęcie pracy, jak i odbudowę Syrii.

Ostatniego dnia polska delegacja złożyła wizytę w drugim największym obozie dla uchodźców – Al-Azrak, oddalonym ok. 100 km na wschód od Ammanu. Mieszka tam ok. 34 tys. Syryjczyków, prawie 20 tys. z nich to dzieci. Obóz jest podzielony na siedem odrębnych wiosek. W przeciwieństwie do Zaatari, gdzie pomiędzy barakami gdzieniegdzie stały również namioty, tu zabudowa jest jednolita – takie same białe blaszane konstrukcje.

W szkole zwracają uwagę plakaty ostrzegające o niewybuchach. Chłopcy, akurat jest ich zmiana, cieszą się z naszej wizyty, opowiadają, kim chcą zostać w przyszłości – lekarzem, budowlańcem, piłkarzem, nie słyszałem, by którykolwiek chciał być żołnierzem.

W centrum szkoleniowym w Azrak młodzież może się uczyć zawodów fryzjera, ślusarza, spawacza, krawca, jest też pracownia komputerowa. Każdy absolwent kursu fryzjerskiego po zdanym egzaminie otrzymuje zestaw przyborów, by mógł świadczyć usługi na rzecz innych uchodźców. Do opuszczenia obozu i pracy poza nim potrzebna jest stosowna przepustka.

Na zakończenie wizyty Beata Kempa zapowiedziała, że jako minister i poseł będzie się starała o zwiększenie środków finansowych z budżetu przeznaczonych na pomoc humanitarną. Dodała, że w ramach Unii Europejskiej będzie przekonywać państwa, by przeznaczały środki na pomoc uchodźcom głównie do państw graniczących z Syrią, ze szczególnym uwzględnieniem Jordanii, która jest już u kresu swoich możliwości w tej dziedzinie.

Beata Kempa pytana, czy Polska w ramach korytarza humanitarnego zamierza przyjąć na leczenie pewną liczbę dzieci z obozów, odpowiedziała, że za pieniądze wydane na ten cel w kraju, tu, na miejscu, można pomóc znacznie większej liczbie osób. W tej sytuacji rachunek korzyści jest prosty.

*z Jordanii* ***Andrzej Skwarczyński***



eprasa.pl f264cc2d81

# Do czego tu się przyczepić

Czyżby Morawiecki podpowiedział Macronowi, jak należy reformować sądownictwo? Ciekawe, czy Francja będzie poddana sankcjom Komisji Europejskiej?" – pyta na portalu wPolityce.pl forumowicz „zgik" w reakcji na wiadomość, że prezydent Francji zamierza zreformować wymiar sprawiedliwości. Bardzo możliwe, panie „zgik", wszak premier Morawiecki rozmawiał z Macronem podczas szczytu Rady Europejskiej 15 grudnia ub.r. Rozmowa przebiegła w przyjaznej atmosferze, poruszono m.in. kwestię praworządności w Polsce i reformę sądów w naszym kraju.

I oto nie minął miesiąc, a głowa państwa francuskiego zapowiedziała, że wbrew naciskom ze strony sędziów, a także prezesa Sądu Kasacyjnego, odpowiednika polskiego Sądu Najwyższego, nie dokona rozdziału sądownictwa od prokuratury. Poza tym Emmanuel Macron zamierza zlikwidować Trybunał Sprawiedliwości Republiki, którego zadaniem jest sądzenie ministrów za popełnione przez nich wykroczenia i przestępstwa podczas pełnienia funkcji. Zdaniem prezydenta to organ niezwykle pobłażliwy i zamiast karać, umarza sprawy. Podkreślił przy tym, że jego zdaniem ministrowie powinni być sądzeni tak samo jak zwykli obywatele. Można powiedzieć – z ust to ministrowi Ziobrze wyjął.

Czy na placach i ulicach Republiki Francuskiej odbędą się masowe demonstracje francuskiej opozycji i „nadzwyczajnej kasty" sędziowskiej ze świecami? Na prawicowych portalach nie brak złośliwych komentarzy wzywających KOD i Obywateli RP do zorganizowania protestów we Francji przeciwko łamaniu praworządności w tym państwie. No i oczywiście forumowicze zwracają uwagę, że według Brukseli w UE są równi i równiejsi, i zapewne władze francuskie nie zostaną ukarane za łamanie praworządności sankcjami z art. 7. Portale tzw. głównego nurtu – Wirtualna Polska, naTemat.pl czy Onet.pl – z lekka zatkało i nie spieszą się z przekazaniem czytelnikom tej skądinąd rewelacyjnej decyzji Macrona. Jest ona rewelacyjna dlatego, że idzie śladem reformy wprowadzonej przez niepoprawny politycznie, katolicki i konserwatywny rząd Prawa i Sprawiedliwości.

Różni europosłowie i ich przywódcy robią, co mogą, żeby obalić polski rząd, ale na przeszkodzie stoją kwitnąca gospodarka nad Wisłą, kolosalne poparcie społeczeństwa dla wprowadzanych refom, w tym reformy wymiaru sprawiedliwości, szeroko zakrojonego programu innowacyjności i dla walki z korupcją w sferach politycznych byłej władzy, również z reprywatyzacją nieruchomości z krzywdą dla tysięcy obywateli. Nie tylko w sprawie naprawy systemu sprawiedliwości znajdujemy naśladowców. Litwa, Rumunia, a ostatnio Austria zamierzają wprowadzić w swoich krajach 500+, który przyniósł efekty w postaci poprawy bytu rodzin uboższych, co wiąże się ze wzrostem konsumpcji, ale przede wszystkim zwiększył wzrost liczby narodzin. Będzie nas więcej, Polaków i Europejczyków.



*Media zachodnie łamią sobie głowy nad polskim dylematem. Wszystko nad Wisłą idzie jak z płatka, rośnie dobrobyt, a opozycja – nawet tak totalna – leży na łopatkach*

Media zachodnie łamią sobie głowy nad polskim dylematem. Wszystko nad Wisłą idzie jak z płatka, rośnie dobrobyt, a opozycja – nawet tak totalna – leży na łopatkach. Krytykują ją lewicowe media, np. niemiecki tygodnik „Der Spiegel", jednak nie znajdują sposobu na pokonanie PiS ani z wewnątrz, ani z zewnątrz. Mocno lewicowy brytyjski dziennik „Financial Times" już się poddał, bo „Komisja Europejska długo ociągała się z podejmowaniem kroków wobec Polski. Wie bowiem, że w wielu ważnych obszarach nadal pozostaje ona prawdziwą demokracją. [...] Nadal istnieją silne, niezależne media i pełne energii partie opozycyjne".

No i co z tym zrobić? W Polsce na złość Timmermansowi i Verhofstadtowi panuje demokracja, media są niezależne, a wprowadzane reformy znajdują naśladowców i w Nowej, i w Starej Europie. „Financial Times" obawia się, że Komisja będzie musiała zrezygnować z sankcji wobec Polski i pójść na jakiś „zgniły kompromis". No, może da się jeszcze coś zrobić w dziedzinie gospodarki i doprowadzić do upadku polskich stoczni, wzorem rządu Tuska. Właśnie KE zabrała się do tego tematu. A amerykański prawicowy dziennik „The Wall Street Journal" zauważa, że „traktaty założycielskie UE nie dają KE prawa dyktowania państwom członkowskim, w jaki sposób mają organizować swoje sądownictwo". Właśnie. Ale może dają prawo do likwidowania stoczni, bo te są zbyt konkurencyjne dla niemieckich.



eprasa.pl f264cc2d81



Skazany na osiem lat kolonii karnej były rosyjski minister rozwoju gospodarczego Aleksiej Ulukajew

Fot. AP Photo/Ivan Sekretarev

# Do Boga daleko. Naczalstwo – blisko

*Zaostrzająca się wojna kremlowskich klanów o podział kurczącego się tortu wciąga w swe tryby kolejne ofiary*



PIOTR SKWIECIŃSKI

Najsłynniejsze rosyjskie więzienie to Centralny Zakład Karny we Władimirze, w kulturze, popkulturze, błatnych, czyli bandyckich balladach, i wspomnieniach dysydentów zwany „Władmirski Centrał”. Na ten wzór stworzono nieformalną nazwę najsłynniejszego aresztu śledczego współczesnej Rosji, oficjalnie Izolatora 99/1 – „Kremlowski Centrał”. Zwany też w Moskwie czasem „fabryką gwiazd”, a także „Bastylią”.

Zajmuje on cząstkę innego, też znanego, ale znacznie większego moskiewskiego aresztu, zwanego poetycko „Matrosskaja Tiszyna” (marynarska cisza – od nazwy ulicy, przy której leży; ta z kolei zyskała taką nazwę dlatego, że w tym miejscu Piotr Wielki kazał zbudować dom starców dla weteranów marynarki, a żeby nic nie zakłócało ich spokoju, zakazał przejeżdżać obok karetom). To właśnie w Matrosskoj Tiszynie parę lat temu zakatowano Siergieja Magnitskiego – prawnika, którego walka ze związanymi z władzą bandytami doprowadziła do aresztu i śmierci, po czym stała się symbolem sprzeciwu wobec korupcji.

Ale w „Kremlowskom Centralie” nikogo nic takiego nie powinno spotkać. Tu siedzą aresztowani z zupełnie najwyższej półki. I choć dyscyplina podobno jest trzymana, to zarazem warunki są, jak na rosyjskie kryminały, bardzo dobre.



eprasa.pl f264cc2d81

I to właśnie do „Kremlowskiego Centrału" trafił, skazany (jeszcze nieprawomocnie) za korupcję na osiem lat łagru i 130 mln rubli grzywny, niedawny minister rozwoju gospodarczego Aleksiej Ulukajew.

## „KORMLENIJE"

Z zapłaceniem grzywny kłopotów ten oddany sługa rosyjskiej państwowości mieć raczej nie będzie. W momencie aresztowania władze wzięły w sekwestr jego nieruchomości, gotówkę i sztabki złota wartości ok. 500 mln. Skąd ten majątek?

Takie pytania w Rosji nikogo nie interesują, raczej nużą. Bo czyż odpowiedź nie jest oczywista? Trudno się nie zgodzić z brytyjskim rosjoznawcą Markiem Galeottim, którego zdaniem niepisana zasada putinizmu brzmi: jeśli jesteś lojalny i dobrze wykonujesz swoją robotę, to masz prawo do pobocznej aktywności – ściągania kasy ze swojej sfery wpływów. Według Galeottiego to kontynuacja staromoskiewskiej tradycji „kormlenija", czyli oddawania przez carów całych obszarów państwa niejako w pacht urzędnikom, którzy mieli się z nich wyżywić. Przy czym putinowska iteracja tego obyczaju jest wręcz pewnym postępem w porównaniu z radziecką, bo teraz związany z nim jest wymóg, aby „karmiący się" urzędnik był przynajmniej w minimalnym stopniu efektywny. Amerykanka Ann Arutunyan zaś, relacjonując poglądy rosyjskiej elity, pisze, że nie ma dla niej znaczenia, czy jakieś pieniądze trafiają do skarbu państwa jako podatki lub cła, czy do kieszeni funkcjonariuszy – bo ci funkcjonariusze stanowią przecież państwo w takim samym stopniu jak jego skarb.

Za co więc tak naprawdę Aleksiej Ulukajew, minister, wcześniej m.in. wiceprezes banku centralnego, profesor ekonomii, dawno, dawno temu współpracownik „rosyjskiego Balcerowicza", reformatora Jegora Gajdara, trafił do „Kremlowskiego Centrała"?

## „TERAZ JEST NOC"…

Cała sprawa jest dziwaczna. Władze co prawda co jakiś czas inicjują kampanie antykorupcyjne i urzędnicy różnych szczebli idą siedzieć. To po prostu jeden ze sposobów dyscyplinowania aparatu, pozbywania się nielojalnych lub nieudolnych. Czy też rozstrzygania tych sporów między powiązanymi z różnymi frakcjami władzy grupami interesów, w których jedna ze stron posunęła się – według niepisanych zasad postępowania rządzących rosyjską elitą władzy, zasad przez analogię do honorowego kodeksu bandytów noszących nieformalną nazwę „poniatia" – za daleko.

Ale po raz pierwszy do więzienia trafił urzędujący minister. Urzędujący, bo Ulukajew został zatrzymany, gdy sprawował tę funkcję, i pozbawiono go jej dopiero potem. Co więcej, w środku nocy po tym zatrzymaniu rzecznik Putina Dmitrij Pieskow opublikował w internecie dziwaczny, dramatyczny komunikat („Teraz jest noc. Nie wiem, czy zostało to zameldowane prezydentowi... To bardzo poważne oskarżenie, wymagające bardzo poważnych dowodów"), co sugeruje, że przynajmniej na początku aktorzy moskiewskiego teatru cieni wpadli w popłoch i nie wiedzieli, na którą stronę przeważy się szala kremlowskiej Temidy.

Ale przeważyła się ostatecznie na stronę organizatora prowokacji, ofiarą której padł Ulukajew – Igora Sieczyna, zwanego w kręgach władzy „Darthem Vaderem". Ten stary kagebista, w latach 70. i 80. walczący w Mozambiku i Angoli, potem współpracownik Putina w ratuszu Petersburga, później m.in. wicepremier, a jeszcze potem (i przedtem) czynny na najważniejszych odcinkach frontu energetycznego (w tym charakterze przejmował odebrany Chodorkowskiemu Jukos, odcinał Orlenowi dopływ ropy do rafinerii w Możejkach i próbował kupić rafinerię gdańską), został w 2012 r. szefem najważniejszego przedsiębiorstwa petrochemicznego Rosnieft.

I w 2016 r. postanowił kupić inne przedsiębiorstwo – wydobywający ropę prężny i rozwojowy Basznieft. Zapewne postanowił to wcześniej, bo już w 2014 r. ówczesny właściciel Baszneftu, Władimir Jewtuszenkow, wtedy jeden z najbogatszych ludzi w Rosji, został zatrzymany, zamknięty w areszcie domowym, oskarżony o pranie brudnych pieniędzy. I w efekcie pozbawiony Baszneftu, który po podyktowanej mu cenie patriotycznie odsprzedał państwu, kierując przy tym pod adresem prezydenta Putina piękne w swej prostocie słowa: „Jeśli jutro spodoba się jakaś inna firma i zechcą ją zabrać, to niech będzie na zdrowie". Zdał więc egzamin na patriotę i mógł powrócić do roli jednego z czołowych, jedynie z lekka oskubanych oligarchów.

I nic nie stało na przeszkodzie, aby zrenacjonalizowany Basznieft ponownie sprywatyzować. Już w sposób właściwy, czyli sprzedając go państwowemu Rosnieftowi, a zatem Sieczynowi.

Z tym że formalnie zgodę na tę transakcję musiał wyrazić minister Ulukajew. A ten jakoś nie przejawiał entuzjazmu.

## WĘDLINY „DARTHA VADERA"

Trochę zapewne dlatego, że należał do tzw. bloku ekonomicznego rządu (oprócz niego to także pierwszy wicepremier Igor Szuwałow, wicepremier Arkadij Dworkowicz czy minister finansów Anton Siluanow) kojarzonego z klanem kremlowskich liberałów. Dinozaurów z lat jeszcze 90., zwolenników wolnorynkowych reform. „Co za absurd – mówił o sprawie Baszneftu ekonomiczny doradca Putina, Andriej Biełousow – jak może firma, zarządzana przez państwo, kupić drugą, też państwową; przecież to nie jest żadna prywatyzacja!".

Ale poza względami ideologicznymi były i inne, ważniejsze. Ulukajew i kremlowscy liberałowie, co najmniej od 2011 r., od początku ówczesnej fali antyreżimowych demonstracji, pozostają w pogłębiającej się defensywie i są wygryzani zewsząd przez agresywnych „siłowików". Czyli wrogich wobec Zachodu, a w polityce wewnętrznej będących zwolennikami polityki ostrej, skierowanej przeciw wszelkiego rodzaju opozycji, szefów i wysokich rangą funkcjonariuszy resortów siłowych. Ten podział jest oczywiście uproszczeniem, ale w jakiś sposób oddaje przynajmniej część rzeczywistości tamtejszej elity władzy.

Putin, choć genetycznie „siłowik", odgrywa raczej rolę najwyższego arbitra. Wspólnego autorytetu. Przywódcą „siłowików" zaś jest właśnie Sieczyn. Którego z kolei głównym wrogiem jest Dmitrij Miedwiediew, niegdyś



eprasa.pl f264cc2d81

„zastępczy" prezydent, obecnie premier. Według uporczywie krążących plotek to właśnie Sieczyn, w ramach walki z szefem rządu, miał dostarczyć ludziom opozycjonisty Aleksieja Nawalnego materiały użyte w głośnym, poświęconym Miedwiediewowi jako pysznemu i skorumpowanemu dygnitarzowi filmie „On wam nie Dimon".

Naszkicowanie tej mapy było potrzebne, by czytelnicy tego tekstu zrozumieli, jak dziwna jest sprawa Ulukajewa, który według Sieczyna (i moskiewskiego sądu, który w pierwszej instancji podzielił tę wizję wydarzeń) miał zażądać od niego, czyli od samego wzbudzającego grozę „Dartha Vadera" – o którym wiedział przecież, że co najmniej nie musi być mu przyjazny, i że można się po nim spodziewać działań, eufemistycznie rzecz ujmując, bardzo różnych – dwa miliony dolarów łapówki. I nie bał się?

To pytanie zawisa w próżni. Podobnie jak inne – o wysokość łapówki. Choć dla zwykłego śmiertelnika dwa miliony dolarów to gigantyczna suma, to w kontekście transakcji sprzedaży Baszniefu jest ona wręcz śmieszna. Ba, ale dwa miliony można jeszcze w sensie technicznym przekazać komuś w gotówce, a kwotę większą już raczej byłoby trudno. Trzeba byłoby organizować jakieś pranie pieniędzy, jakieś przerzuty przez konta, inwestycje w jakieś spółki. I trudniej byłoby to udowodnić, a już zwłaszcza niemożliwe byłoby spektakularne zatrzymanie ministra z pieniędzmi w ręku.

Bo tak też się stało. Ulukajewa zatrzymano bezpośrednio po wyjeździe z siedziby Rosnieftu, gdzie konferował z Sieczynem. Ten przekazał mu walizkę. Ulukajew myślał podobno, że z winami, bo Sieczyn lubi rozdawać takie prezenty. Oprócz feralnej, oznaczonej przez funkcjonariuszy FSB specjalnym proszkiem walizy w samochodzie ministra znaleziono kosz z luksusowymi wędlinami. Szef Rosnieftu pasjami wręcza takie kosze kontrahentom.

Ale z drugiej strony Ulukajew wziął walizkę z rzekomymi winami i nie przyszło mu do głowy, że to może być prowokacja? A przecież nic, co o nim wiemy, nie pozwala uznać go za głupca.

Innymi słowy: tak jak wyżej – sprawa wielce tajemnicza. I doprawdy trudno wyrobić sobie zdanie, jaka tu jest prawda. W sądzie nie przedstawiono żadnego oczywistego dowodu, również nagrania rozmów między Sieczynem a Ulukajewem, dokonane i przedstawione przez FSB działającą na zlecenie „Dartha Vadera", nie są jednoznaczne. Choć też – dla czystości obrazu – trzeba odnotować, że nie wiadomo, co zawierają tajne zeznania złożone przed sądem dzielnicy Zamoskworieczje przez byłego generała FSB Olega Fieoktistowa, szefa ochrony Rosnieftu.

> Wysocy rangą urzędnicy, gubernatorzy i burmistrzowie coraz częściej trafiają do łagrów za korupcję. Zarzuty są zwykle przekonujące. Tylko... następcy skazanych nie robią wrażenia jakościowo odmiennych

Biorąc pod uwagę te wszystkie okoliczności, trudno jednak skazanie eksministra uznać za przejaw czegoś innego niż polityczna decyzja Kremla.

## ATROFIA DÓBR

Łatwiej za to powiedzieć, czego przejawem jest ta cała dziwaczna sprawa, niezależnie od tego, jak przedstawiała się prawda.

Otóż na skutek kryzysu gospodarczego, wzmacnianego przez zachodnie sankcje, tort, którym dzieliła się przez dekady rosyjska elita władzy, kurczy się. Kurczy się drastycznie, choć jego rozmiary, związane z naturalnymi bogactwami Rosji, i tak dla obserwatorów z krajów niesurowcowych i niezaliczających się do najbogatszych, pozostają wystarczająco przemawiające do wyobraźni.

Na tym tle, co zrozumiałe, równie drastycznie zaostrza się walka poszczególnych kremlowskich i okołokremlowskich klanów o podział tego tortu. Walka prowadzona metodami zawsze obecnymi w tamtejszej rzeczywistości. Ale teraz, w związku z postępującą atrofią tortu, używanymi coraz częściej. Coraz częściej trafiają ostatnio do więzień i obozów urzędnicy wysokiego szczebla, gubernatorzy czy burmistrzowie. I najczęściej formułowane wobec nich korupcyjne zarzuty (różnego formatu – od ordynarnego łapówkarstwa aż po, uważane często w Rosji za coś etycznie odmiennego, powierzanie powiązanym z sobą firmom zamówień publicznych) są przekonujące. Tylko że – też najczęściej – ich następcy nie robią wrażenia jakościowo lepszych czy systemowo odmiennych.

I Rosjanie raczej zdają sobie z tego sprawę. Wypowiadając się w sondażu, 49 proc. badanych uznało sprawę Ulukajewa za przejaw wojny rozmaitych grup interesów, podczas gdy znacznie mniej (35 proc.) twierdzi, że uważa ją za element rzeczywistej wojny z korupcją.

* * *

A sam Ulukajew? Trafił do „Kremlowskiego Centrału", gdzie podobno spotkał się z zainteresowaniem i życzliwością innych pensjonariuszy tego wzorcowego zakładu. Osadzony tamże (oczywiście również pod dobrze udokumentowanymi korupcyjnymi zarzutami) w innej celi były mer Władywostoku, Igor Puszkariow, poprosił podobno klawiszy, by pozdrowili od niego byłego ministra – „jako poetę".

Bo jest Ulukajew rzeczywiście poetą. Autorem publikowanych, niebanalnych i nie najgorszych, a w nastroju smutnych, wierszy. W jednym z nich wzywa syna, by wyjechał z kraju i znalazł sobie gdzieś na kuli ziemskiej inny – gdzie „nie wszystko jest zawsze na odwrót", i gdzie choć „czasem mówią prawdę". A inny ówczesny minister rozpoczął od słów: „Do Boga daleko. Naczalstwo – blisko".

Kiedy to pisał, chyba nie sądził, że te konstatacje tak dobrze się wpiszą i w jego osobisty los.



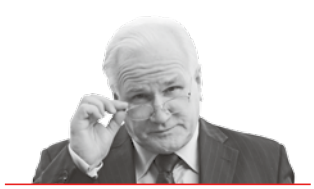
eprasa.pl f264cc2d81




Fot. East News/imago stock&people

# Figury przyległe

*Kto ma media, ten ma władzę – mawiają Niemcy. Akurat niemieccy politycy mogą na ten temat powiedzieć najwięcej*



PIOTR CYWIŃSKI

Cóż za bezczelność! Polscy dziennikarze są zaniepokojeni ograniczaniem wolności słowa w Niemczech. Na list sobie nawet pozwolili i apel do kolegów w Europie, że obowiązująca za Odrą od trzech tygodni ustawa nakazująca mediom społecznościowym – takim jak Twitter, Facebook, Instagram, Google+, YouTube – usuwanie niepożądanych wpisów jest w gruncie rzeczy wprowadzeniem cenzury, blokowaniem wyrażania poglądów i swobody wypowiedzi. Bezczelność?

Równie bezczelny był zatem Niemiecki Związek Dziennikarzy (DJV), który wezwał parlamentarzystów Bundestagu do „jak najszybszego zniesienia ustawy" o urzędowej nazwie Netzwerkdurchsetzungsgesetz (NetzDG). W kwestii formalnej ustawa ta nakazuje wycofywanie „nienawistnych wpisów" w ciągu 24 godzin. Tym, którzy nie zastosują się do tego prawa, grozi gigantyczna kara – do 50 mln euro.

## NICZYM GESTAPO

Niemcy porządkują. Żeby nie było wątpliwości: zgodnie z konstytucją. Bo władza i media mają być jak figury



eprasa.pl f264cc2d81

przystające. W interesie państwa i dla dobra ogółu, ma się rozumieć. To porządkowanie trwa de facto od dawna, ale zdarzają się utrudnienia. Jak wtedy w 1962 r., gdy lewicowy „Der Spiegel" nie pojmował jeszcze swej roli i konieczności współdziałania z władzą. Tygodnik pozwolił sobie opublikować tekst Conrada Ahlersa, ilustrowany fragmentami tajnych dokumentów, na temat starań rządu federalnego o uzyskanie broni atomowej. Cóż za samowola! Do redakcji wkroczyła policja, zabrała, co trzeba, zaryglowała i opieczętowała jej biura w Bonn oraz w Hamburgu. Wydano też kilka nakazów aresztowania z zarzutami zdrady państwa, fałszerstw i przekupstwa. Za kraty trafili zarówno autor demaskatorskiego tekstu, jak i sam twórca „Spiegla" Rudolf Augstein.

Przez Niemcy przetoczyła się fala masowych demonstracji w obronie tygodnika i wolności prasy. Doszło nawet do ulicznych rozruchów. Pod presją opinii publicznej rząd Konrada Adenauera zmuszony był do odwrotu. Co prawda kanclerz utrzymał się na stanowisku, ale posady straciło dwóch jego ministrów, w tym ówczesny szef resortu obrony Franz Josef Strauss. Gdy po 104 dniach Augstein wyszedł z więzienia, jego pierwsze zdanie brzmiało: „Jesteście niczym gestapo dzisiejszych Niemiec".

Można przypuszczać, że gdyby dzisiaj któryś z portali opublikował takie zdanie, musiałby zapłacić sążnistą grzywnę. Wówczas jednak „Spiegel" urósł w Niemczech do rangi gwaranta niezależności mediów. Po prawdzie, z gwarancją ograniczoną, gdyż – jak się okazało w 2012 r. – dziennikarze tygodnika byli latami inwigilowani przez tajne służby, próbowano nimi manipulować i wymuszać na nich milczenie. Co więcej, kiedy „Spiegel" wystąpił o udostępnienie akt z interwencji policji sprzed półwiecza, dostał odpowiedź odmowną. Mimo zapewnień władz problemy z nalotami na redakcję bynajmniej się nie skończyły.

## „PAŃSTWO PLUSKIEW"

Gdy w maju 1995 r. reporterzy magazynu „Frontal" (telewizji publicznej ZDF) nagrali rozmowę z biznesmenem bankrutem zbiegłym z pieniędzmi swego koncernu budowlanego za granicę, którego policja nie potrafiła wytropić, założono im podsłuchy. Przykładami wolności mediów po niemiecku można sypać jak z rękawa. Monachijską gazetę „Abendzeitung" zrewidowano nawet w poszukiwaniu zdjęć nagiego protestu przeciwników futer. Policja na podstawie negatywów chciała ustalić dane demonstrantów. Funkcjonariusze próbowali je znaleźć także w domu fotoreporterki. W 1996 r. celem ataku służb były też gazety „Die Tageszeitung", „Weser-Kurier" czy rozgłośnia Radia Brema. Dziennik „Frankfurter Rundschau" poproszono o... dobrowolne oddanie zdjęć z demonstracji Kurdów. Od zamiaru rewizji odstąpiono dopiero po groźbie redaktora naczelnego tego dziennika, że opublikuje zdjęcia funkcjonariuszy „przy pracy".

> Już od dawna skandalom związanym z inwigilacją rzekomo niezależnych dziennikarzy i jawnym gwałceniem wolności mediów w Niemczech nie było końca

Od chwili zajęcia przez policję biur redakcji „Spiegla" aż sześciokrotnie zmieniano przepisy umożliwiające zakładanie podsłuchów. Liczba przypadków inwigilacji w RFN rosła z roku na rok. Bundestag zalegalizował w ostatnich latach tzw. atak podsłuchowy, uchwalony – jak uzasadniali politycy – w celu skuteczniejszego zwalczania zorganizowanej przestępczości. Ten sam hamburski tygodnik spytał wprost w swym cover story „Zamach na wolność prasy. Czy będziemy żyli w państwie pluskiew?". I znów głos zabrał Rudolf Augstein: „Podsłuchy nie prowadzą do przestępców, jedynie udaremnią ujawnianie politycznych afer – od zawsze istniała pokusa, by dopaść dziennikarzy". O tym, czego obawiali się politycy ze świecznika, świadczy najlepiej kompromitująca najwyższe władze łapówkarska afera „Kohlgate", byłego kanclerza Helmuta Kohla oraz prominentnych członków chadeckich partii CDU/CSU.

## DOPUSZCZALNA PRAKTYKA

Skandalom związanym z inwigilacją rzekomo niezależnych dziennikarzy i jawnym gwałceniem wolności mediów nie było końca. W 2005 r. niemiecka policja zrobiła kipisz w redakcji konserwatywno-liberalnego miesięcznika „Cicero". Powodem była jego publikacja oparta na poufnych materiałach Federalnego Urzędu Policji Kryminalnej. Sprawa skończyła się przed Trybunałem Konstytucyjnym w Karlsruhe, który przyznał, że rewizja i zarekwirowanie redakcyjnych materiałów „stanowiło naruszenie wolności prasy". Orzeczenie było? Było! Czyli sprawiedliwości stała się zadość, bo Niemcy to przecież państwo prawa... A że służby dostały, co chciały? Przecież trybunał nie mógł wydać orzeczenia przed sprawą.

Zaufanie jest dobre, kontrola jeszcze lepsza – mówi niemieckie porzekadło. Nie tak dawno temu pojawiła się w tygodniku „Focus" informacja, która postawiła na nogi kontrwywiady wielu krajów: że na liście płac centrali BND (wywiadu RFN) w Pullach znalazło się... 20 zagranicznych korespondentów zwerbowanych do współpracy za kanclerza Gerharda Schrödera i rządu SPD-Zielonych. Wyszło to na jaw na marginesie śledztwa po wybuchu skandalu ze szpiclowaniem przez tajne służby rodzimych mediów, a ściślej – po przecieku z Parlamentarnego Gremium Kontroli (PKG), które trzyma nadzór właśnie nad wywiadem. Jeden z posłów po prostu wygadał się w prasie o istnieniu „tajnego raportu" na temat inwigilacji dziennikarzy. Okazało się, że pod lupą BND były niemal wszystkie redakcje opiniotwórczych dzienników i tygodników, a nawet telewizji publicznej. Do współpracy i sypania kolegów przyznał się m.in. wydalony potem z „Focusa" publicysta



eprasa.pl f264cc2d81

Erwin Decker, pseudonim Milczek. Środowisko dziennikarzy penetrowano w RFN aż do 2005 r. Podobno teraz już się tego nie robi. Kto chce, niech wierzy.

Na zagranicznych informatorów naprowadziła śledczych lista wydatków budżetowych, zakodowana pod numerem 532 10 200. Jednemu z korespondentów finansowano nawet „utrzymanie biura w Europie Wschodniej". Szczegółów nie ujawniono „dla dobra sprawy". Nie da się wykluczyć, że było to biuro w Warszawie. Dla rządu federalnego szpiedzy z legitymacjami prasowymi stanowią „dopuszczalną praktykę".

## ZASADA DZIAŁANIA

Dziś niemieccy politycy mówią z satysfakcją o „konsensie" z mediami, nazywanymi „czwartą władzą". Współpraca układa się zaiste perfekcyjnie, co było widać na przykładzie milczenia gazet, radia i telewizji w RFN po sylwestrowych gwałtach oraz rabunkach dokonywanych przez islamskich imigrantów, notabene nie tylko w Kolonii. Ów „konsens" opiera się m.in. na odprawach, tzw. Hintergrundgeschpräche (Hintergrund – tło, Gespräch – rozmowa), polityków z szefami redakcji i wybranymi dziennikarzami. Po takich „konsultacjach" media nie publikują tego, co byłoby niepożądane dla władz, lub publikują to, czego politykom nie wypada mówić, a co tworzy pożądany przez nich klimat społeczny.

Co robi się z niepokornymi, obrazują nie tylko kłopoty miesięcznika „Cicero" szwajcarskiej grupy Ringier Publishing, powiązanej z niemieckim koncernem Axela Springera, które wydają w naszym kraju tabloid „Fakt" i tygodnik „Newsweek". Wspominam o tym nie bez powodu. Jak funkcjonuje współdziałanie władzy z mediami, przekonał się m.in. redaktor naczelny „Faktu" Grzegorz Jankowski. Tenże zwolniony został ze stanowiska kilka tygodni po skardze na nieprzychylność gazety wobec Platformy Obywatelskiej, złożonej niemieckiemu koncernowi przez Pawła Grasia (byłego sekretarza generalnego PO i byłego rzecznika prasowego premiera Donalda Tuska), za pośrednictwem mającego dobre kontakty za Odrą biznesmena Jana Kulczyka.

Nawiasem mówiąc, opinię publiczną w naszym i o naszym kraju kształtują medialni potentaci Verlagsgruppe Passau, Axel Springer, Bauer i inne, do których należą gazety ogólnopolskie, regionalne, periodyki i portale internetowe. „To wielkie zagrożenie dla niezależnego dziennikarstwa i wolności poglądów; stary monopol państwa totalitarnego zastąpił w Europie Środkowej monopol obcego kapitału" – raportowała już w 2003 r. Europejska Federacja Dziennikarzy (EFJ).

W przypadku niepożądanego z punktu widzenia niemieckich władz oraz zwalczanego rządu Prawa i Sprawiedliwości przekaz ma być jasny; wizerunek tej partii kształtuje wybiórcze, tendencyjne podawanie i interpretacja faktów oraz zwykłe łże-dziennikarstwo. Przy urabianiu opinii publicznej o rzekomym łamaniu demokracji przez PiS niemieckie gazety cytują polskie, należące do tych samych koncernów co one, i odwrotnie. Wytyczne przychodzą z Berlina, czego dowodem były ujawnione dyspozycje reprezentanta Springera Marka Dekana wydawane polskim dziennikarzom.

## POLITYCZNIE NIEPOPRAWNI

Niesubordynowani są eliminowani. Tak jak Matthias Matussek z „Die Welt", autor wielu książek, były korespondent „Spiegla" w USA i Wielkiej Brytanii, który po zamachach islamskich terrorystów odważył się na Facebooku pytać o słuszność polityki otwartych granic kanclerz Angeli Merkel. Dziennikarz Michael Stürzenberger z kolei stracił nie tylko pracę. Za postawienie znaku równości między nazizmem a islamskim terroryzmem oraz wrzucenie do internetu „politycznie niepoprawnych" zdjęć na poparcie tej tezy skazany został przez monachijski sąd na sześć miesięcy więzienia i 100 godzin prac społecznych. W uzasadnieniu podano, że „szerzył propagandę" i „podżegał przeciw islamowi". Gdyby pisał, że terroryści to nie islamiści, tylko np. szaleńcy, byłby wolny.

Jedną z pierwszych ofiar nowej ustawy przeciw „mowie nienawiści" jest Beatrix von Storch, była europosłanka, polityk Alternatywy dla Niemiec (AfD), od niedawna wiceprzewodnicząca frakcji tej partii w Bundestagu. Storch została zablokowana przez Twittera za komentarz do internetowych życzeń noworocznych policji dla islamskich przybyszów po... arabsku. Jej wpis brzmiał: „Co u diabła dzieje się w tym kraju? Czemu na oficjalnym koncie policji w Nadrenii Północnej-Westfalii zamieszczono tweet w języku arabskim? Uważacie, że w ten sposób uda wam się oswoić barbarzyńskie hordy muzułmanów dokonujących grupowych gwałtów?". Amerykański portal wolał nie ryzykować płacenia kary 50 mln euro.

Uchwaleniu tej nowej „regulacji" sprzeciwiły się wszystkie pomniejsze ugrupowania od lewa do prawa, postkomuniści Lewicy, zieloni, liberałowie z FDP i alternatywni z AfD. Oprotestowała ją także organizacja Reporterów bez Granic. Co symptomatyczne, gdy tygodnik „Wirtschaftswoche" zwrócił się do Komisji Europejskiej o udostępnienie jej ekspertyzy w tej sprawie, otrzymał odmowę z uzasadnieniem, że „rozpowszechnianie tych dokumentów mogłoby wpłynąć na klimat wzajemnego zaufania pomiędzy państwem członkowskim UE a Komisją".

Z punktu widzenia władzy ustawa wymuszająca na portalach wielkie czyszczenie jest wręcz genialna. Po pierwsze, przesuwa na nie obowiązek kontroli i odpowiedzialność za to, co się na nich pojawia. Po drugie, wymusza nie tylko na mediach społecznościowych działanie prewencyjne i autocenzurę, a mówiąc wprost: użycie miotły. Jeśli jej nie użyją, zapłacą miliony. Po trzecie, może się na tym wzbogacić budżet państwa. Po czwarte, podporządkowanie się nowej ustawie będzie wymagało dodatkowego zatrudniania weryfikatorów, czyli powstaną nowe miejsca pracy. Po piąte i ostatnie, jeśli pojawią się zarzuty o ograniczaniu wolności słowa, to nie władze będą winne, lecz zarządzający portalami. Ewentualne skargi i zażalenia mają rozpatrywać pozostające pod, a jakże, nadzorem władz tzw. organy samoregulacyjne. Czyż nie genialne?

Wiadomo, porządek musi być, a kto ma media, ten ma władzę, w oryginale: Wer die Medien hat, hat die Macht...



eprasa.pl f264cc2d81



*Sprzedaż Polskich Kolei Linowych była jedną z gorszych decyzji prywatyzacyjnych III Rzeczypospolitej. Wszyscy za nią płacimy*

# Wojna na szczytach

Fot. Materiały prasowe

W 2013 r. zagraniczny fundusz inwestycyjny Mid Europa Partners wyłożył na kolejkę na Kasprowy Wierch ok. 215 mln zł. Miał wprowadzić polską turystykę na nowy etap rozwoju, do roku 2020 inwestując w infrastrukturę na Podtatrzu ok. 300 mln zł. Z obietnic nic nie wyszło, a Kasprowy zamiast motorem rozwoju regionu stał się przyczyną kilkuletniej wojny pomiędzy spółką PKL a góralami. Wojny twardej, bezwzględnej. I choć za właścicielem kolejki stoi wielki kapitał, wygląda na to, że jest on za słaby, by skruszyć upór ludzi z Tatr. Właściciel kolejki chce sprzedać akcje na Giełdzie Papierów Wartościowych i oddać nieco pola góralom.

Pod koniec grudnia 2017 r. PKL złożyły prospekt emisyjny do Komisji Nadzoru Finansowego. Jeżeli zostanie zatwierdzony, to akcje kolejki na Kasprowy Wierch wraz z siedmioma innymi ośrodkami narciarsko-turystycznymi będzie można kupić w ofercie publicznej. Na razie nie wiadomo, ile trzeba będzie zapłacić za akcje ani jaki procent udziałów zostanie wystawiony na sprzedaż.

Przypomnijmy, że oprócz kolejki na Kasprowy Wierch do PKL należą kolejki na Gubałówkę, Butorowy Wierch, wyciągi w Krynicy, Szczawnicy, Zawoi i Międzybrodziu Żywieckim. Z informacji, które uzyskaliśmy od spółki, wynika, że PKL w latach 2014–2016 zwiększyły przychody z 66,9 do 92,8 mln zł, a zysk



EWA WESOŁOWSKA

EBITDA w tym okresie wzrósł z 21,9 do 41,1 mln zł. Spółka zapewnia też, że regularnie spłaca zadłużenie, które zaciągnęła m.in. na zakup Jaworzyny Krynickiej i modernizację niektórych ośrodków (tu warto zauważyć, że kolejkę na Jaworzynę spółka kupiła za 50 mln zł, przejmując udziały od PKO BP i PZU).

## MONOPOL NA WIDOKI

Trudno jednak sobie nie radzić, jeżeli jest się monopolistą w przewozach na Kasprowy Wierch, który jako jedyny szczyt w Polsce ma alpejskie walory krajobrazowe i narciarskie. Bilet w dwie strony (w zależności od sezonu) kosztuje od 69 do 99 zł, a bywają dni, że w kolejce trzeba czekać kilka godzin. To dlatego, że przepustowość wagoników jest ograniczona przepisami: zimą mogą one przewozić 360 osób na godzinę, a latem tylko 180. Spółka starała się o zwiększenie tych limitów, lecz Tatrzański Park Narodowy powiedział zdecydowane „nie". TPN z rezerwą patrzy również na projekty budowy kolejnych tras narciarskich i infrastruktury (zwłaszcza na pomysł wydrążenia tunelu na Kasprowym), które miałyby doprowadzić do degeneracji znacznej części parku narodowego.

W sierpniu ub.r. emocje stron sięgnęły zenitu: pracownicy PKL chcieli wyrzucić przedstawicieli TPN z pokoju, który urzędnicy zajmowali od lat w budynku górnej stacji kolejki na Kasprowym Wierchu. Do eksmisji nie doszło, ale PKL na ścisłą współpracę z TPN nie mają co liczyć. Podobnie jak z samorządami, a przede wszystkim z góralami, którzy czują się wystrychnięci na dudka.

Gdy w latach 30. XX w. rząd II Rzeczypospolitej podjął decyzję o budowie kolejki na Kasprowy Wierch, podhalańscy górale zgodzili się oddać skarbowi państwa ponad 8 tys. ha swoich gruntów. Potem wielu z nich na własnych plecach taszczyło na szczyt podpory, wwoziło na taczkach niezbędny do budowy sprzęt, mocowało przewody elektryczne. Wiedzieli, że oddając ziemię, tracą dutki, ale robili to przecież dla Polski. Kiedy w 2013 r. Polskie Koleje Linowe sprywatyzowano, aż 85 górali zażądało zwrotu ziemi albo odszkodowań. Niczego nie dostali.

## KTO NA TYM ZAROBIŁ

Prywatyzacja Polskich Kolei Linowych do dziś budzi wielkie emocje. Od początku pojawiały się głosy, że transakcja



eprasa.pl f264cc2d81

jest mętna, nie do końca zgodna z prawem, że bardzo zagmatwane są sprawy własnościowe gruntów, a struktura biznesowa, która powstała po prywatyzacji, jest „skomplikowana". I że była to decyzja nie tyle ekonomiczna, ile polityczna.

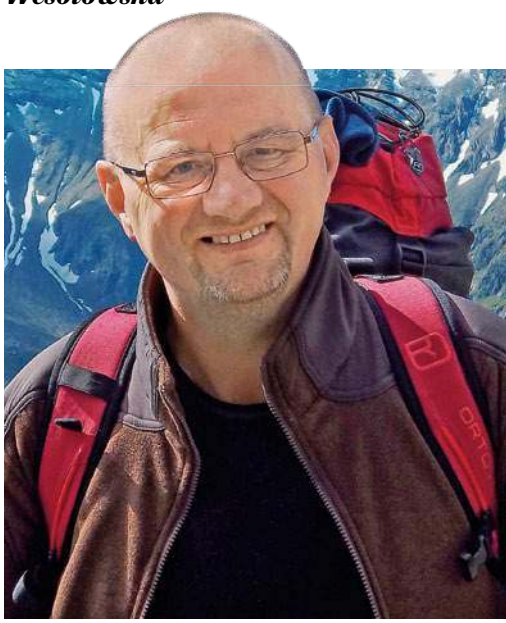
Przypomnijmy, że do przetargu zorganizowanego kilka lat temu przez PKP stanęły m.in. Lasy Państwowe, Centrum Handlowe „Ptak", słowacka grupa Tatry Mountain Resorts oraz spółka Polskie Koleje Górskie założona przez samorządy z Zakopanego, Poronina, Kościeliska i Bukowiny Tatrzańskiej. To właśnie ona przetarg wygrała, do dziś jednak nie wiadomo, jak to się stało, że ponad 99 proc. akcji w spółce przejął inwestor zagraniczny, czyli spółka Altura należąca do funduszu inwestycyjnego Mid Europa Partners. Samorządy mają w niej niespełna 1 proc.

W 2016 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport, z którego wynika, że urzędnicy samorządowi przygotowujący transakcję „nie postąpili zgodnie z rekomendacją firmy doradczej i nie zapewnili sobie odpowiedniego udziału w kapitale PKG SA oraz w wykonywaniu głosów z akcji i tym samym pozbawili się wpływu na działalność PKL". Raport nie odpowiada jednak na pytanie, czy urzędnicy zrobili to z braku profesjonalizmu i niewiedzy, czy też odnieśli z tego tytułu jakieś korzyści.

Najwięcej wątpliwości budzi to, że zgodę na formalne przejęcie majątku wydało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Było to sprzeczne z przepisami o zakupie ziemi i nieruchomości przez cudzoziemców, zwłaszcza że to teren przygraniczny. Zgodę wydał także Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, a Prokuratura Okręgowa w Krakowie nie dopatrzyła się znamion przestępstwa. Obecnie na wniosek posła Arkadiusza Mularczyka trwa wznowione postępowanie w tej sprawie. Prywatyzacji przyglądał się również powołany przez ministra Andrzeja Adamczyka specjalny zespół ekspertów w resorcie infrastruktury. – Od kiedy sprawą ponownie zajęła się prokuratura, nie wypowiadamy się w tej kwestii – dowiedzieliśmy się w biurze prasowym.

# Góra problemów

***Z Piotrem Bąkiem, starostą powiatu tatrzańskiego, rozmawia Ewa Wesołowska***



***Polskie Koleje Linowe, czyli właściciel kolejki na Kasprowy Wierch, ogłosiły, że wchodzą na Giełdę Papierów Wartościowych i że każdy będzie mógł kupić ich akcje. Czy powiat tatrzański jest zainteresowany zakupem tej spółki?***

***Piotr Bąk:*** Jeżeli akcje PKL faktycznie pojawią się na giełdzie, a oferta będzie atrakcyjna, to tak. Tylko proszę pamiętać, że we wrześniu ub.r. złożyliśmy już ofertę zakupu spółki i została ona przez zarząd PKL odrzucona.

***Dlaczego?***

Podobno nasza cena była za niska.

***Ile zaproponowaliście?***

Nie mogę tego ujawnić, bo podpisaliśmy z PKL umowę o poufności. Mogę tylko potwierdzić, że nadal jesteśmy zainteresowani nabyciem PKL. Wspólnie z Tatrzańskim Parkiem Narodowym i Miastem Zakopane. Finansowanie nastąpiłoby bez obciążania budżetów samorządowych, z wykorzystaniem możliwości polskich banków.

***Dlaczego PKL są takie ważne?***

Bo spółka dysponuje infrastrukturą, która jest strategiczna dla rozwoju regionu. Najważniejszy jest oczywiście zespół kolei na Kasprowym Wierchu, ale PKL to też Gubałówka, Butorowy Wierch, a poza Podhalem koleje w Krynicy, Szczawnicy, Zawoi i Międzybrodziu Żywieckim. Kłopot w tym, że najważniejsze dla nas obiekty, czyli koleje Goryczkowa i Gubałówka, mimo obietnic inwestora nie zostały zmodernizowane. Nie ma nawet przygotowanych projektów, które miałyby szanse realizacji. W momencie prywatyzacji PKL poczyniono w tym zakresie konkretne zobowiązania. Dzisiaj zarząd spółki mówi, że firma jest zainteresowana różnymi działami przemysłu wolnego czasu, w tym przewozami turystycznymi. Tymczasem dla nas misja PKL to przede wszystkim służba polskiemu narciarstwu poprzez rozwijanie odpowiedniej infrastruktury, szczególnie w unikalnej i stanowiącej naturalny monopol lokalizacji na Kasprowym Wierchu.

***Niektórzy mówią, że samorządowcy z Podhala i Tatrzański Park Narodowy celowo blokują działania PKL; że nie ma planu zagospodarowania przestrzennego na Gubałówce, co uniemożliwia rozpoczęcie planowanych przez spółkę inwestycji; że TPN nie zgadza się np. na zwiększenie przepustowości kolejki; że nie pozwalacie im gospodarować na Kasprowym, twierdząc, iż nie są na swoim.***



eprasa.pl f264cc2d81



Do niedawna kuriozalna była też struktura własności nieruchomości i terenu, po którym przebiega szlak kolejki na Kasprowy Wierch. Dopiero wiosną 2017 r. podpisano porozumienie, które nieco uporządkowało sprawę własności, ale i tak jest ona przedziwna. Obecnie górna stacja na Kasprowym Wierchu, wyciągi Gąsienicowa i Goryczkowa z budynkami, urządzeniami, infrastrukturą podziemną, czyli wszystko, co jest położone powyżej górnej granicy lasu i znajduje się na gruntach stanowiących współwłasność skarbu państwa oraz Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, należy do skarbu państwa. Natomiast dolna stacja i znaczna część trakcji należą do PKL.

## LOGIKA TRANSAKCJI

Czy wejście PKL na giełdę skłoni samorządy podhalańskie do kolejnej próby odzyskania Kasprowego? Obecny właściciel na to liczy. „Podczas oferty tatrzańskie samorządy będą miały okazję nabyć przeznaczoną dla nich pulę akcji lub wskazać podmiot, który kupi ten pakiet. Statut PKL gwarantuje, że w razie oferty publicznej samorządy będą mogły nabyć znaczny pakiet akcji PKL, dający 20 proc. plus 1 głos na Walnym Zgromadzeniu Akcjonariuszy po ofercie" – czytamy w piśmie, które do redakcji „Gazety Bankowej" i „Sieci" przysłali przedstawiciele PKL.

Wyjaśniają w nim również, „że zaangażowanie takiego inwestora jak Mid Europa Partners dało gminom kilka lat na zgromadzenie środków i przygotowanie się do ewentualnego nabycia akcji PKL. Obecnie, m.in. dzięki wspomnianym zapisom w statucie, mają one okazję, by stać się znaczącym akcjonariuszem PKL i zwiększyć rolę samorządów w funkcjonowaniu spółki. Taka była logika transakcji z 2013 r. – że fundusz wejdzie jako inwestor, poprawi funkcjonowanie spółki i jej sytuację finansową, a następnie stworzy możliwość do zaoferowania akcji PKL gminom tatrzańskim i innym inwestorom, w tym indywidualnym, wprowadzając PKL na warszawską giełdę".

Pytanie tylko, po co był ten cały cyrk z prywatyzacją i ile my, podatnicy, będziemy musieli do niego dopłacić. Bo nie są. Ziemia i znaczna część obiektów należy do skarbu państwa i Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. PKL nie chcą przyjąć do wiadomości, że umowa dzierżawy, którą zawarły w 2005 r. z TPN, wygasła z mocy prawa w roku 2012. Chroniąc interesy skarbu państwa, musimy dochodzić praw i należności za bezumowne korzystanie z majątku państwowego na drodze sądowej.

Zarząd spółki próbuje przerzucić odpowiedzialność za brak skuteczności w zakresie działań modernizacyjnych i inwestycyjnych na samorządy oraz TPN, które jakoby blokują ich działania. A przecież w 2013 r., gdy podpisywano umowę prywatyzacyjną, przepisy w zakresie ochrony środowiska i zagospodarowania przestrzennego były takie same jak dzisiaj. Wszyscy wiedzieli, jakie ograniczenia istnieją na obszarze parku narodowego i jaki jest tryb postępowania w wypadku starań o zgodę na budowę infrastruktury w rejonie Kasprowego Wierchu.

Przecież niezależnie od tego, czy spółka jest własnością publiczną, czy prywatną, obowiązują takie same reguły i wymagania. Od początku byłem przeciwny prywatyzacji PKL, bo nikt nie potrafił mi wskazać wartości dodanej, jaka miałaby się pojawić na skutek zmiany właściciela firmy. Jeszcze za poprzednich rządów wystąpiłem do ministra spraw wewnętrznych o wznowienie postępowania w sprawie zgody na sprzedaż ziemi cudzoziemcom. Minister dwukrotnie odmówił wznowienia postępowania. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie przyznał mi jednak rację i aktualnie sprawę rozpatruje Naczelny Sąd Administracyjny. Opinie prawne, którymi dysponujemy, wskazują, że w trakcie transakcji w 2013 r. mogło dojść do ominięcia ustawy o nabywaniu nieruchomości przez cudzoziemców.

***Gdyby gminy powiatu tatrzańskiego przejęły udziały w PKL, inwestycje by ruszyły? Co by się zmieniło np. na Gubałówce, która nie jest wykorzystywana przez narciarzy, na dodatek z tymi drewnianymi budami i straganami wygląda jak śmietnik? Bo każdy z właścicieli ziemi na Gubałówce stawia, co chce i robi, co chce.***

W moim głębokim przekonaniu, gdyby doszło do prawdziwie partnerskiego dialogu, sprawy dałoby się bez problemu ułożyć. Projekt zmiany planu zagospodarowania dla Gubałówki powinien być jednak najpierw uzgodniony z właścicielami gruntów. Rada Miasta raczej nie podejmie tematu na wniosek podmiotu komercyjnego wbrew właścicielom nieruchomości, których plan dotyczy. Natomiast uruchomienie tras narciarskich na Gubałówce niekoniecznie wymaga aż zmiany planu miejscowego. Wystarczy podpisać umowy dzierżawy z właścicielami oraz uzyskać zgody na niewielkie wylesienia.

***PKL traktowały górali niesprawiedliwie?***

Nowym właścicielom brakło chyba trochę znajomości specyfiki regionu. Mieszkańcy Gubałówki wywodzą się z rodów, które nieraz od kilkuset lat gospodarują na tych samych kawałkach ziemi, są do niej przywiązani i znają jej wartość. Potrzebne są dialog i otwarcie na stanowisko drugiej strony. To w samorządach jest chlebem powszednim i w tym zakresie mamy z sobą wiele pozytywnych doświadczeń.

***Czy starostwo, TPN i gminy zainteresowane przejęciem PKL mają biznesplan? Wiedzą, ile pieniędzy należy wyłożyć na infrastrukturę i po ilu latach nakłady się zwrócą?***

Takie biznesplany istniały już wtedy, gdy PKL były państwowe. Teraz wystarczy je zaktualizować. Jedno jest pewne: TPN jako współwłaściciel na pewno nie będzie tych planów blokował. Oczywiście pod warunkiem, że będą one rozsądne i zgodne z zasadami ochrony przyrody. Natomiast tunel pod wierzchołkiem Kasprowego Wierchu niekoniecznie musimy drążyć.



eprasa.pl f264cc2d81

*Hit tygodnia*

# Potężny SUV od Lamborghini








Na ten samochód trzeba było trochę poczekać. Choć w świecie motoryzacji „trochę" może się okazać „za długo". W tym konkretnym przypadku „trochę" znaczy od 2012 r., gdy pierwszy raz został pokazany koncept Lamborghini Urus, a „za długo"... Urus to całkiem potężny SUV, na którego widok niejednemu fanowi motoryzacji zadrży serce.

Urus może się pochwalić podwójnie doładowanym silnikiem V8 o pojemności 4 l – co daje nam 650 KM i 850 Nm, czyli całkiem dużo, a tak naprawdę to bardzo, bardzo dużo. Urus to jeden z najmocniejszych SUV-ów na rynku. Jego prędkość maksymalna wynosi 305 km/h, a do setki potrzebuje 3,6 s. Oprócz wersji z turbodoładowaniem planowany jest model z napędem hybrydowym – będzie to pierwszy elektryk w historii Lamborghini. Firma należy do Grupy VW, nic więc dziwnego, że wiele technologii w Urusie to zmodyfikowane elementy wykorzystywane w modelach Volkswagena. Warto dodać, że producent liczy na to, że dzięki Urusowi sprzedaż aut tej marki może wzrosnąć nawet dwukrotnie.

## AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Czy pamiętają państwo markę Saab? W pewnym momencie przestała sobie dawać radę na rynku i z niego zniknęła. Obecnie, za sprawą chińskiego producenta, Saab ponownie się pojawi (nie da się ukryć, że skandynawskie marki mają – teoretycznie – szczęście do Chin, wystarczy spojrzeć na Volvo i właśnie teraz na Saaba). Firma NEVS rozpoczęła produkcję elektrycznego modelu 9-3, tyle że nie wypuści tego pojazdu z logo Saaba, gdyż właśnie skończyły jej się prawa do używania znaku.

Londyńczycy otrzymali najnowocześniejsze taksówki na świecie. Miejscem premiery nowych pojazdów była londyńska elektrownia Battersea, za datę posłużyła 65. rocznica wielkiego smogu. Nowe taksówki są oczywiście elektryczne, ich producentem jest LEVC (London EV Company). Nazywać się będą TX.

To chyba sezon na SUV-y. Właśnie debiutował przed publicznością w Los Angeles Lincoln Nautilus, przyzwoity SUV, który ma 2-litrowy silnik benzynowy o mocy 245 KM. Cena na razie nie jest znana, auto zadebiutuje na rynku w czerwcu 2018 r.

Mercedes zachęcony bardzo dobrym przyjęciem modelu AMG A45 postanowił wprowadzić na rynek model A35 AMG. Niewiele o nim wiemy. Oprócz tego, że ma stanowić tańszą opcję w porównaniu ze starszym bratem.

Co ciekawego nastąpi w F1? Długo oczekiwany powrót pewnej marki na tory wyścigowe. Chodzi oczywiście o Alfa Romeo. Przerwa trwała 32 lata – od 1985 r., gdy Alfa Romeo wycofała się po kilku latach brania udziału w wyścigach. Oczywiście sprawa nie jest aż tak prosta. Marka miała w swojej historii kilka tego typu poważnych załamań. W 1979 r. powróciła po 18 latach przerwy, spowodowanej problemami finansowymi.

*Przygotował* ***Paweł Gadaczek***



eprasa.pl f264cc2d81

# 550 mln zł na innowacje

*Dzięki funduszom unijnym z Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój (POIR) Alior Bank uruchomił dla przedsiębiorstw segmentu MŚP dwa produkty: kredyt na innowacje technologiczne oraz gwarancje portfelowe. Ale to tylko część oferty dla małych i średnich firm*

Co roku w naszym kraju powstaje kilkaset tysięcy przedsiębiorstw – pod tym względem należymy do unijnej czołówki. Małe i średnie firmy potrafią bardzo szybko reagować na zmiany na rynku i szybko się do nich dostosowują, co pozwala im aktywnie działać również na rynkach o mniejszym potencjale. Prowadząc działalność gospodarczą, przedsiębiorcy napotykają jednak na różnorodne, niekiedy trudne do pokonania, bariery. Do głównych utrudnień uniemożliwiających rozwijanie własnej działalności gospodarczej zalicza się najczęściej brak środków finansowych. Dotyczy to w szczególności nowo tworzonych firm oraz przedsiębiorstw realizujących innowacyjne przedsięwzięcia, które polegają m.in. na wdrażaniu wyników prac badawczo-rozwojowych.

Problemy te zostały ujęte przez polski rząd w dokumencie „Strategia na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju do roku 2020", w którym wśród działań do podjęcia w najbliższych latach wskazano wspieranie dostępu MŚP do kapitału oraz inwestycji związanych z wdrażaniem wyników prac badawczo-rozwojowych. Strategia zakłada realizację projektu „System współdzielenia ryzyka dla MŚP", polegającego na stworzeniu systemu gwarancji dla małych i średnich firm ubiegających się o kredyt bankowy. Będzie to kolejny program łączący środki publiczne (krajowe lub unijne) i prywatne (w tym fundusze polskich banków) dla wsparcia innowacyjnych firm.

Od kilku lat Alior Bank aktywnie uczestniczy w programach rządowych wspierających rozwój MŚP. Dzięki gwarancjom udzielanym przez Bank Gospodarstwa Krajowego (BGK) w ramach rządowego programu de minimis, Alior Bank od 2013 r. udzielił prawie 35 tys. kredytów o łącznej wartości ponad 12 mld zł.

Coraz większy udział w finansowaniu tych programów mają środki unijne. Alior Bank uczestniczy w programach gwarancji realizowanych zarówno przez Europejski Fundusz Inwestycyjny (program COSME), jak i przez BGK.

Warto wspomnieć o dwóch produktach Alior Banku dla przedsiębiorstw segmentu MŚP uruchomionych dzięki funduszom unijnym z Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój (POIR): kredycie na innowacje technologiczne oraz gwarancjach portfelowych.



Maciej Surdyk, dyrektor zarządzający Pionem Rozwoju Bankowości Przedsiębiorstw w Alior Banku: Jednym z założeń naszej strategii jest stałe rozszerzanie oferty dla małych i średnich firm

Fot. Materiały prasowe



eprasa.pl f264cc2d81

Kredyt na innowacje technologiczne to instrument umożliwiający MŚP wdrożenie własnej nowej technologii lub jej zakup oraz uruchomienie na podstawie tej technologii wytwarzania nowych lub znacząco ulepszonych towarów, procesów czy usług. Wsparcie unijne w postaci premii technologicznej jest przeznaczone na spłatę części kapitału kredytu przyznanego na ten cel przez bank współpracujący z BGK. Przedsiębiorstwo ubiegające się o pomoc musi uzyskać w banku promesę kredytową, która stanowi integralną część wniosku o dofinansowanie składanego w BGK. Innowacyjna firma może otrzymać z BGK premię technologiczną, dzięki której będzie mogła spłacić znaczną (od 35 proc. do 70 proc.) część kapitału kredytu. Skala wsparcia uzależniona jest od wielkości przedsiębiorstwa (na większe dofinansowanie mogą liczyć najmniejsze firmy) i lokalizacji inwestycji (na najwyższe dofinansowanie mogą liczyć firmy inwestujące w regionach Polski wschodniej). Maksymalna wartość dofinansowania (tj. premii technologicznej) wynosi aż 6 mln zł.

– Kolejny nabór wniosków o premię technologiczną został ogłoszony 15 stycznia 2018 r. Będzie je można składać od 15 lutego 2018 r. Do rozdysponowania jest aż 550 mln zł. Przewidujemy, że podobnie jak w poprzednich naborach, do BGK wpłyną wnioski o wartości znacznie przekraczającej dostępne środki. Warto zatem już teraz skontaktować się z Alior Bankiem, aby odpowiednio wcześnie przygotować poprawny wniosek i uzyskać promesę kredytową. Nasi pracownicy zostali przeszkoleni i zdobyli praktyczne doświadczenie w udzielaniu kredytów unijnych. To ważne, bowiem najbliższy nabór wniosków o premię technologiczną zostanie przeprowadzony na nieco zmienionych zasadach – mówi Maciej Surdyk, Dyrektor Zarządzający Pionem Rozwoju Bankowości Przedsiębiorstw w Alior Banku.

Od września ubiegłego roku Alior oferuje swoim klientom kredyty z gwarancją udzielaną przez BGK w ramach Funduszu Gwarancyjnego POIR. Gwarancja jest udzielana przedsiębiorcom bezpłatnie, nawet na 20 lat, a maksymalna jej kwota wynosi równowartość 2,5 mln euro. Firmy mogą zabezpieczyć do 80 proc. kapitału kredytu. O gwarancje kredytowe mogą ubiegać się przedsiębiorcy, którzy planują zrealizować projekt inwestycyjny polegający na wdrożeniu wyników prac badawczo-rozwojowych lub spełniają jedno z 15 kryteriów innowacyjności. Warto podkreślić, że Alior jako pierwszy z banków uruchomił ten produkt i udzielił pierwszego kredytu objętego gwarancją z FG POIR.

> Od kilku lat Alior Bank aktywnie uczestniczy w programach rządowych wspierających rozwój małych i średnich przedsiębiorstw, polegających na stworzeniu systemu gwarancji dla firm ubiegających się o kredyt bankowy

– Jednym z założeń naszej strategii jest stałe rozszerzanie oferty dla małych i średnich firm. Dlatego stworzyliśmy m.in. Pakiet Europejski: zestaw produktów, który zapewnia kompleksową obsługę przedsięwzięć współfinansowanych ze środków UE. Pakiet daje możliwość zrealizowania inwestycji firmy przy niewielkim, wynoszącym zaledwie 10 proc., udziale środków własnych. Proponujemy m.in. promesę kredytową, kredyt na sfinansowanie wkładu własnego, kredyt pomostowy, prowadzenie rachunku do rozliczenia dotacji oraz wspomniany kredyt technologiczny – dodaje Maciej Surdyk.

Naszym priorytetem są firmy sektora MŚP, szczególnie te, które widzą szansę rozwojową w podnoszeniu swojej konkurencyjności i innowacyjności. Środki publiczne, w tym unijne, tratujemy jako ważne i atrakcyjne uzupełnienie naszej oferty – podkreśla Maciej Surdyk.

Oprócz oferty funduszy i gwarancji unijnych, Alior Bank proponuje małym i średnim firmom szereg innych rozwiązań pomocnych w prowadzeniu biznesu.

– Jesteśmy bankiem aktywnie finansującym klientów biznesowych. Automatyzujemy i usprawniamy procesy kredytowe, tak aby do każdej firmy wnioskującej o finansowanie jak najszybciej wrócić z informacją zwrotną o decyzji kredytowej. Dla mikrofirm mamy na przykład pakiet kredytowy, w ramach którego przedsiębiorca może skorzystać z finansowania do 500 tys. zł, a decyzję kredytową otrzymać nawet w 30 minut. Oferujemy też faktoring, który umożliwia zamianę faktur na gotówkę niedługo po wystawieniu faktury – mówi Maciej Surdyk.

Wspieramy również firmy współpracujące z kontrahentami w krajach o podwyższonym ryzyku. Dzięki podpisanej umowie z Bankiem Gospodarstwa Krajowego w ramach Programu Akredytyw Eksportowych, możemy bezpośrednio potwierdzać akredytywy eksportowe klientom, a BGK przejmuje ryzyko banku zagranicznego. Tego typu współpraca banków znacząco ułatwi eksporterom realizację zamówień na rynkach o podwyższonym ryzyku – dodaje Maciej Surdyk.

Alior Bank wspiera również przedsiębiorców rozpoczynających działalność gospodarczą. Dla tej grupy klientów powstał portal zafirmowani.pl, na którym publikowane są materiały stanowiące kompendium wiedzy i zapewniające profesjonalne wsparcie w rozwijaniu działalności gospodarczej. Oprócz bezpłatnej aplikacji księgowej, która umożliwia automatyczną generacje plików JPK, przedsiębiorcy znajdą tu szereg innych usług pozabankowych: usługę zdalnej recepcji, system CRM dla firm, system windykacji online i wiele innych.



eprasa.pl f264cc2d81




*Już w 2006 r. pojawiły się pierwsze oznaki osłabienia aktywności na amerykańskim rynku nieruchomości, w 2007 r. – na rynku finansowym. Mało kto jednak spodziewał się tego, co nastąpiło rok później. Konsekwencje globalnego kryzysu finansowego są odczuwalne do dziś*

# Kryzys poturbował rynki finansowe



eprasa.pl f264cc2d81



Fot. Shutterstock | 3/1217/F

Kiedy 19 lipca 2007 r. indeks giełdowy Dow Jones przekroczył po raz pierwszy w historii barierę 14 tys. pkt, sekretarz skarbu USA Henry Paulson stwierdził, że gospodarka globalna jeszcze nigdy nie miała się tak dobrze. Mało kto zwrócił uwagę, że kilka miesięcy wcześniej zbankrutowała spółka Ownit Mortgage Solutions – pierwsza amerykańska instytucja oferująca tzw. kredyty subprime, czyli udzielane osobom o niskiej zdolności kredytowej.

Dosłownie kilka dni po słowach Paulsona zaczęły się ujawniać kłopoty banków działających na rynku subprime. W tarapaty wpadł francuski bank BNP Paribas, potem we wrześniu brytyjski Northern Rock.

## RYNEK NIERUCHOMOŚCI PADŁ PIERWSZY

Tempo wzrostu gospodarki USA malało z kwartału na kwartał (w I kwartale 2008 r. pojawiła się recesja), a wraz z nim zaczęła się obniżać również dynamika cen nieruchomości, wykorzystywanych jako zabezpieczenie kredytów hipotecznych. Banki przejmowały coraz więcej nieruchomości, ale miały problem z ich sprzedażą.

Na rynku finansowym wzrosło napięcie, a zaufanie – konieczne, by prawidłowo ten funkcjonował – było coraz mniejsze. Banki nie ufały sobie nawzajem, ponieważ nie wiedziały, ile złych, trudnych do spłacenia kredytów hipotecznych mają w swoich zasobach. Jedne banki chciały sprzedać innym bankom kredyty swoich klientów (opakowane często w skomplikowane instrumenty finansowe), ale nie było na nie chętnych. Pożyczki między bankami też były wykluczone, gdyż nie wiadomo było, czy bank, który szuka pieniędzy, za chwilę nie upadnie.

Pierwszym wielkim bankiem, który znalazł się w poważnych kłopotach, był Bear Stearns. W połowie marca 2008 r. został przejęty przez JPMorgan Chase. W sierpniu 2008 Bank of America przejął, z pomocą rządu USA, chwiejący się bank Merrill Lynch. Chwilę później państwo amerykańskie musiało ratować giganta ubezpieczeniowego AIG oraz znacjonalizować agencje Fannie Mae i Freddie Mac, które zajmowały się m.in. sekurytyzacją kredytów hipotecznych, czyli były pośrednikiem kupującym od banków kredyty, a następnie sprzedającym inwestorom oparte na tych kredytach papiery wartościowe.

W połowie września 2008 r. doszło do najbardziej spektakularnego wydarzenia ostatniego kryzysu: bankructwa banku Lehman Brothers. Bank ten upadł, gdyż miał w portfelu bardzo dużo papierów wartościowych opartych na kredytach subprime oraz udzielał masowo pożyczek firmom znajdującym się w słabej kondycji finansowej, które w czasie kryzysu przestały je spłacać. Inwestorzy byli w szoku, że rząd USA pozwolił zbankrutować tak dużej instytucji. Rynek międzybankowy zamarł – banki przestały sobie pożyczać pieniądze. Indeksy giełdowe, które od końca 2007 r. zaczęły spadać, znalazły się na dnie.

## NACZYNIA POŁĄCZONE

Ekonomiści wskazują dwie główne przyczyny globalnego kryzysu finansowego: pierwszym był niedostateczny nadzór nad niektórymi instytucjami finansowymi, a drugim – niskie stopy procentowe na świecie, w tym w Stanach Zjednoczonych, dzięki którym kredyt, również kredyt hipoteczny, stał się względnie tani, a zatem dostępny również dla tych osób, których zdolność kredytowa była niska.

Innych, bardziej szczegółowych przyczyn kryzysu, jest więcej:

- silny wzrost znaczenia sektora finansowego (za czym nie szedł w parze wzrost realnej gospodarki);
- powstawanie baniek spekulacyjnych na aktywach (wzrosty cen nieuzasadnione w pełni czynnikami fundamentalnymi);
- upowszechnienie się sekurytyzacji, dzięki której banki mogły transferować ryzyko kredytowe na inne podmioty;
- powstanie skomplikowanych i nieprzejrzystych instrumentów finansowych;
- wzrost współzależności i międzynarodowej integracji rynków finansowych.

W latach poprzedzających globalny kryzys finansowy w gospodarce światowej zaszło wiele zmian strukturalnych. Na skutek przenoszenia części produkcji towarów do krajów o niższych kosztach pracy, a także względnie wysokich cen ropy naftowej deficyt handlowy części krajów rozwiniętych, w szczególności Stanów Zjednoczonych, silnie wzrósł. Towarzyszyło temu narastanie nadwyżki handlowej w krajach



eprasa.pl f264cc2d81

rozwijających się. Stany Zjednoczone pokrywały ten deficyt poprzez import kapitału z krajów rozwijających się, głównie do bezpiecznych aktywów, co skutkowało ich niskim oprocentowaniem. W konsekwencji instytucje finansowe inwestujące na amerykańskim rynku zwróciły się ku bardziej ryzykownym aktywom, co było tym łatwiejsze wobec niedostatecznego nad nimi nadzoru.

## POLSKA TYLKO ZAMOCZYŁA STOPY

To, co działo się w sferze finansów, nie pozostało oczywiście bez wpływu na realną gospodarkę. W Stanach Zjednoczonych szoki na rynku finansowym stosunkowo szybko znajdują odzwierciedlenie nie tylko w inwestycjach, lecz również w konsumpcji, z uwagi na względnie dużą skalę inwestycji gospodarstw domowych na rynkach kapitałowych. Ponadto w przypadku tego kryzysu segmenty rynku finansowego powiązane z rynkiem nieruchomości praktycznie zamarły, co spotęgowało skalę spadku cen domów, a tym samym zasobność amerykańskich rodzin. Kolejne odsłony kryzysu, zwłaszcza wyraźny wzrost bezrobocia, tylko potęgowały to zjawisko.

Kryzys nie ograniczył się jednak do Stanów Zjednoczonych. Przy obecnym stopniu globalizacji szoki ekonomiczne dość łatwo przenoszą się z miejsca na miejsce – w kwartale następującym tuż po upadku Lehman Brothers wiele gospodarek na świecie weszło w recesję. Strefa euro z uwagi na silne powiązania finansowe z USA jej sektora bankowego oraz wciąż proeksportową orientację niektórych z jej krajów członkowskich szczególnie silnie odczuła skutki globalnego kryzysu. Recesja trwała tam przez ponad rok.

> Do Polski kryzys dotarł z opóźnieniem. I nie był tak silny jak w wielu innych krajach

Do Polski kryzys dotarł z opóźnieniem. I nie był tak silny jak w wielu innych krajach, w tym tych w Europie Środkowo-Wschodniej – niektóre z nich, aby uchronić się przed bankructwem, musiały się zwrócić o pomoc do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Polska doświadczyła odpływu kapitału, jednak odzwierciedlił się on jedynie w wyraźnym spadku cen akcji, znaczącej deprecjacji złotego, a także w pewnym wzroście rentowności obligacji skarbowych, jednak nie zagrażało to stabilności finansowej ani wypłacalności Polski. Również sektor finansowy nie odczuł kryzysu tak mocno jak w innych krajach europejskich. Wzrost gospodarczy spowolnił, ale nie był ujemny. Ponadto już w II kwartale 2009 r. widoczne były wyraźne oznaki poprawy koniunktury.

Względną odporność na kryzys polska gospodarka zawdzięcza wielu czynnikom. Najistotniejszym jest relatywnie niewielka, zwłaszcza na tle krajów Europy Środkowo-Wschodniej, skala nierównowag w okresie przedkryzysowym. Ceny nieruchomości co prawda rosły przed kryzysem, jednak dwukrotnie wolniej niż w krajach bałtyckich (np. w Estonii w 2007 r. kwartalnie rosły średnio w tempie 21,8 proc. rok do roku, a na Litwie – o 26,7 proc. r/r – dane BIS). W tych krajach wartość udzielonych kredytów rosła również ponad dwa–trzy razy szybciej niż w Polsce. W zdecydowanej większości państw Europy Środkowo-Wschodniej ponad połowę kredytów udzielonych gospodarstwom domowym stanowiły kredyty walutowe (np. w Polsce w roku 2008 średnio 68,6 proc. nowo udzielonych kredytów to były kredyty w CHF – dane za AMRON-SARFiN). W niektórych krajach była to niemal całość, np. w 2008 r. w Estonii aż 98 proc. kredytów na zakup nieruchomości zostało udzielonych w euro – dane za Eesti Pank.

Ekonomiści wymieniają kilka czynników, które pozwoliły uchronić gospodarkę Polski przed recesją:

**Kwartalne tempo wzrostu PKB w najważniejszych gospodarkach i u sąsiadów Polski należących do UE [proc.]**

| | 2007 | | | | 2008 | | | | 2009 | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | I kwartał | II kwartał | III kwartał | IV kwartał | I kwartał | II kwartał | III kwartał | IV kwartał | I kwartał | II kwartał | III kwartał | IV kwartał |
| Czechy | 6,2 | 5,2 | 5,5 | 5,4 | 3,9 | 3,9 | 2,6 | -0,3 | -4,1 | -5,6 | -5,4 | -3,6 |
| Japonia | 3,5 | 2,3 | 1,7 | 1,9 | 1,3 | -0,3 | -1,4 | -3,6 | -8,7 | -5,8 | -5,1 | -1,6 |
| Litwa | 10,5 | 11,0 | 12,0 | 10,7 | 7,0 | 4,9 | 1,1 | -1,9 | -14,3 | -16,0 | -14,6 | -14,9 |
| Niemcy | 4,4 | 3,5 | 3,3 | 2,3 | 2,8 | 1,7 | 0,5 | -1,7 | -6,9 | -6,6 | -5,7 | -3,0 |
| **Polska** | **7,5** | **7,5** | **6,4** | **7,4** | **5,8** | **5,0** | **4,0** | **1,2** | **2,1** | **1,9** | **2,0** | **4,1** |
| Słowacja | 9,3 | 9,0 | 11,1 | 13,5 | 9,3 | 6,6 | 6,1 | 1,2 | -5,8 | -6,0 | -5,9 | -4,0 |
| UE | 3,4 | 3,0 | 3,0 | 2,7 | 2,4 | 1,4 | 0,1 | -2,4 | -5,4 | -5,3 | -4,4 | -2,1 |
| USA | 1,4 | 1,9 | 2,7 | 2,5 | 2,0 | 1,6 | 0,0 | -1,9 | -3,5 | -4,1 | -3,3 | -0,2 |
| Wielka Brytania | 1,6 | 2,1 | 2,7 | 3,1 | 2,5 | 1,1 | -1,2 | -4,1 | -5,9 | -5,5 | -3,8 | -1,4 |

Źródło: Eurostat, FRED



eprasa.pl f264cc2d81

- niewielkie uzależnienie wartości PKB od eksportu;
- duży i stabilny popyt wewnętrzny;
- deprecjacja złotego;
- dodatni wkład eksportu netto w tworzenie PKB;
- napływ środków unijnych, z których finansowano m.in. inwestycje publiczne, w tym te związane ze zbliżającym się Euro 2012;
- duży optymizm polskich konsumentów;
- elastyczny rynek pracy;
- deficyt na rachunku obrotów bieżących finansowany głównie ze stabilnych źródeł.

Kolejną cechą wyróżniającą Polskę na tle innych krajów była dobra sytuacja polskiego sektora bankowego. W przeciwieństwie do wielu europejskich odpowiedników nie miał on żadnych papierów wartościowych bazujących na kredytach zagrożonych z rynku amerykańskiego ani – dzięki względnie dobrej sytuacji gospodarczej Polski – wielu krajowych kredytów zagrożonych. Poza tym polskie banki charakteryzowały się ostrożnością i względnie konserwatywnymi strategiami biznesowymi, co miało związek także ze skutecznością Komisji Nadzoru Finansowego.

Przez chwilę pojawiały się symptomy obniżenia zaufania w polskim sektorze bankowym, jednak ustąpiły one stosunkowo szybko, m.in. na skutek tzw. pakietu zaufania ogłoszonego przez Narodowy Bank Polski w październiku 2008 r. za prezesury Sławomira S. Skrzypka. W jego ramach NBP mógł dostarczać polskim bankom dodatkową płynność, zarówno na dłuższy czas, jak i w walutach obcych. Bank centralny uruchomił kilka specjalistycznych narzędzi polityki pieniężnej, które wcześniej nie funkcjonowały. NBP zaczął udzielać bankom komercyjnym trzymiesięcznych pożyczek pod zastaw papierów wartościowych (tzw. operacja REPO), utrzymał emisje siedmiodniowych bonów pieniężnych oraz zaczął się wymieniać z bankami walutami na preferencyjnych warunkach (tzw. operacje typu swap walutowy). Ogłosił też gotowość częstszych transakcji na papierach wartościowych z bankami komercyjnymi (tzw. operacje otwartego rynku).

## NIEKTÓRE SKUTKI KRYZYSU UTRZYMUJĄ SIĘ DO DZIŚ

Nie można jednak powiedzieć, że kryzys nie wywarł żadnego wpływu na polską gospodarkę. Najważniejszym z jego skutków jest wciąż słabszy niż w okresie przedkryzysowym kurs złotego. Wzmacnia on konkurencyjność cenową polskiej gospodarki, przyczyniając się tym samym do wzrostu polskiego eksportu i pojawienia się nadwyżki handlowej oraz zrównoważenia salda na rachunku obrotów bieżących. Dzięki temu Polska jest obecnie mniej zależna od importu kapitału z zagranicy.

> Pojawiały się symptomy obniżenia zaufania w polskim sektorze bankowym, jednak ustąpiły one stosunkowo szybko, m.in. na skutek tzw. pakietu zaufania ogłoszonego przez Narodowy Bank Polski za prezesury Sławomira S. Skrzypka

Słabszy kurs złotego miał jednak inne, mniej pozytywne konsekwencje. Na początku 2009 r. ujawniły się problemy niektórych polskich przedsiębiorstw z opcjami walutowymi. Opcja walutowa to instrument finansowy dający nabywcy opcji (firmie) prawo do zakupu lub sprzedaży waluty w przyszłości po dziś ustalonym kursie, w zamian za zapłaconą na rzecz wystawcy (bank) premię. Miały to być instrumenty chroniące firmy przed ryzykiem walutowym. Problem w tym, że w obliczu osłabienia złotego, opcje spowodowały wystąpienie sporych strat po stronie firm, szczególnie wtedy, gdy właściciele i menedżerowie przedsiębiorstw potraktowali je jako instrumenty finansowe świetnie nadające się do spekulacji, próbując nie tyle zabezpieczać swój zysk, ile zarabiać na różnicach kursowych. W efekcie kilka dużych polskich firm musiało ogłosić bankructwo, a wiele poniosło duże straty. Innym skutkiem deprecjacji złotego jest zwiększenie rat mieszkaniowych kredytów walutowych, równoważone jednak przez bardzo niskie stopy procentowe w Szwajcarii, w walucie którego to kraju denominowana jest część kredytów walutowych.

Również skutki znaczącego, bo aż 50-procentowego, spadku indeksu na warszawskiej giełdzie odczuwane są do dziś. Polacy nabrali dystansu do akcji, obecnie wolą bezpieczne formy lokowania oszczędności. Polskie gospodarstwa domowe mają zdeponowane w bankach nieco ponad 700 mld zł, z czego prawie 2/3 (ok. 450 mld zł) na rachunkach bieżących. W ostatnim okresie można było zauważyć nieznaczny wzrost zainteresowania jednostkami funduszy inwestycyjnych, jednak głównie inwestujących we względnie bezpieczne aktywa finansowe (obligacje). Od kilku lat systematycznie rośnie również popyt na mieszkania (kupowane w znacznej mierze za gotówkę). Mimo to ceny mieszkań rosną w umiarkowanym, znacznie wolniejszym tempie niż w innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Stabilizująco na ceny oddziałuje utrzymująca się od czasu kryzysu wysoka oferta na rynku mieszkaniowym.

Jednocześnie utrzymują się korzystne cechy polskiej gospodarki, które pomogły jej w ograniczeniu wpływu globalnego kryzysu finansowego. W szczególności kontynuowana jest dosyć konserwatywna polityka polskiego nadzoru finansowego. Dzięki takiemu podejściu polski sektor bankowy jest uważany za jeden z najzdrowszych w Europie.

***Piotr Rosik***



eprasa.pl f264cc2d81



Fot. East News/AP Photo/Alex Brandon

# Jak Gortat sławi Polskę



CEZARY KOWALSKI

Kolega dziennikarz, który wychowywał się na łódzkim osiedlu z naszym jedynym koszykarzem w NBA, opowiadał, że Marcin Gortat od najmłodszych lat poza sportem interesował się historią Polski. Fascynowały go bitwy, powstania, armia. Bawił się piłką (nożną) i żołnierzykami. Od dziecięcych lat na Bałutach minęło sporo czasu, ale przyzwyczajenia Marcina się nie zmieniły. Wciąż biega za piłką w krótkich spodenkach i dba o Polskę.

Po raz siódmy ze swoją fundacją zorganizował Polską Noc w USA. Meczowi NBA w Waszyngtonie pomiędzy Wizards a Nets towarzyszyły wydarzenia promujące polską kulturę. Wśród gości naszej gwiazdy w hali Capital One Arena znaleźli się m.in.: senator, sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Anna Maria Anders, ambasador RP w Waszyngtonie Piotr Wilczek, polscy weterani II wojny światowej oraz żołnierze polskich sił zbrojnych, którzy uczestniczyli w operacjach w Afganistanie i Iraku. Do gry zagrzewał koszykarzy zespół taneczny Cheerleaders Gdynia.

Drużyna Gortata po dramatycznej dogrywce wygrała z Nets. Polak grał świetnie.

W trakcie meczu na telebimach zamiast zwyczajowych reklam wyświetlano informacje o historii i współczesnej Polsce. W ogólnoamerykańskiej telewizji, podczas transmisji spotkania, przypomniano m.in. o Cudzie nad Wisłą, o męstwie Polaków w trakcie II wojny światowej, o bitwie o Anglię i o „Solidarności". W konkursach w przerwie gry kibice próbowali wymawiać polskie słowa. Widownia zobaczyła też specjalnie nakręcony na tę okazję film „Niezniszczalni" o polskich bohaterach wojennych.

Specjalne pozdrowienia przesłał prezydent Andrzej Duda. W filmie wyświetlonym na telebimach podziękował Gortatowi za rozsławianie Polski w Ameryce. Duda nazwał Noc Polskiego Dziedzictwa (Polish Heritage Night) w Waszyngtonie fantastyczną inicjatywą, którą popiera całym sercem. Prezydent przypomniał też rolę Stanów Zjednoczonych w odzyskaniu przez Polskę sto lat temu niepodległości.

Nie wiem, z którą opcją polityczną sympatyzuje obecnie Marcin Gortat, ale nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Promocję Polski za oceanem robi taką, jakiej nie dałaby rady zorganizować żadna zajmująca się tym instytucja. Bo rozsławia nasz kraj za granicą nie tylko swoją grą na boisku.

Polska Noc to nie jakiś zwykły festyn, okolicznościowa imprezka przy okazji towarzyskiego meczu, ale prawdziwe wydarzenie będące integralną częścią jednego z najbardziej spektakularnych, najlepiej opłacanych i najliczniej oglądanych na świecie sportowych show, jakim jest liga NBA.

To platforma, na której w skondensowanej formie przedstawiono Polskę w jej najbardziej chwalebnej postaci dziesiątkom milionów ludzi. Poza publikacjami w tradycyjnych mediach jak NBC, „Washington Post" czy „New York Post" show Gortata cieszył się ogromną popularnością w mediach społecznościowych. Wpisy o Polish Night na oficjalnym fan page'u NBA polubiło 32 mln użytkowników Facebooka. A film o polskich bohaterach znalazł się na twitterowym koncie NBA, które jest obserwowane przez blisko 30 mln osób.

To jest naprawdę coś ekstra, co potrafi dać od siebie nasz jedynak w NBA, choć przecież nie robił tego na czyjeś zlecenie. To jego własna inicjatywa. Od dawna jest multimilionerem, o popularność nie musi zabiegać (powoli kończy karierę). Dodajmy, że Marcin gra w bransoletce z napisem „Bałuty Boy" w szatni zawsze wisi koszulka „Polish Pride", na butach obowiązkowo musi być polska flaga, a na jego domu w USA powiewa biało-czerwony sztandar.

Dlaczego Gortatowi się chce? Warto przytoczyć słowa jego mamy Alicji, która w jednym wywiadów zdradziła, co wielokrotnie powtarzała synowi przed jego wyjazdem w świat: „Synku, pamiętaj, skąd jesteś, skąd się wywodzisz". Chłopak pamięta...

*Autor jest komentatorem Polsatu Sport*

8/1217/F



eprasa.pl f264cc2d81




Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

| Sponsor Strategiczny | Sponsor Generalny | Sponsor | Sponsor Kolekcji Olimpijskiej | Główny Partner Medyczny | Oficjalny Przewoźnik | Partnerzy PKOl | Partnerzy Medialni PKOl |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| ORLEN | LOTTO | TAURON | 4F | GRUPA LUXMED | LOT | Deloitte. COLUMNA MEDICA | RZECZPOSPOLITA onet PRZEGLĄD SPORTOWY EUROSPORT |

eprasa.pl f264cc2d81



# Rillettes i swojska konserwa

Fot. Mat. prasowe

**TOMASZ JAKUBIAK**
**KUCHARZ I DZIENNIKARZ KULINARNY**

Od kiedy pamiętam, w mojej rodzinie celebrowało się jedzenie. Wspólne posiłki wciąż są dla mnie ważne. Z rodziną, z przyjaciółmi. Cieszy mnie towarzystwo bliskich ludzi i to, że mogę im sprawić przyjemność, gotując. Bo ze mnie jest taki półhedonista. Z jednej strony uwielbiam nicnierobienie, z drugiej cieszy mnie, gdy stojąc przy kuchni, mogę innym dać radość. Dobrych parę lat temu odkryłem też, że gotowanie to świetny sposób na dziewczyny. Ale na bliskich również.

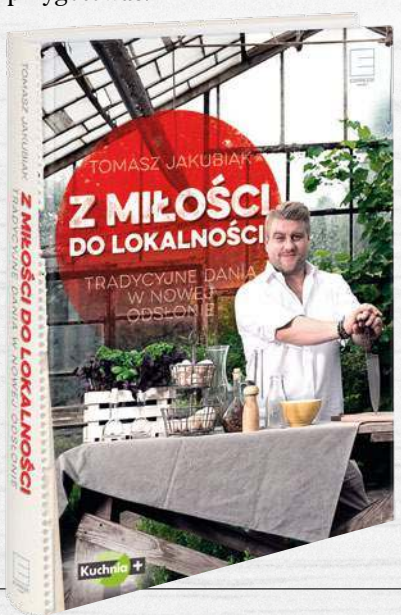
Pierwsze sałatki z tuńczyka, cebuli i jajka robiłem podobno (bo zupełnie tego nie pamiętam) jako ośmiolatek. Do dziś co jakiś czas na śniadanie ją sobie przygotowuję. Miałem jedenaście lat, kiedy, co zostało nagrane na VHS, przygotowałem pierwszy obiad dla rodziny. W sumie dla ośmiu osób. Zabroniłem im wchodzić do kuchni i robiłem wszystko sam.

Tak więc gotuję od dziecka, lecz nie jest to tylko moja zasługa. W domu zawsze były trzy obiady: jeden robiła babcia, jeden mama, jeden tata, bo każdy lubił co innego jeść. Był jeszcze dom przyjaciela z dzieciństwa. Jego tata, świetny masarz i znawca ryb, widząc moje kulinarne zapędy, sporo mi opowiadał o rodzajach mięsa, gatunkach ryb; o tym, co, z czego i jak można przygotować.

Do 14. roku życia naprawdę byłem totalnym niejadkiem. Chociaż ciągnęło mnie do gotowania (jako nastolatek uczyłem się zawodu w restauracji Magdy Gessler), to w domu tata był mnie w stanie namówić jedynie na makaron z sosem bolońskim. I czasami coś przywiezionego ze wsi, bo już wtedy potrafiliśmy z siostrą docenić naturalne produkty.

Rodzice chętnie wywozili nas do dziadków na Mazury. Tam w początkach podstawówki posmakowałem czegoś, co dziś nazywa się rillettes wieprzowe, a było efektem konserwowania mięsa na zimę. Babcia kolegi zawsze po świniobiciu wypełniała masę słoików. Potem je gotowała i wstawiała do piwnicy, a zimą wyciągało się taką „konserwę" i albo robiło gulasz, albo na zimno rozsmarowywało na chlebie. I ten smak: galarety i mięsa, bardzo dobrze z dzieciństwa pamiętam. Podobnie jak papierówek. I chleba z musztardą. I robionej przez babcię w naszym domu świeżonki, czyli podgardla smażonego z cebulą. Dobrej jakości lokalne produkty w kuchni to dla mnie baza wyniesiona z dzieciństwa. Od niej zaczyna się poszukiwanie nowych rozwiązań i smaków. Także w tradycyjnych polskich daniach (opowiadałem o tym w programie Kuchni+ i książce „Z miłości do lokalności").

*Notowała* ***Jolanta*** *Gajda-Zadworna*




## Chlebek chłopski ze świeżonką

### *Przepis z programu „Jakubiak – z miłości do lokalności 3"*

**Składniki:**
**Ciasto:** ½ kg mąki pszennej, 2 jajka, ½ kg ugotowanych, rozgniecionych ziemniaków, sól, soda. **Świeżonka:** 100 g podgardla, 350 g łopatki, 2 cebule, papryczka chili, seler naciowy, woda, sól, łyżeczka pieprzu, łyżeczka wędzonej słodkiej papryki.

**Przygotowanie:** Przygotuj chlebek chłopski. Wszystkie składniki dokładnie wymieszaj. Wyrób ciasto. Uformuj placek i piecz go na rozgrzanej patelni z obu stron, aż się przyrumieni. Gdy będzie gotowy, możesz go podpiec w piekarniku. Świetnym dodatkiem będzie domowa świeżonka. Na patelni podsmaż kawałki podgardla, dodaj posiekaną cebulę, papryczkę i dokładnie wymieszaj. Następnie dodaj pozostałe kawałki łopatki. Mięso podlej odrobiną wody i duś, aż będzie miękkie. Na końcu świeżonkę dopraw solą, pieprzem i papryką. Świeżonkę podawaj z chlebkiem chłopskim. Smacznego!



eprasa.pl f264cc2d81



Fot. Shutterstock

SŁODKO-SŁONY

# Niech żyje kwas!

ANNA MONICKA

Pamiętacie jeszcze prawdziwy kapuściany kwas? Taki z beczki, który zostawał, gdy się kupowało kiszoną kapustę? Wszyscy w kolejce zawsze prosili, żeby było dużo kapusty, a mało kwasu, ja na odwrót – żeby kapusta pływała w soku. Brałam go nawet do butelki, o tej porze roku mój organizm wręcz domagał się kwaśnych zup i kiszonek. Z buraków, ogórków, kapusty. Wiadomo, przednówek.

Kwas buraczany robiłyśmy z mamą same, ale nie kisiłyśmy nigdy kapusty, choć to błąd, który trzeba będzie naprawić tej jesieni. Dlaczego? Ze względu na kwas. Zakochałam się w śląskiej zupie, której bez soku nie zrobię.

Otóż byłam u zaprzyjaźnionej gospodyni w Jaworzynce. Poczęstowała mnie kapuśnicą. Myślałam, że to rodzaj kwaśnicy na żeberku, ale gdy na stół wjechała złocista, aksamitna polewka z ziemniakami, okazało się, że kwaśnice i kapuśniaki niech się schowają. Kapuśnica – lokalny smakołyk z okolic Trójwsi w Beskidzie Śląskim – bije je na głowę.

To tak naprawdę bieda zupa, klasyczne danie na gwoździu. Gospodynie uważały, że nie godzi się wylewać soku po bigosie, więc kombinowały, jak by go wykorzystać. I wymyśliły pożywną, szybką, bardzo rozgrzewającą zupę bogatą w witaminę C. Przepis wprost idealny dla dzisiejszych ekolubów.

Kwas trzeba rozcieńczyć wodą lub wywarem z włoszczyzny, lekko zaciągnąć zasmażką na masełku, a potem roztrzepać delikatnie, żeby się nie ścięło, ze śmietaną zmiksowaną z jajkami. Brzmi banalnie, ale smakuje wyśmienicie. Ja jadłam kapuśnicę tylko z gotowanymi ziemniakami, a i tak jedynie resztki zdrowego rozsądku oderwały mnie od wazy.

Gdy wróciłam do domu, natychmiast postanowiłam skorzystać z jeszcze ciepłego przepisu i ruszyłam do sklepu po kwas. Srodze się zawiodłam, bo nigdzie go nie było. Zaprzyjaźniona sprzedawczyni długo dumała, żeby sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała go w hurtowni. Nie pamiętała.

Jaki z tego wniosek? Trzeba samemu kisić! Tak jak góralki w Jaworzynce, Istebnej czy Koniakowie, które przy domach wciąż mają własne kapuściane główki na zagonkach. Można buraki czy ogórki, można też kapustę. Nie trzeba od razu deptać całą rodziną w beczce, wystarczy ubić w kilku słojach. Lepiej jesienią poświęcić jedną sobotę na szatkowanie, niż zimą nie jeść czegoś tak doskonałego jak kapuśnica.

WINNICA MAZURKA

# Stare krzewy malin

ROBERT MAZUREK

Ech, życie tylko człowiekowi utrudniają. No bo przychodzi mi pisać o winach francuskich, co to je robią na południu, na wschód od Rodanu, jednej z najważniejszych w winiarstwie rzek. No i producent jeden, wina trzy, ale każde z innej apelacji. Powariowali, panie kochany!

Jak zwykle w śródziemnomorskich klimatach trzeba by zacząć, że Rzymianie, potem, że Galia, ale akurat bez Asteriksa i Obeliksa, że pięknie, bo to Prowansja – Alpy, Lazurowe Wybrzeże, słowem wszystko, co najfajniej się kojarzy. Wypadałoby się popisać znajomością ruin Orange i historią miasta, skądinąd naprawdę miłego, bo to i wolne miejsca parkingowe (a spróbujcie w Awinionie!), i gigantyczny amfiteatr, i jeszcze lody. No wszystko to wypadałoby napisać, więc uznajmy, że mamy to za sobą.

A w okolicy robią wina. Najsłynniejsze oczywiście nad samym Rodanem (że wspomnimy o Châteauneuf-du-Pape). A skoro już nad rzeką jesteśmy, to zacznijmy od Côtes du Rhône. Szczytem mojej znajomości francuskiego jest rozszyfrowanie Les Vieilles Vignes jako stare winorośle. Dlaczego to zaznaczają? Otóż stare, lepiej ukorzenione krzewy wyciągną z gleby więcej, lepiej wykorzystają terroir. Tu mamy zbalansowane, szlachetne wino, z wyraźną suszoną śliwką i maliną. Za te pieniądze warto.

Les Plans to proste wino z Vaucluse. Tu trochę się przeleżało, ale nie straciło na swym owocowym charakterze. I tak przeszliśmy do zawodnika najpoważniejszego, za którego Santa Duc zbiera liczne laury – do win z Gigondas, małej (jedna gmina) apelacji porównywanej jakością z Châteauneuf-du-Pape. Aux Lieux-Dits daje wszystko to, czego się po najlepszych winach znad Rodanu spodziewamy. Znakomita równowaga między mineralnym chłodem a słonecznym ciepłem owoców leśnych, pestek wiśni i nuty lukrecji. Znakomite wino, które nie powiedziało jeszcze swojego ostatniego słowa.



Santa Duc Les Plans 2014 49 zł



Santa Duc Vieilles Vignes 2015 59 zł



Santa Duc Aux Lieux-Dits 2014 140 zł

Vinieaffini.pl

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka



eprasa.pl f264cc2d81

# Równia pochyła

PIOTR SKWIECIŃSKI

Teraz często się mówi i pisze o fake newsach, o epoce postprawdy, jako o nowym i groźnym zjawisku. Przy czym mówiący i piszący zajmują się nim przede wszystkim, jeśli nie jedynie, operując przykładami dotyczącymi czy to Zachodu, czy to propagandy putinowskiej, czy wreszcie – naszego własnego podwórka. To zrozumiałe. Ale do ważnych dla obserwujących ten fenomen wydarzeń medialnych doszło ostatnio gdzieś indziej – na Ukrainie. Zdecydowanie warto je przemyśleć. Bo choć są efektem wyłącznie tamtejszej sytuacji, to... analizującemu je Polakowi trudno się uwolnić od wrażenia, że atmosfera, której są efektem, nie jest niepodobna do naszej.

Tak więc Witalij Portnikow to bardzo znany ukraiński (popularny też międzynarodowo) publicysta, oddany demokrata i liberał, konsekwentnie stojący na gruncie obrony niepodległości swojego kraju przed skierowaną przeciw niemu rosyjską agresją. Tak konsekwentnie stojący na tym gruncie, że dla realizacji tego celu (który podzielałbym, gdybym był Ukraińcem) posuwający się coraz dalej. Wraz z – dodajmy – większością ukraińskich liberalnych intelektualistów, których uznanie konieczności wzmacniania antyrosyjskiego frontu i budowy narodowej tożsamości prowadzi w światopoglądowe rejony, w których kilka lat temu raczej nie potrafili sobie samych siebie wyobrazić. Prowadzi do jeśli nie przyjęcia, to w każdym razie do akceptacji dziedzictwa ukraińskiego nacjonalizmu.

Odbyli daleką drogę. Portnikow z nimi. Ale poszedł w pewnym sensie jeszcze dalej.

Oto podstawowym sztandarem nowej Ukrainy, sztandarem majdanowej rebelii, był bunt przeciw korupcji. Korupcji będącej podstawową cechą niepodległej Ukrainy (podobnie jak prawie wszystkich państw poradzieckich). To korupcję miały w pierwszym rzędzie zwalczyć nowe rządy w Kijowie.

Miały, ale nie zwalczyły. To niepowodzenie ukraińskich patriotów bardzo boli. Tym bardziej że chcą do Unii przynajmniej na Zachód. A zachodnie rządy i instytucje właśnie z sukcesów lub ich braku w tej dziedzinie przede wszystkim egzaminują Kijów. Dlatego utrzymywanie się opinii o Ukrainie jako o państwie skorumpowanym jest potężnym dla niej zagrożeniem.

Co w tej sytuacji robi Portnikow? Otóż przewraca stolik. Tłucze termometr. Czy przynajmniej próbuje. Inna rzecz, że dość groteskowo.



*Kierując się piękną ideą, intelektualista wesoło wmaszerowywuje do krainy postprawdy*

W nowym tekście, adresowanym wyraźnie zarówno do Ukraińców, jak i do kluczowej dla losów tego kraju opinii Zachodu, odwołuje się do wizji kontrastu pomiędzy złą, zbuntowaną Polską a wzorcowo słuchającą starszych braci z Brukseli i Berlina Ukrainą. To w tej chwili dla ukraińskiej elity typowe. Ale dalej jest już nietypowo: „Na całym obszarze centralnej i wschodniej Europy jedynymi krajami, w których można liczyć na realną zmianę władzy, pozostały oskarżane na Zachodzie o nadmierną korupcję Rumunia i Ukraina! Zaryzykuję bluźnierczą myśl: to właśnie ta totalna korupcja umożliwia konkurencję interesów i nie pozwala na ustanowienie w tych krajach klasycznych wschodnioeuropejskich autorytarnych reżimów, które zawsze królują po zwycięstwie przeciwników korupcji".

Co tłumaczy się na ludzki język tak: widzisz oto, Zachodzie, że albo będziesz miał w Kijowie ukraińskiego Kaczyńskiego czy Orbána, albo korupcję. Co wolisz, Zachodzie? Przecież nie powiesz, że Kaczyńskiego czy Orbána...

A że cały wywód nie trzyma się tzw. kupy? Że Węgry są właśnie uważane na Zachodzie za do cna skorumpowane? A Rosja czy Białoruś, skorumpowane z pewnością, nie zapewniają przecież możliwości „realnej zmiany władzy"? To nieważne. Ważne, że tym wywodem zrealizowaliśmy lub przynajmniej próbowaliśmy zrealizować kluczowy interes Ukrainy, jakim jest odwrócenie narastającego rozczarowania Kijowem ze strony Zachodu.

Tu lekki przeskok. Również parę dni temu znany ukraiński ekspert w dziedzinie wojskowości, Aleksiej Arestowicz, w długim i dziwnym tekście przyznał otwarcie, że od początku wojny donbaskiej publicznie kłamał. Często (choć nie zawsze) kłamał, wybielając Ukrainę, i często (choć nie zawsze) kłamał, uprawiając czarną propagandę przeciw (kłamiącej na znacznie większą skalę) Rosji. Dalej uważa zresztą, że było to potrzebne. Żałuje tylko, że przekroczył cienką, czerwoną linię, którą jego zdaniem jest podpisywanie zawierających nieprawdę tekstów własnym, prawdziwym nazwiskiem.

Oba te przykłady ilustrują, jeśli ktoś z P.T. Czytelników jeszcze nie zrozumiał, na jaką – intelektualną i etyczną – równię pochyłą można łatwo i wesoło wmaszerować, kierując się ideą.

Nawet piękną ideą.

Ukraińcy – jak często mówią ci ludzie Zachodu, którzy dobrze znają oba kraje – są bardzo podobni do Polaków.

Fot. Andrzej Wiktor



eprasa.pl f264cc2d81

LOKAL DLA AWANTURNYCH

# Ciastko z niespodzianką



*Witold Gadowski*

Pisałem już wiele razy, że Polacy mają jakąś dziwną przypadłość w dziedzinie służb tajnych. Ciągle nie potrafimy sobie – jako państwo – poradzić z policjami „tajnymi, widnymi i dwupłciowymi".

Jednostkowo to nawet zdarzają nam się prawdziwe perły, zadziwiające kunsztem, pomysłowością, jednak gdy już dochodzi do organizowania struktur, zabiegania o zbudowanie standardów, to kołdra ciągle okazuje się dziurawa i krótka. Nie wierzcie w żadne mitologie, nigdy nie zbudowaliśmy porządnych służb specjalnych, a to, że raz było lepiej, a innym razem całkiem fatalnie, niczego nie dowodzi i w istocie niczego nas nie nauczyło. Ciągle bowiem żyjemy w intelektualnych obcęgach. Jeden brzeg szczypiec stanowi przekonanie, że Polsce – jak tlen – potrzebne są dobre, sprawne i profesjonalne służby specjalne, a drugi ciągle bębni o tym, że gdy mamy zbyt silne służby, to zaraz usiłują one wpływać na bieg społecznych procesów, prowokują, kradną, tworzą gangi i ogólnie zaśmiecają nasze życie publiczne.

Instynktownie boimy się silnych służb specjalnych, bo zaraz przed oczami stają nam wyczyny „zespołu Lesiaka", „instrukcja 0015", przestępstwa promoskiewskiej WSI, nienawiść szerzona przez ludzi na dwóch etatach (jeden z nich oczywiście niejawny), szczególnie fatalna jest ta dwuetatowość w mediach (a tam roi się od kapusiów i prowokatorów służb wszelakich, i to nie tylko naszych). Polacy nie lubią służb, traktują je jak ciało obce i bardzo niechętnie popierają ich działania. Po doświadczeniach z czasów PRL trudno zresztą się temu dziwić.

Być może nie byłoby warto się zastanawiać nad tą kwestią, gdyby nie to, że od tego, jak odbudujemy służby specjalne i jaką nad nimi ustanowimy kontrolę, zależy stworzenie prawdziwie suwerennej Polski. Tej suwerenności, zwłaszcza w odniesieniu do materii, którą zajmują się służby, ciągle jeszcze nie jest u nas za dużo. Musimy pokonać nierozwiązywalny z pozoru problem: albo chcemy mieć fachowe i silne służby specjalne, i wtedy godzimy się na to, że wtrącają się one w nasze życie społeczne i media, albo uznajemy, że służby specjalne to większe zagrożenie niż pożytek i dla dobra demokracji oraz swobód obywatelskich utrzymujemy służby w stanie ich dotychczasowego upadku.

Rozwiązanie tego dylematu kryje się w ucieczce do przodu – musimy po prostu ustanowić mechanizm realnej, skutecznej kontroli cywilnej nad służbami.

Służby specjalne bowiem są jak wytresowane do walki psy – albo ktoś potrafi je okiełznać i narzucić im swoją wolę, albo będą wzbudzać jedynie strach i porządni ludzie będą je łukiem, jak to się dzieje do dziś, omijać.

# Ubogacanie



*Lech Makowiecki*

Problem ten znają doskonale hodowcy zwierząt i leśnicy: by uniknąć degeneracji danej rasy, należy krzyżować wyłącznie dorodne i niezbyt blisko spokrewnione osobniki. Dlatego „gościnni" Eskimosi – w celu urozmaicenia genów swej odludnej enklawy – tak chętnie udostępniali przyjezdnym własne żony. Podobnie robili Skandynawowie odcięci od świata w zasypanych śniegiem osadach oraz rozrzuceni po bezmiarze Australii Aborygeni. Ponoć wędrowni Cyganie wpuszczali do swej puli genetycznej świeżą krew, porywając z okolicznych wiosek małe dzieci. Dlatego zdarzały się wśród nich niebieskookie dziewoje i blondyni o jasnej karnacji. Mało kto dziś uwierzy, że rdzenny Bułgar to jasnooki blondyn! Wielopokoleniowa dominacja turecka odcisnęła na tym narodzie swoje genetyczne piętno. Dowodem na potrzebę stosowania zróżnicowanych krzyżówek była kiepska kondycja zdrowotna europejskich władców, poczętych w blisko spokrewnionych kręgach królewskich rodów. Stąd zapewne wzięły swój początek marginalizacja i upadek monarchii.

Jak widać, zarówno jednostki, jak i całe społeczności radziły sobie jakoś w tej genetycznej sztafecie pokoleń. Kraje, które potrafiły stworzyć warunki sprzyjające prokreacji (wsparcie w wierze, tradycji, modzie, mądrej polityce prorodzinnej rządzących itd., itp.), wygrywały przyszłość i rosły w moc. Pozostałe karlały, by zupełnie zniknąć z mapy świata.

Nie wierzę w tzw. uchodźców wojennych. Połączone armie UE i USA mogłyby z łatwością zakończyć wojnę na Bliskim Wschodzie. Widok setek tysięcy śniadych lub czarnych, na oko jurnych młodzieńców (w znakomitej większości to mężczyźni), prących do Europy na zaproszenie Angeli Merkel sprawia wrażenie globalnego eksperymentu krzyżowania ras. Dlatego pytanie, jak bardzo zdegenerował się człowiek Zachodu, by trzeba było się wspierać saraceńską domieszką, pozostawiam do rozważenia.



eprasa.pl f264cc2d81

PRZEZ ŚWIETLIK

# Obiektywni fanatycy

Niektóre szkoły, szczęśliwie na razie anglosaskie, wprowadzają zakaz posiadania „najlepszego przyjaciela". Dlaczego? Bo to stres dla innych dzieci i niezdrowe dla grupy. Dowiedli tego, a jakże, naukowcy używający zobiektywizowanych naukowych narzędzi. Po prostu sama Nauka w osobie własnej, grecka muza Urania z cyrklem w jednej ręce i z globusem w drugiej, tak orzekła. Werdykt jest w tej sytuacji niedyskutowalny. Przy tej okazji przypomniała mi się subiektywna opinia, że podobno dobry specjalista, czytając nawet najbardziej profesjonalny tekst na temat skutków działania alkoholu na człowieka, potrafi stwierdzić, czy autor jest abstynentem, umiarkowanie pijącym czy ma problem lub miał z kieliszkiem. Może więc naukowcy, którzy dowiedli kłopotliwości posiadania przez dzieci najlepszych przyjaciół, po prostu nigdy ich nie mieli.

*Uważam, że obiektywizm w wyrażaniu poglądów po prostu nie istnieje. To tylko pozór*

Nie inaczej jest z najmodniejszym od lat słowem mającym określać jakość dziennikarstwa. Właśnie przygotowuję się do prowadzenia konferencji na temat obiektywizmu dziennikarskiego – które media są bardziej obiektywne, które nie, które powinny być, a które wręcz przeciwnie. Prowadzącego dobrano fatalnie, bo właśnie ktoś inny z kolei, nie pierwszy zresztą, zarzucił mi właśnie nieobiektywizm. „Jak to stacją radiową kieruje, a po gazetach i telewizjach wyraża swoje poglądy?" – toż to skandal. A przecież powinienem zostać mechanicznym urządzeniem z wbudowanym kalkulatorem, które z robotyczną konsekwencją w każdej sprawie drukuje werdykt. Mógłbym te opinie nawet wypluwać w formie sekwencji dziurek na taśmie perforowanej. Inni zresztą też tak powinni czynić.



Może to być trudne nie tylko ze względu na to, że z matematyki miałem wieczną trójkę, i to w czterostopniowym systemie ocen. Otóż uważam, że obiektywizm w wyrażaniu poglądów po prostu nie istnieje. To tylko pozór. W dodatku najbardziej nieobiektywni są ci, którzy najczęściej owym słowem wycierają sobie usta, bo właśnie przez rzekomy obiektywizm, jakiś wzięty z sufitu miernik, przez który każdy rozumie coś innego, to, co mówią, ma być bardziej uświęcone niż to, co mówią inni. Wystarczy posłuchać rozmów ekspertów, nie publicystów nawet, ale profesorów, naukowców, ekonomistów. Po minutowej wypowiedzi można stwierdzić, na którą partię facet głosuje albo z którą instytucją finansową jest związany. A przecież nieustannie odwołuje się do wybitnie bezstronnych badań, współczynników i tym podobnych. Pytanie, jak je sobie poukłada.

Weźmy taki podatek liniowy i progresywny. Któraż to danina jest obiektywnie lepsza, efektywniejsza i bardziej sprawiedliwa? Nie da się tego stwierdzić. Nie da się zważyć. Jeśli ktoś twierdzi, że „obiektywnie", w każdych warunkach, lepszy jest jeden albo drugi, to subiektywnie stwierdzam, że nie ma co go słuchać, bo się nie zna albo jest fanatykiem.

To dość charakterystyczne, że wszelkiej maści inżynierowie społeczni, maniacy, te wszystkie środowiska genderowe, zwolennicy wspólnych toalet dla kobiet i mężczyzn, piewczynie „prawa do własnego brzucha", odwołują się do jakichś rzekomo naukowych korzeni swoich pomysłów. W tym celu zachodnie uniwersytety obdarowano w wielkich ilościach katedrami genderyzmu, finansowanymi z tych samych pieniędzy europejskiego podatnika, z których potem owe naukowe wyniki są wdrażane w życie przez europarlament i Komisję Europejską. Tak samo jak zakaz posiadania przyjaciół przez dzieci – przez brytyjskie czy amerykańskie, na szczęście na razie nieliczne, szkoły.

A co z moralnością, zasadami, uczciwością? One nie mogą być obiektywne? No właśnie nimi te wszystkie obiektywizmy bym zastąpił. Szczególnie w publicystyce. Dla mnie człowiek wiarygodny to taki, który mówi, co myśli, w co wierzy, ma to sens, jest rozsądne, choć subiektywne, i za często nie zmienia poglądów. W sumie to dużo trudniejsze niż powtarzanie, że jest się obiektywnym.

**Wiktor Świetlik**
*Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia*



eprasa.pl f264cc2d81

# Nieuleczalny wirus

Jest jakaś dziwna siła w nas albo groźny wirus, a może i nowotwór, który ciągle i ciągle daje o sobie znać. Leczymy Polskę z wielu chorób, ale to choróbsko nie daje się wyleczyć.

Być może to moja naiwność, ale nie wierzę, że Jerzy Stuhr tak naprawdę myśli to, co głosi. Człowiek z takim dorobkiem artystycznym, aktor, który sztukę sceniczną doprowadził do mistrzostwa, który zostawił w niej zdrowie i kawał życia, nie może aż tak mentalnie sparszywieć. Przecież nie mogę go stawiać w jednym szeregu czy w ogóle porównywać z jakimiś Petru czy Schetynami! Musiałbym wówczas orzec, że jest głupcem, a tego ze spokojnym sumieniem zrobić nie mogę.



***Aleksander Nalaskowski***

Tenże artysta powiedział w jakimś wywiadzie, że nie pójdzie na żaden marsz czarnych parasolek, bo jemu nie wypada, jest już starszym panem. Brawo! Ale dlaczego tak nie pomyślał, gdy zabierał głos w sprawach, które są tak daleko od sceny, dlaczego wtedy nie zadał sobie pytania, czy mu wypada? Naprawdę chciał frunąć w jednym kluczu ze Szczerbą, Rabiejem, Kosiniakiem, Wielgus i innymi nielotami? Przecież doskonale umie fruwać sam. Osiągnął taką klasę, że nie musiał szukać wsparcia w żadnym kluczu. A jednak... Wybrał naszą ambiwalencję. Już dla wielu, wielu widzów będzie to „Jerzy Stuhr, wybitny artysta, ale...". I kto z tych, po których stronie się opowiedział, teraz o nim pamięta? Wyssali i wypluli jak pestkę. A na jego wizerunku już na zawsze zostanie rysa jak na portrecie Dymszy, który grywał w okupacyjnych teatrach. Oczywiście z zachowaniem proporcji tych porównań.

*Można być gwiazdą, można działać publicznie, można być na zawsze wpisanym w taką czy inną historię Polski i wiedzieć, od czego się jest i czego od nas oczekują*

Ewa Wanat zasłynęła swego czasu oryginalnymi prowokacjami dziennikarskimi, jak „skradziony samochód", którymi udowadniała inercję policji i jej nieskuteczność. Teraz lotem pikowym, z ogromnym pędem wbiła się w twarde dno sparszywienia. Na jakimś portalu społecznościowym wyszydziła, zmieszała z błotem i postponowała harcerstwo. Ta niegdysiejsza aktorka znakomitego dawno temu Teatru Ósmego Dnia, po którym została tylko nazwa, a w zasadzie echo nazwy, urągając harcerzom, tak naprawdę wyrzuciła swoje fekalia na groby „Alka", „Zośki", „Rudego", „Anody" i innych bohaterów „Szarych Szeregów". Harcerzy z 1939 r. z Katowic, skautów od Hallera, cichych bohaterów odzyskania przez Polskę niepodległości. Zauważyła w nich sowieckich, a ściślej: stalinowskich pionierów, a pewnie i Pawkę Morozowa. Ten atak był tak krzywdzący i tak bardzo sprzeczny z faktami, że tylko alkoholem mogę tłumaczyć ten brud, którym sama się z lubością powalała. A przecież wystarczyło idiotyzmów nie pisać. Po prostu.

Kiedyś, przed wieloma laty, byłem kibicem Jerzego Owsiaka. Miałem wrażenie, że podniósł do boju młodzież, wyrwał ją z letargu, a nawet uskrzydlił. Jasne, że raz do roku, ale lepsze to niż nic. Swoją akcją stworzył też konkurencję na rynku dobroczynności. Jeśli jemu się udało, to dlaczego nie miałoby się udać innym? Ożywił się mocno Caritas, ks. Stryczek wymyślił „Szlachetną paczkę", powstały inicjatywy lokalne. Samo dobro. A Owsiak grał mocno. Mówił do młodych ich językiem, grał im ich muzykę, a nawet jeśli próbował z tego żyć, i to byłem w stanie rozumieć. Wszak jednak do szpitali realnie trafiał sprzęt.

No i Jerzy Owsiak też sparszywiał. Razem z kapelą. Z mniej lub bardziej metaforycznej sceny rzucał obelgami, ale tylko w jedną stronę. Kolejny, któremu to nie było do niczego potrzebne, kolejny, który stracił sporą część fanów. Po co mu było tracić legion Nalaskowskich? Wystarczyło, aby robił swoje. Sprawdził się jako trybun młodzieży i z roku na rok parszywiał i parszywiał. Mógł łączyć, a podzielił. Milsza mu była lewa ręka przy skarbonce? Niestety poszedł o krok za daleko. Zgodził się na licytację garderoby tego nieszczęsnego samospalenca. Pomijając już etyczność rodziny zmarłego, która tych rzeczy się wyzbyła, to Owsiakowi nie wolno się było na to zgodzić. I teraz, w oczach jeszcze większej rzeszy ludzi, już nic go nie uratuje. Ten szczególny recykling zmarłego, tego zmarłego, ma w sobie nieskończoną moc dalszego parszywienia. Bo co teraz? Amputowane kończyny w formalinie? Na licytację?

Można być gwiazdą, można działać publicznie, można być na zawsze wpisanym w taką czy inną historię Polski i wiedzieć, od czego się jest i czego od nas oczekują. A tym samym nie dzielić. Takim przykładem jest dla mnie Zbigniew Boniek. Wielka gwiazda, która umie rządzić, odnosić sukcesy, rozmawiać z każdym, łączyć Polaków, chociażby na 90 minut meczu, i nie sparszywieć. Zachować klasę i znać swoje współrzędne. To cienka lina, po której się kroczy. I trzymam kciuki, aby chociaż Boniek się z niej nie omsknął.



eprasa.pl f264cc2d81

ROBERT MAZUREK

# Piłsudski w dżinsach

O okrągłych rocznic odfajkować kwiatkami się nie da, prawda? Na jakieś tam dwadzieścia lat małżeństwa to trzeba się szarpnąć na coś więcej niż pizza czy sushi. Jak takiemu Zarembie pięćdziesiątka stuknęła, to mu się benefis zrobiło. A jak Polska ma setkę?

*Zróbmy – serio apeluję – sobie wielkie święto na 100-lecie niepodległości*

Tu niestety nic, całkowita plaża. Forsa, owszem, jest, ale rozejdzie się jak masło na gorącym toście. Efekt też zresztą będzie podobny – chwilowy i mało spektakularny. A trzeba było na 100-lecie niepodległości coś niesamowitego strzelić, serio tak myślę.

Udręczonemu narodowi się należy jak psu kość. Wiem, że z gustem u nas kulawo, i bałem się nieco tych łuków triumfalnych czy kolumn wolności, przy których Pałac Kultury byłby szczytem architektonicznego wyrafinowania. A mimo to uważam, że trzeba było coś zrobić.

Najprościej byłoby odbudować w Warszawie pałace Brühla i Saski (z którego to ostał się tylko Grób Nieznanego Żołnierza), ale można też było postawić coś oryginalnego, nowego. No ale cóż, jak zwykle zabrakło fantazji i determinacji, już musztarda po obiedzie, nic z tego. Skoro już nie możemy mieć wieży z kości słoniowej, to może chociaż fajerwerki? Zdaje się, że i tych władza nam poskąpi. Rozmawiałem z rozmaitymi ważnymi personami już dawno temu, wszyscy chętnie słuchali podpowiedzi i byli przekonani, że właśnie zajmuje się tym ktoś inny. I żeby nie było, że nikt nic nie mówił, to ślad na piśmie zostawiam. Czego bym chciał na 100 lat?

**Koncert The Rolling Stones** – nie taki z okazji trasy koncertowej, ale nadzwyczajny, specjalnie dla nas. Sądząc z wyglądu, panowie muszą pamiętać Piłsudskiego, więc daliby się przekonać. Mają też doświadczenie w takich politycznych koncertach, ostatnio wystąpili na Kubie i był to jeden z symboli nieśmiałych przemian na wyspie. A jak nie Stonesi, to U2, które wszak „Sunday Bloody Sunday" napisało o Polsce.

**Arsenał** – wielka wystawa plastyczna. Były w powojennej historii dwie takie wystawy. Pierwsza, znamionująca odejście od socrealizmu w 1955 r., i druga, potężna, choć mniej istotna, w 1988 r. w Hali Gwardii. Licealistą będąc, łaziłem po tej hali jak oczarowany, niewiele rozumiejąc, ale wstrząśnięty. Dziś potrzebny byłby Arsenał '18 pokazujący sztukę wolnej Polski po 1989 r. Nie w Zachęcie, nie w żadnym muzeum, ale gdzieś w miejscu dziwnym i dzikim, bo tylko wtedy jest szansa na, wybaczą państwo to słowo, event. Bo teraz czasy takie, że nikt nie zwraca uwagi na wystawy ani przedstawienia, a rządzą eventy i projekty. Tak, wiem, konserwatywna prawica boi się sztuki współczesnej jak Sierakowski święconej wody, ale to właśnie byłaby okazja na przełamanie lodów.

**Promsy** – co roku, od ponad 100 lat, w Londynie organizowane są koncerty The Proms, pomyślane jako koncerty promenadowe muzyki klasycznej, ale teraz wychodzące poza ten kanon. Zróbmy to u nas. Zacznijmy 3 maja wielkim koncertem plenerowym (The Proms to festiwal hiperdemokratyczny, nie tylko dla socjety), a zakończmy jak Anglicy – patriotycznym, wzruszającym Last Night of Proms 11 listopada. Zaprośmy absolutną światową czołówkę, zadbajmy o poziom i zróbmy to.

**Chopin w dżinsach** – do tego namawiałem moich wysoko postawionych znajomych jeszcze jesienią 2015 r., na fali Konkursu Chopinowskiego. Zróbmy – mówiłem – cykl recitali chopinowskich w całej Polsce. Najlepsi młodzi pianiści świata ruszają nie do wielkich filharmonii, ale do Tarnowa, Grudziądza, Koszalina. Wszędzie reklamowane tym samym logo, plakatem, filmikami na YouTube i biletami bez stałych miejsc! Czyś prezydent czy uczeń, musisz kupić wejściówkę za 20 zł (na cel charytatywny!) i usiąść, gdzie znajdziesz miejsce. Zróbmy na to modę, opłaci się.

Pomysłów, jako się rzekło, są setki, tu były cztery. I mam niejasne przekonanie, że tyle mego, iż sobie mogę napisać. Ale naprawdę pal licho, kto na to wpadł. Zróbmy – serio apeluję – sobie wielkie święto. Żebyśmy choć raz nie marudzili, że Amerykanie to świętują radośnie, a my tylko, jak te kołki, marzniemy w listopadowym deszczu.

robert.mazurek@hotmail.com



Fot. Andrzej Wiktor

# Stryjek



*Jerzy Jachowicz*

Od razu ogarnęło mnie złe przeczucie, gdy usłyszałem w słuchawce płk. Adama Mazgułę: – Nie wiem, czy doczekam.

Nie tylko słowa były niepokojące, lecz i ton. Zadzwoniłem do niego zaraz po przyjeździe z nart. Tak jak byliśmy umówieni. Miałem się dowiedzieć, o której spotkamy się następnego dnia. Musieliśmy omówić szczegóły sobotniego wiecu przed Sejmem. Ustalić, kto ma pierwszy przemawiać. Schetyna czy Dukaczewski? Może na trybunie, za kotarą zrobić losowanie? – rozważaliśmy. Monetę rzuci Małgorzata Gersdorf.

Kiedy jednak usłyszałem jego złowróżbne słowa, nie zwlekałem ani sekundy. Pojechałem wprost do pułkownika. Z nartami. Zdążyłem w ostatniej chwili. Pistolet miał wymierzony prosto w skroń. Odbezpieczony.

– Stop, pułkowniku! Co najlepszego pan robi?! – krzyknąłem w drzwiach. – Nie mogę inaczej, młodzieńcze – chrapliwie wykrztusił. – Wszystko stracone. Już nigdy nie zobaczę normalnej emerytury – wyszeptał. Teraz dopiero spostrzegłem, że miał na sobie galowy mundur. – Prawdziwy oficer – pomyślałem.

– Co się stało? – zapytałem. Rozpoczął dramatyczną opowieść, trzymając ciągle pistolet przy głowie. – Proszę schować tę piekielną broń. Nie mogę się skupić na tym, co pan mówi. Jak wypali?

– To pan nie wie? Odłożył broń, a głowa opadła mu na biurko. Zsunięta czapka przesunęła stojący na biurku portret gen. Jaruzelskiego za szkłem, oprawiony w pozłacaną ramkę.

Powoli zaczął do mnie docierać dramat. – Dziś w nocy upadł rząd Platformy. To znaczy Gabinet Cieni. Mucha zgłosiła wniosek o konstruktywne wotum nieufności wobec kierownictwa Gabinetu Cieni. Poleciała cała trójka: Schetyna, Kopacz i Siemoniak. Odwołali ich w tajnym głosowaniu, w pierwszej turze. Jak tu żyć? Wszystko przepadło. Grzesiek obiecał, że jak tylko dojdzie do władzy, wrócą poprzednie emerytury – skończył załamany płk Mazguła.

– Przyjacielu, wspierałeś nas w walce o demokrację. Nie zostawimy cię w kłopotach. Są jeszcze wśród nas wrażliwi ludzie: Szczerba, Budka, Brejza. Ja też muszę myśleć o kochanym stryjku.

CO MNIE WZRUSZA

# Spotkanie po latach



*Katarzyna Łaniewska*

Kilka dni temu odwiedzili mnie żona i synowie wspaniałego człowieka, którego znałam z „Solidarności" dawnych lat: śp. Stanisława Orzecha z Głogowa.

Było to spotkanie po trzydziestu paru latach. Pewnego wieczora zadzwonił telefon. Rozmówca przedstawił się jako Paweł Orzech. Coś zaskoczyło. „Dzwonię z Głogowa". Odpowiedziałam, że bywałam tam w stanie wojennym z koncertami. Pada odpowiedź: „Jestem synem Stanisława Orzecha. Mój starszy brat napisał książkę o ojcu i chcielibyśmy ją pani wręczyć". „Jak najchętniej" – odpowiadam.

Znaleźli się u mnie po kilku dniach. Przyjechali z mamą Elą, z którą korespondowałam przez jakiś czas. To była naprawdę wspaniała rodzinna wizyta. Chłopcy, gdy tam przyjeżdżałam, mieli po pięć–siedem lat. Ela przyjmowała i karmiła zapraszanych gości. Dbała o noclegi. Staszek, bo tak go nazywaliśmy, był wybitnym działaczem. Nie ominęły go represje stanu wojennego. Aresztowania, rewizje w domu. Przez nie dopadła go straszna choroba i odszedł młodo. Jego starszy syn Adam jest historykiem i uczy prawdziwej historii. Powiedział, że długo się zbierał, by zacząć pisać o ojcu. Stąd książka, którą dostałam. Jestem zaszczycona, że pamiętali o mnie, że chcieli mi ją wręczyć. Zaprosiłam Krysię, z którą wędrowałam po Polsce. Podczas Mszy za Ojczyznę ona śpiewała, ja mówiłam poezję patriotyczną, najczęściej akompaniował nam Darek Zawadzki. Tamte wizyty były niezapomniane.

Rozmawiałam z młodymi ludźmi, którzy mają tak pięknie poukładane w głowie. Zapytałam młodszego Pawła, co robi. Odpowiedział, że to, co lubi. Przestał być informatykiem i został stolarzem. Piękny zawód. Tak jak jego ojciec, który chciał się czuć wolny. To niezapomniana wizyta, którą chciałam się podzielić z czytelnikami moich felietoników. Powrót do trudnych, ale jednoznacznych lat, kiedy byliśmy po jednej stronie. W rozmowie zarówno ja, stara kobieta, jak i ci młodzi nie mogliśmy zrozumieć, jak można mówić, że teraz jest gorzej niż w stanie wojennym.

Dobrze, że przypomina się o tamtych ludziach. Dziękuję moim gościom i Staszkowi, że był, jaki był. Wolność nam wywalczył. Szkoda, że jej nie doczekał.



eprasa.pl f264cc2d81







***Przeczytaj*** wSIECI HISTORII

**O** roku ów! Można by powtórzyć za Mickiewiczem. Wkroczyliśmy bowiem właśnie w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości – *pisze Łukasz Michalski*

**S**chyłkowe lata panowania Jana Kazimierza (1648–1668) nie należały do wesołych. Po odparciu Szwedów Rzeczpospolita była wyczerpana. W dodatku targały nią spory – *przypomina Dariusz Milewski*

**W** czarnym dla Europy 1941 r., gdy wojska Osi zwyciężały na frontach, Tobruk, który stawiał czoła niemiecko-włoskim atakom, urósł do rangi symbolu – *pisze Maria Radożycka-Paoletti*

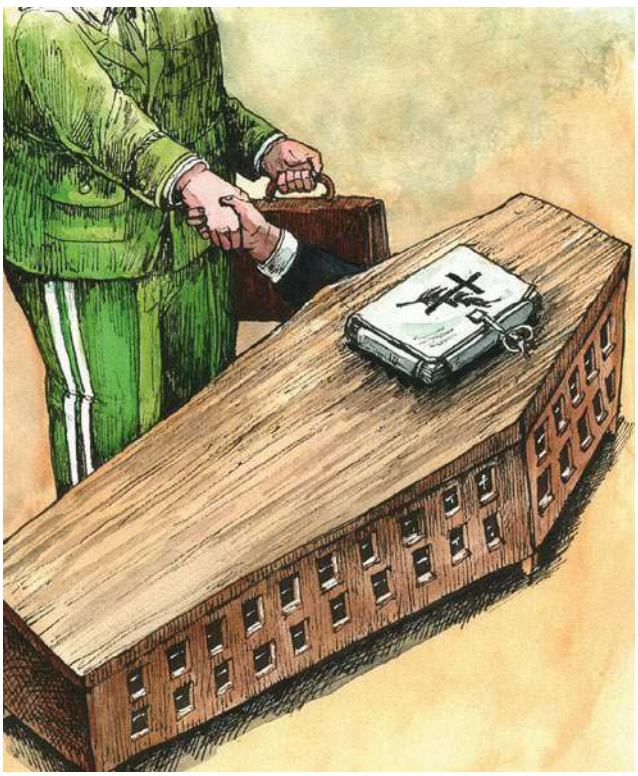
**W** późnym średniowieczu polski dwór monarszy w sferze obyczajów i konsumpcji nie odbiegał od rezydencji władców w innych częściach Europy. Dotyczyło to również wina, które od czasów Jagiełły i Jadwigi coraz częściej gościło na królewskim stole – *tłumaczy Maciej Badowicz*

**P**oczątki Warszawy zwykle opisuje się w kontekście przywileju lokacji miasta na prawie chełmińskim wydanego pod koniec XIII stulecia dla kupców pochodzących z Torunia. Stwierdzenie to jednak jest nieścisłe – *pisze Michał Janik*



eprasa.pl f264cc2d81

***Zawistowski prezentuje:* Na ducha**



***Wycinki z przeszłości***

Mimo że od zakończenia wojny upłynęło już ponad 70 lat, co chwila media donoszą o znalezieniu niewybuchów. Artykuł zamieszczony w „Kalendarzu Kółek Rolniczych" na rok 1959 daje nam obraz tego, jak wielki był to problem w Polsce po wojnie.

Czytamy: „Tylko w 1957 r. od niewypałów zginęło lub odniosło trwałe kalectwo ponad 550 osób. Ofiarami nieświadomości najczęściej padają dzieci w wieku 6–12 lat, które po znalezieniu nieznanego sobie przedmiotu usiłują go z ciekawości rozebrać. Ofiarami głupoty są z kolei najczęściej wyrostki, starsi chłopcy w wieku 14–19 lat, którzy doskonale wiedzą, że mają do czynienia z niewypałem, lecz albo chcą celowo wywołać wybuch, albo uzyskać materiał wybuchowy. A tymczasem śmierć tylko czeka... Ofiarami zadziwiającej lekkomyślności bywają zaś dorośli, nawet jeśli byli w wojsku albo i na wojnie. Oto w kieleckim rolnicy wybrukowali 2,5 km drogi pociskami i minami, a w powiecie tarnowskim jeden z gospodarzy 10 lat klepał kosę na niewypale, aż się doklepał... Inny, w łukowskiem, wybrukował sobie stodołę minami przeciwczołgowymi i na takim klepisku młócił cepami".




Redakcja wzywa Czytelników, by pamiętali, że „nie ma bezpiecznych niewypałów, nie ruszajcie żadnego pocisku, pouczajcie o tym dzieci i młodzież, bezmyślnych sąsiadów". Aktualne!

***(mk)***

# Fantazja styczniowa



***Leszek Długosz***

*Biało biało*
*Głęboko wysoko*
*Prawie się już stykają zaspy*
*i obłoki*
*– Cóż, styczeń...*
*Jak nie spojrzysz przez okno*
*Biały szkwał światem sunie*
*Zaciągnięty horyzont szeroko*

*A tu w oczach zachwycenie*
*Srebrna zamieć olśnienie*
*Od źrenicy do źrenicy*
*– No styczeń...*

*U framugi okiennej stań rychło*
*Ze mną patrz synchronicznie*
*– Chryzantemy i lilie*
*Mróz na szybie jak wije*
*Tnie z fantazji przeczystej*
*Srebrnoszkliste przejrzyste*
*Czarodziejstwo to zwykłe*

*Zwykłe może niezwykle*
*– Z czarodziejstwem tak zwykle*
*Kiedy styczeń jest styczniem*
*I herbata gdy jaka?*
*– Wonność z dalekiego świata*
*Mocnym łykiem podbita*
*Więc namiętnie gorąca*
*Z okowitą gdy pita*

*I niedziela cóż ona?*
*– Leciuteńko wstawiona jak muzyka Mozarta*
*Rozmarzona upływa...*
*W tej Fantazji Przyokiennej*
*(„Przyokienno-Styczniowej")*
*– W styczniu bywa tak bywa...*

*I gdy jeszcze ktoś obok*
*Lub na odwrót – przy „ktosiu"... kto?*
*– Świat za szybą drży cały*
*– W turbulencji śnieżnobiałej*
*A tu w głębi ciepły piec, cichy port*
*No...*
*No... i co?*


| CENNIK PRENUMERAT* | OKRES PRENUMERATY | | |
|---|---|---|---|
| | 3 miesiące | 6 miesięcy | 12 miesięcy |
| SIECI | 69 zł | 129 zł | 229 zł |
| wSIECI HISTORII | 21 zł | 39 zł | 75 zł |
| pakiet SIECI i wSIECI HISTORII | 84 zł | 158 zł | 280 zł |

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*




eprasa.pl f264cc2d81

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

# Lustrzane odbicie?

Trochę szumu wywołał tweet Tomasza Lisa, który w trybie alarmowym spytał, czy radio Tok FM już jest przybudówką Partii Razem. Lis wie, że Partia Razem wbrew swojej nazwie stanowi najbardziej radykalne skrzydło opozycji. Że bez zbudowania szerokiej koalicji nawet opozycja, która się „zdetotalizuje", nie ma szans pokonać Prawa i Sprawiedliwości. Tymczasem w Tok FM narracja bywa tak prowadzona, jakby zapomniano, że wrogiem nie są PO ani Nowoczesna, ale straszne PiS.

Lisowi zawtórowała bodaj największa figura antypisowej opozycji, Roman Giertych: „Niestety koncern Agory z niewiadomych powodów postanowił wspierać PiS, rozwalając i radykalizując opozycję".



## ŚRODEK CIĘŻKOŚCI?

To chyba politologiczny truizm, że do wygrywania wyborów niezbędne bywa poparcie politycznego środka, zjednanie choćby części centrowego elektoratu.

Jarosław Kaczyński wie to od dawna. Rozumie, że demokracja to teren wymagający. Bez gry drużynowej ścieranie się i uzgadnianie interesów nie przynosi dobra wspólnego. To zaś wymaga zdolności do kompromisu. I nie chodzi tu o niezbędny dla ładu społecznego pewien minimalny kompromis pomiędzy rządzącymi a opozycją. Zdolność do kompromisu i pewna elastyczność programowa są niezbędne tak samo w obozie rządzącym, jak i w ramach opozycji.

## „PRAWACY" I „LEWACY"

Poglądy obywateli potrafią być tak zróżnicowane, że czasem brak nazewnictwa. I nie chodzi tylko o precyzję, lecz także oddanie pewnych ideowych gorliwości. Zwrot „skrajna prawica" wspomagany bywa neologizmem „prawactwo", a termin z drugiego końca podziałów – „skrajna lewica" – bywa zastępowany przez „lewactwo". Pojawiło się też określenie „symetryści" – stosowane wobec osób próbujących politykę oceniać bez uprzedzeń. Nie będziemy wchodzić w niuanse tych podziałów. Interesuje nas zdolność do kompromisów.

## NOMEN OMEN

Platformowa opozycja, niefortunnie przyjmując przydomek „totalna", chyba ściągnęła na siebie totalnie niepomyślną aurę. Nie chodzi już o programowe odrzucanie niemal wszystkiego, co robią rządzący. To nie efekt „totalności" jako takiej, ale rezultat braku przemyślanego programu dla Polski.

„Totalność" musi przyciągać totalny chaos, skoro już nawet tak zagorzały przeciwnik dobrej zmiany jak Giertych, Agorze przypisuje sprzyjanie PiS.

A jaki wniosek z tego dla szeroko rozumianego obozu dobrej zmiany? Najpierw zawieśmy triumfalizm. A potem spójrzmy na opozycję niczym w lustro.

Reakcje niektórych prawicowych środowisk i mediów na rekonstrukcję rządu budzą niepokój. Nie brakuje wypowiedzi pokazujących, jak bardzo jesteśmy politycznie niedojrzali i jak kruche są te małe kompromisy w ramach naszych środowisk.

## NIE TĄ DROGĄ

Jak rozumiemy, Lisa i Giertycha niepokoi swoisty fundamentalizm środowiska Agory (a przynajmniej jego części), tak owładniętego przez ideologię lewackiej inżynierii społecznej, że zupełnie zapominającego o taktyce.

Kurczowe powtarzanie motywów z kampanii wyborczej może rodzić niezdolność do skutecznego działania w nowych warunkach.

Niezależnie od tego, czy to lewackie dążenie do hiperwolności w stylu „moje ciało i mój wybór", czy natrętne tropienie i rozliczanie agentów oraz zdrajców w każdym środowisku, którego poglądy choć odrobinę różnią się od naszych. Nawet jeśli ubierzemy te działania w szczytnie wyglądające hasła „Ratujmy kobiety" albo „Walczmy o prawdę i sprawiedliwość", to możemy się stać ofiarą własnych emocji. Właśnie emocji, które posiadają zadziwiającą zdolność przysłaniania, a nawet zastępowania wartości. Wartości bowiem, aby być zachowane, wymagają wsparcia instytucjonalnego. Tego zaś nie sposób uzyskać bez utrzymania zdolności do pracy zespołowej. Błędy i niedoskonałości pochopnie etykietowane jako „zdrada" zamykają przestrzeń rozmowy.

Jak dalece bezwzględna jest natura polityki, wie tylko ten, kto podejmuje trud wypracowywania kompromisów trzymających się jednak granic moralności i lojalności. Ciągle trzeba przypominać, że celem jest Polska, nie są zaś nim ambicje konkretnych osób. Niech media sympatyków dobrej zmiany nie radykalizują się w stylu Tok FM.

***Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie***

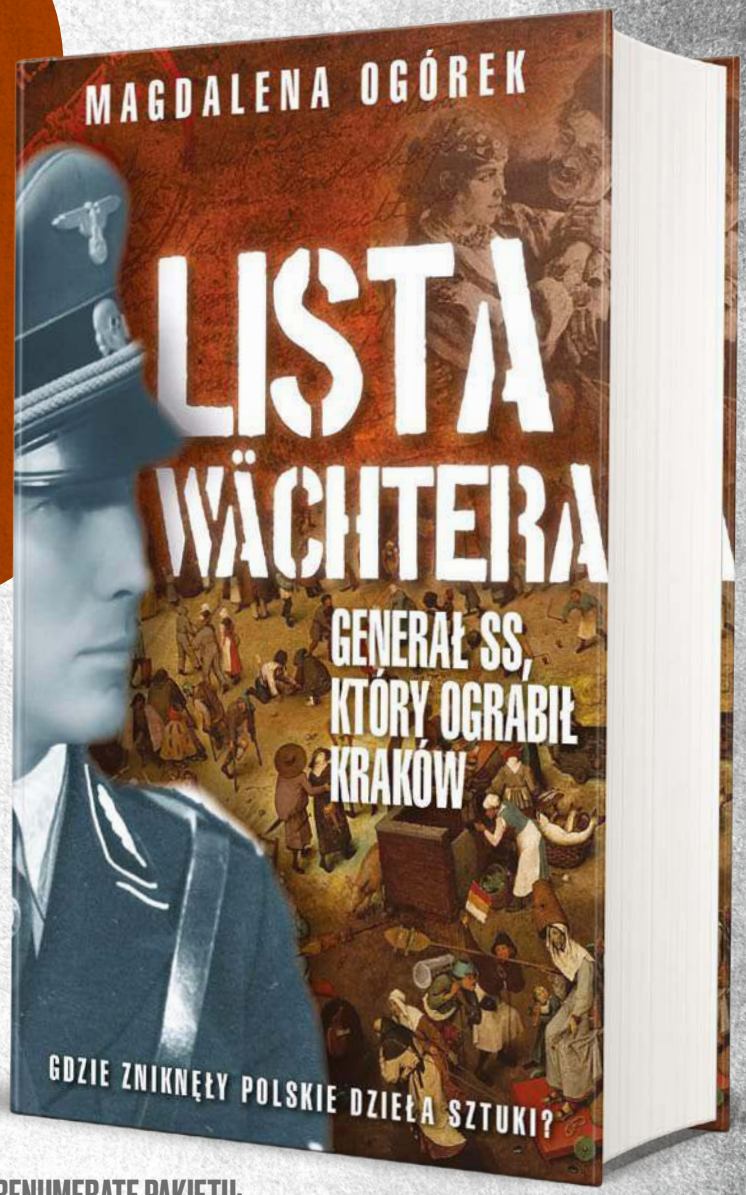
Autopromocja x2



eprasa.pl f264cc2d81

# WYŁĄCZNIE DLA PRENUMERATORÓW

# 100 książek w prezencie







ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
TYGODNIK SIECI I MIESIĘCZNIK wSIECI HISTORII ZA **280 zł**,
A KSIĄŻKĘ „LISTA WÄCHTERA" O WARTOŚCI **49,90 zł** OTRZYMASZ **W PREZENCIE**!

SPRAWDŹ DOSTĘPNOŚĆ KSIĄŻEK NA **WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA**

## ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70

PRENUMERATA@FRATRIA.PL
WWW.WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata roczna pakietu i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl f264cc2d81

JUŻ 29 STYCZNIA W TYGODNIKU SIECI

I W KAŻDY OSTATNI PONIEDZIAŁEK MIESIĄCA PRZEZ CAŁY ROK

# Bohaterowie Niepodległej

Marszałek Józef Piłsudski • Ignacy Jan Paderewski • Ignacy Daszyński • gen. Józef Dowbor-Muśnicki • Ignacy Mościcki • gen. Józef Haller • Walery Sławek • inż. Eugeniusz Kwiatkowski • gen. Kazimierz Sosnkowski • Wojciech Kossak • ks. Adam Sapieha • Władysław Grabski • Jan Kiepura • Januszy Kusociński • Wincenty Witos • Roman Dmowski • Wojciech Korfanty

SERIA DODATKÓW O NIEZWYKŁYCH LUDZIACH, KTÓRYM POLSKA ZAWDZIĘCZA NIEPODLEGŁOŚĆ



„Bohaterowie Niepodległej" to autorska opowieść o pokoleniu, które wywalczyło Polsce byt po ponad stuleciu niewoli, opowieść o bohaterach wielkich i znanych oraz tych, którzy nie pojawiają się w podręcznikach, a warto ich przywrócić naszej pamięci. Będzie to swego rodzaju unikalny Słownik Niepodległej – zbiór esejów o postaciach i ich walce o Niepodległość.

**Tomasz Łysiak – pisarz, dziennikarz, publicysta, autor powieści „Cytadela"**

Partnerzy:

LOTOS

ALIOR BANK

eprasa.pl f264cc2d81